



UUK

FREDERIK POHL

GATEWAY – BRAMA DO GWIAZD

Pierwszy tom sagi o Heechach



SPIS TREŚCI

SPIS TREŚCI.	2
Rozdział pierwszy	3
Rozdział drugi	8
Rozdział trzeci	12
Rozdział czwarty	14
Rozdział piąty	18
Rozdział szósty	20
Rozdział siódmy.	29
Rozdział ósmy	32
Rozdział dziewiąty.	43
Rozdział dziesiąty	45
Rozdział jedenasty	58
Rozdział dwunasty	61
Rozdział trzynasty	76
Rozdział czternasty	80
Rozdział piętnasty	87
Rozdział szesnasty	88
Rozdział siedemnasty.	93
Rozdział osiemnasty	95
Rozdział dziewiętnasty	98
Rozdział dwudziesty	101
Rozdział dwudziesty pierwszy	117
Rozdział dwudziesty drugi.	121
Rozdział dwudziesty trzeci	135
Rozdział dwudziesty czwarty	138
Rozdział dwudziesty piąty	145
Rozdział dwudziesty szósty	149
Rozdział dwudziesty siódmy	163
Rozdział dwudziesty ósmy	165
Rozdział dwudziesty dziewiąty	170
Rozdział trzydziesty	175
Rozdział trzydziesty pierwszy	177

Rozdział pierwszy

Nazywam się Robinette Broadhead, jestem jednak mężczyzną. Mój psychoanalityk (którego ochrzciłem Sigfrid von Psych, chociaż będąc maszyną nie posiada imienia) ma z tego powodu mnóstwo elektronicznej uciechy.

— Bob, co ci szkodzi, że niektórzy uważają to za imię dziewczyny?

— Nic.

— No to dlaczego ciągle do tego wracasz?

Złości mnie, kiedy uparcie mi przypomina to, o czym często myślę. Patrzę na sufit, z którego zwisają kołyszące się mobile i pinaty, potem wyglądam przez okno. W zasadzie nie jest to okno. To holobraz falującego morza u przylądka Kaena, jak widać, Sigfrid jest zaprogramowany tradycyjnie.

— Nic na to nie poradzę — mówię po chwili — że mnie tak nazwano. Usiłowałem zmienić pisownię na ROBINET, ale wtedy z kolei wszyscy źle to wymawiali.

— Mogłeś przecież wybrać sobie zupełnie inne imię.

— Jeśli bym to zrobił — mówię z przekonaniem — powiedziałbyś, że zadaję sobie zbyt wiele trudu, by przewyciężyć swoją wewnętrzną dwoistość.

— Powiedziałbym raczej — zauważa Sigfrid tonem maszyny, która sili się na dowcip — że bardzo cię proszę, byś nie używał specjalistycznej terminologii psychoanalitycznej. Całkowicie mi wystarczy, jeśli będziesz mi opowiadał o swoich uczuciach.

— A więc — mówię po raz setny — czuję się szczęśliwy. Nie mam żadnych problemów. Dlaczego miałbym nie czuć się szczęśliwy?

Często bawimy się w ten sposób słowami i nie bardzo to lubię. Chyba coś jest nie tak z tym jego programem.

— To ty mi powiedz, Robbie, dlaczego nie jesteś szczęśliwy?

Nic na to nie odpowiadam, upiera się jednak. — Wydaje mi się, że coś cię gryzie.

— Gówno prawda — mówię z pewnym niesmakiem. — Powtarzasz to bez przerwy. Niczym się nie martwię.

Próbuje mnie udobruchać. — Przecież to nic złego mówić o własnych uczuciach.

Znowu wyglądam przez okno, jestem zły, bo czuję, że drzę i nie rozumiem dlaczego. — Jesteś jak wrzód na dupie, Sigfrid!

Mówi coś, ale w zasadzie go nie słucham. Zastanawiam się, czemu właściwie tracę czas przychodząc tutaj. Jeśli w ogóle człowiek może być szczęśliwy, to ja mam ku temu wszelkie powody. Jestem bogaty. Także dość przystojny. Nie jestem jeszcze stary, a i tak przysługuje mi Pełny Serwis Medyczny, więc przez najbliższe pięćdziesiąt lat mogę w zasadzie być w jakim zechę wieku. Mieszkam w Nowym Jorku pod Wielkim Kloszem, a stać na to jedynie ludzie bardzo zamożnych, albo bardzo sławnych. Mam letni apartament nad Morzem Tappajskim

i Zaporą Stromych Skał. Dziewczyny tracą głowę na widok moich trzech bransolet Poszukiwacza. Na Ziemi nie spotyka się takich zbyt wielu, nawet w Nowym Jorku. Każą mi więc opowiadać o Mgławicy Oriona czy Małym Obłoku Magellana. (Oczywiście nie byłem ani tu ani tam. A jedyne ciekawe miejsca, do którego dotarłem, nie mam ochoty wspominać).

— A więc — mówi Sigfrid odczekawszy odpowiednią liczbę mikrosekund na odpowiedź na poprzednie pytanie — jeżeli rzeczywiście jesteś szczęśliwy, to po co tutaj przychodzisz?

Nie znoszę, kiedy zadaje mi te pytania, które sam sobie stawiam. Nie odpowiadam. Usiłuję usadowić się wygodnie na materacu z plastikowej pianki, bo czuję, że zanosi się na długą, nudną nasiadówkę. Gdybym wiedział, dlaczego potrzebna jest mi pomoc, nie potrzebowałbym jej.

— Nie jesteś dzisiaj zbyt rozmowny — mówi Sigfrid przez głośniczek umieszczony u szczytu materaca. Czasami używa bardzo realistycznego manekina, który siedzi w fotelu, stuka ołówkiem i chwilami uśmiecha się do mnie podstępnie. Denerwowałem się jednak przy nim i poprosiłem, by z niego nie korzystał.

481	IRRAY (0)=IRRAY (P)	13,320
	,C, wydaje mi się, że coś cię gryzie.	13,325
482	XTERNALS :66AA3 IF ;5B GOTO ** 7Z3	13,330
	XTERNALS @ 01R IF @ 7 GOTO ** 7Z4	13,335
	,S, gównu prawda, powtarzasz to bez przerwy	13,340
	XTERNALS /c99997AA! IF /c8 GOTO **7Z4 IF?	13,345
	GOTO ** 7Z10	13,350
	,S, niczym się nie martwię	13,355
483	IRRAY.GÓWNO..BEZ PRZERWY..MARTWIE/NIE.	13,360
484	,C, może mi o~tym opowiesz?	13,365
485	IRRAY (P)=IRRAY (Q) INITIATE COMFORT MODE	13,370
	,C, przecież to nic złego mówić o~własnych uczu	13,375
	ciach	13,380
487	IRRAY (Q)=IRRAY (R) GOTO ** 1 GOTO ** 2	13,385
	GOTO ** 3	13,390
489	,S, jesteś jak wrzód na dupie, sigfrid!	13,395
	XTERNALS /c1! IF ! GOTO ** 7Z10 IF ** 7Z10!	13,400
	GOTO ** 1 GOTO ** 2 GOTO ** 5 IRRAY	13,405
	.WRZÓD.	13,410

— A może opowiedziałbyś mi, o czym myślisz?

— O niczym konkretnym.

— Pozwól błędzić swoim myślom. Wymień pierwszą rzecz, jaka ci przyjdzie do głowy.

— Przypominam sobie... — mówię i przerywam.

— Co, Rob?

— Gateway?

— To brzmi bardziej jak pytanie niż odpowiedź.

— Może to jest pytanie. Nic na to nie poradzę. Rzeczywiście, przypominam sobie Gateway.

Jest wiele powodów, dla których powinienem ją pamiętać. Stamtąd mam pieniądze, bransolety, wszystko... Wracam myślami do dnia, kiedy odlatywałem z Gateway. To było, niech

sobie przypomnę, trzydziestego pierwszego dnia dwudziestej drugiej Orbity, to znaczy ponad szesnaście lat temu. Wyszedłem ze szpitala dosłownie przed półgodziną i nie mogłem doczekać się chwili, kiedy odbiorę pieniądze, wsiądę na statek i odlecę.

— Może powiedz głośno, o czym myślisz? — mówi Sigfrid uprzejmie.

— Myślę o Shikitei Bakinie.

— Tak, przypominam sobie, wspominałeś o nim. A co konkretnie myślisz?

Nie odpowiadam. Pokój starego Shicky Bakina, kaleki bez nóg, był obok mojego, ale nie chcę o tym z Sigfridem rozmawiać. Wiercę się więc na okrągłym materacu myśląc o Shickym i zmuszając się do płaczu.

— Co cię gnębi, Bob?

Na to także nie odpowiadam. Shicky był chyba jedyną osobą na Gateway, z którą się pożegnałem. To śmieszne. Różnica między nami była ogromna — ja byłem poszukiwaczem, a Shicky śmieciarzem. Zarabiał tylko tyle, że wystarczało mu na zapłacenie podatku od życia, wykonywał różne dorywcze prace, bo nawet na Gateway potrzebują kogoś do sprzątnia. W końcu jednak robi się zbyt stary i schorowany, by był z niego jakiś pożytek. Jeśli będzie miał szczęście, wypchną go w otwarty Kosmos i umrze. Jeśli nie — odeślą go pewnie na jakąś planetę. Tam też niedługo umrze, ale wprawdzie będzie musiał przeżyć kilka tygodni jako bezbronny kaleka.

A więc był moim sąsiadem. Co rano, wstawszy z łóżka, mozolnie odkurzał każdy centymetr kwadratowy swojej kabiny. Było brudno, bo na Gateway, pomimo prób utrzymania porządku, w powietrzu bez przerwy unosiły się śmieci. Kiedy już dokładnie oczyścił wszystko, nawet korzenie maleńkich krzaczków, które sam zasadził i wyhodował, brał garść kamyczków, zakrętek od butelek, skrawków papieru — to wszystko, co właśnie uprzątnął — i starannie rozkładał te śmieci na dopiero co wysprzątaną podłogę. Dziwne! Dla mnie wyglądało to jak przedtem, Klara jednak twierdziła, że widzi różnicę.

— O czym przed chwilą myślałeś? — pyta Sigfrid.

Podkurczam nogi i coś tam mamroczę.

— Nie zrozumiałem, Robbie?

Nie odpowiadam. Zastanawiam się, co się stało z Shickym. Pewnie umarł, i nagle robi mi się przykro, gdy sobie pomyślę, że umarł tak daleko od Nagoi i znowu żałuję, że nie potrafię płakać. Bo nie potrafię! Kręcę się i wiercę. Naprężam się, aż trzeszczą przytrzymujące mnie paski. Nic nie pomaga. Nie widać po mnie ani bólu, ani wstydu. Czuję się zadowolony z moich usiłowań, choć muszę przyznać, że są one raczej bez efektu, a koszmarna rozmowa toczy się dalej.

— Nie odpowiadasz. Bob — mówi Sigfrid. — Czy czegoś mi nie chcesz powiedzieć?

— Cóż to za pytanie? — odpowiadam gwałtownie. — Skąd mogę wiedzieć? — Przez chwilę analizuję swoją pamięć szukając w jej zakamarkach jakichś tajemnic, które mógłbym jeszcze ujawnić Sigfridowi.

— To chyba nie o to chodzi — mówię powoli. — Nie wydaje mi się, żebym starał się coś w sobie zdusić. Bardziej o to, że jest tak wiele spraw, o których chciałbym porozmawiać, że nie wiem, od czego zacząć.

— Od czegokolwiek. Od tego, co ci pierwsze przyjdzie do głowy.

Wydaje mi się to bez sensu. Skąd mam wiedzieć, która z tych spraw przychodzi mi pierwsza do głowy, gdy wszystkie na raz kotłują się w pamięci. Ojciec? Matka? Sylwia? Klara?

Biedny Shicky usiłujący utrzymać bez nóg równowagę w locie, wychwytyjący w powietrzu Gateway leciusienkie odpadki, niczym polująca na muszki jaskółka?

Sięgam do miejsc, które bołą. Wiem o tym, ponieważ nie raz już bołały. Jako siedmiolatek paruję tam i z powrotem na oczach innych dzieci po chodniku Skalistego Parku, modląc się o to, by ktokolwiek mnie zauważył. Albo jesteśmy w nie — przestrzeni i wiemy, że znaleźliśmy się w pułapce — z nicości przed nami wyłania się gwiazda — widmo jak uśmiech kota z „Alicji w Krainie Czarów”. Mam setki takich wspomnień i wszystkie one bołą. W indeksie pamięci wyraźnie zaklasyfikowane są jako bolesne. Wiem, gdzie je można odnaleźć i wiem, co należy dać im wydostać się na powierzchnię.

Ale nie zabolą, jeśli zostawię je w spokoju.

— Czekam — mówi Sigfrid.

— Zastanawiam się właśnie — odpowiadam, i kiedy tak sobie leżę, przychodzi mi do głowy, że spóźnię się na lekcję gry na gitarze. To każe mi spojrzeć na palce lewej dłoni, sprawdzam, czy paznokcie za bardzo nie urosły i żałuję, że opuszki nie są twardsze i grubsze. Nie umiem jeszcze zbyt dobrze grać, ale ludzie przeważnie mnie nie krytykują, a gra sprawia mi przyjemność. Trzeba jednak dużo ćwiczyć i pamiętać o wielu rzeczach. Na przykład zastanawiam się, jak przechodzi się z D-dur z powrotem na C7?

— Bob — mówi Sigfrid — nasze spotkanie nie było dotychczas zbyt owocne. Zostało jeszcze dziesięć lub piętnaście minut. Może powiedziałaś w tej chwili pierwszą rzecz, jaka ci przychodzi do głowy?

Odrzucam pierwszą i mówię o drugiej. — Pierwsza rzecz, jaka mi się przypomina, to matka płacząca po śmierci ojca.

— Nie wydaje mi się. Bob, żeby to rzeczywiście była pierwsza rzecz. Poczekaj, niech zgadnę. Może miało to coś wspólnego z Klarą?

Wciągając głęboko powietrze, przebiegają mnie dreszcze. Zaczynam gwałtownie oddychać, i nagle przede mną wyłania się Klara. Klara sprzed szesnastu lat i ani trochę nie starsza. — Mówię prawdę — odpowiadam — wydaje mi się, że chcę rozmawiać o matce — pozwalam sobie na uprzejmy, pogardliwy uśmiechek.

Sigfrid nigdy nie wzdycha z rezygnacją, ale potrafi zachować milczenie w taki sposób, który oznacza to samo.

— Widzisz — ciągnę dalej ostrożnie podkreślając wszystkie istotne szczegóły — matka po śmierci ojca chciała ponownie wyjść za mąż. Nie od razu, oczywiście. Nie znaczy to, że cieszyła się z jego śmierci, czy coś w tym rodzaju. Nie, ona go rzeczywiście kochała. Ale w końcu teraz zdaje sobie sprawę z tego, że była młodą, no, względnie młodą, zdrową kobietą. Miała chyba trzydzieści trzy lata. Gdyby nie ja, na pewno wyszłaby za mąż po raz drugi. Czuję, że to moja wina. Ja jej w tym przeszkodziłem. Przychodziłem do niej i mówiłem „Mamusiu, nie potrzebujesz innego mężczyzny. Ja będę głową rodziny, zaopiekuję się tobą”. Tylko, że oczywiście nie mogłem, miałem dopiero pięć lat.

— Raczej dziewięć, Robbie.

— Zaraz, niech się zastanowię, chyba masz rację. — Nagle coś jakby mi uwięzło w gardle, więc krztuszę się i kaszlę.

— Powiedz to. Rob! — nalega Sigfrid. — Co chciałeś powiedzieć?

— Idź do diabła!

— Dalej, Robbie, powiedz!

— Co mam powiedzieć? Chryste Panie, Sigfrid! Doprowadzasz mnie do szału! To pieprzenie prowadzi do nikąd!

— Proszę cię, powiedz, co cię gryzie!

— Zamknij się, ty cholerna puszeko! — Cały dokładnie skrywany ból wypycha się na powierzchnię i nie mogę go już znieść, nie mogę sobie z nim dać rady.

— Bob, radziłbym ci spróbować. . .

Szarpię się w pasach, wrywając kawałki gąbki z materaca.

— Zamknij się! — ryczę. — Nie chcę tego słuchać! Nie mogę sobie z tym poradzić, nie rozumiesz tego? Nie mogę! Nie mogę!

Sigfrid cierpliwie czeka, aż przestanę szlochać, co następuje dość nagle. Uprzedzam go i mówię znużonym głosem — Cholera, Sigfrid, to do niczego nie prowadzi. Chyba powinniśmy dać sobie spokój. Są pewnie inni ludzie, którzy bardziej potrzebują twojej pomocy.

— Jeśli o to chodzi — stwierdza — jestem w stanie sprostać wszystkim potrzebom w czasie mojej pracy.

Wycieram łzy papierowymi chusteczkami, które położył obok materaca, i nic nie odpowiadam.

— Moje możliwości nie są nawet wykorzystane do końca — ciągnie. — Pamiętaj, że to do ciebie należy decyzja, czy będziemy się nadal spotykać, czy nie.

— Czy masz coś do picia w pomieszczeniu wypoczynkowym? — pytam.

— Nic takiego, o czym myślisz. Słyszałem, że na ostatnim piętrze tego budynku jest dość przyjemny bar.

— Zastanawiam się więc — mówię — co ja tu jeszcze robię?

Kwadrans później siedzę w kabinie wypoczynkowej Sigfrida, z którym jak zwykle umówiłem się na następny tydzień, i popijam herbatę. Nadstawiam ucha, czy następny pacjent zaczął już krzyczeć, ale nic nie słyszę.

Myję więc twarz, poprawiam apaszkę i przyglądam włosy. Idę na jednego do baru na górę. Kierownik sali, który jest człowiekiem, zna mnie i wskazuje mi miejsce z widokiem na południowy kraniec Klosza, czyli na Dolną Zatokę. Spogląda w kierunku samotnie siedzącej wysokiej dziewczyny o zielonych oczach i skórze o miedzianym połysku, lecz kiwam przecząco głową. Podziwiając długie nogi dziewczyny szybko wypijam niedużego drinka i zastanawiając się głównie nad tym, gdzie zjem obiad, postanawiam nie rezygnować z lekcji gry na gitarze.

Rozdział drugi

Odkąd sięgam pamięcią, zawsze chciałem być poszukiwaczem. Miałem może z sześć lat, kiedy rodzice zabrali mnie na jarmark do Cheyenne. Hot dogi, prażona soja, kolorowe papierowe baloniki napełnione wodorem, cyrk z psami i końmi, loterie, zabawy, karuzele. Był też dmuchany namiot o nieprzezroczystych ścianach. Płaciło się za wstęp, a w środku znajdowała się wystawa rzeczy przywiezionych z tuneli Heechów na Wenus. Wachlarze modlitewne, ogniste perły, lustra z prawdziwego metalu Heechów, które można było kupić po dwadzieścia pięć dolarów za sztukę. Tata twierdził, że nie były prawdziwe, ale dla mnie były. Zresztą nie mogliśmy sobie na nie pozwolić, a i tak właściwie nie potrzebowałem lustra. Miałem piegowatą twarz, nierówne zęby, włosy zaczesywałem do tyłu i wiązałem. Gateway odkryto niedawno. Pamiętam, jak ojciec mówił o tym w aerobusie w drodze powrotnej. Pewnie myśleli, że spałem, ale zasnąć nie pozwoliło mi uczucie rzewnego rozmarzenia, które wychwyciłem w głosie ojca.

Gdyby nie mama i ja, być może znalazłby sposób, żeby wyjechać. Ale nie zdążył — rok później już nie żył. Odziedziczyłem po nim jedynie miejsce pracy, które przejąłem, gdy tylko osiągnąłem odpowiedni wiek.

Nie wiem, czy ktoś z was kiedykolwiek pracował w kopalni żywności, ale pewnie o nich słyszeliście. Nic przyjemnego. Zacząłem pracować na pół etatu i na pół pensji, gdy miałem dwanaście lat. Kiedy skończyłem szesnaście, robiłem to co ojciec — wierciłem otwory pod ładunki. Dobry zarobek, ale ciężka praca.

CHATA HEECHÓW

Prosto z zaginionych tuneli Wenus!
Rzadkie przedmioty kultu!
Bezcenne klejnoty noszone ongiś przez tajemniczą rasę!
Zadziwiające odkrycia naukowe!
AUTENTYCZNOŚĆ GWARANTOWANA!
Zniżka dla studentów i grup naukowych.
TE WSPANIAŁOŚCI SĄ STARSZE NIŻ LUDZKOŚĆ!
Po raz pierwszy po przystępnej cenie.
Dorośli 2,50 dol. Dzieci 1,00 dol.
Właściciel Dr Delbert Guyne

Tylko na co można wydać te pieniądze? Nie wystarczą na Pełny Serwis Medyczny. Nie wystarczą nawet na to, by wyciągnąć człowieka z kopalni, może ledwie na sławę miejscowego szczęściarza. Pracuje się sześć godzin, potem ma się dziesięć godzin wolnego. Osiem

godzin snu i od nowa: ubranie robocze przesiąknięte smrodem iltu. Palić wolno tylko w odizolowanych pomieszczeniach. Wszędzie osiadają opary ropy. Dziewczyny są równie pachnące, schludne i wypoczęte.

Wszyscy robiliśmy to samo: podrywaliśmy sobie nawzajem dziewczyny i graliśmy na loterii. Piliśmy dużo taniego mocnego alkoholu, który produkowano dosłownie parę kilometrów od nas. Czasami nazywał się szkocka whisky, czasem wódka lub burbon, ale pochodził z tej samej kadzi. Nie różniłem się niczym od innych, z wyjątkiem jednego — pewnego dnia wygrałem na loterii. I dzięki temu mogłem się stamtąd wydostać.

Zanim to się stało — po prostu egzystowałem, nic więcej.

Moja matka też pracowała w kopalni. Po śmierci ojca w czasie pożaru szybu wychowywała mnie sama korzystając jedynie z przedszkola spółki. Żyło nam się razem całkiem dobrze, aż do czasu mego psychotycznego epizodu. Miałem wtedy dwadzieścia sześć lat i kłopoty z dziewczyną. Od nich się zaczęło. Przez pewien czas nie byłem zdolny wstać z łóżka. Wsadzili mnie do szpitala i wypadłem z obiegu na ponad rok. Kiedy mnie wypuścili, matka nie żyła.

Nie ma co ukrywać — to była moja wina. Nie to, żebym chciał tego, ale gdyby nie musiała się o mnie martwić, pewnie by żyła dłużej. Nie starczyło pieniędzy na leczenie nas obojga. Mnie potrzebna była psychoterapia, jej — nowe płuco. Nie dostała go, więc umarła.

Znienawidziłem nasze mieszkanie po jej śmierci, ale alternatywą byłoby przeniesienie się do kwatery dla kawalerów. Nie nęcił mnie pomysł przebywania w tak dużej grupie innych mężczyzn. Oczywiście, mogłem się również ożenić. Nie zrobiłem tego — Sylwia, z którą kiedyś miałem problem, dawno już zniknęła — ale nie dlatego, żebym miał coś przeciwko małżeństwu. Ktoś może pomyśli, że właśnie dlatego, gdy weźmie pod uwagę moją historię choroby i fakt, że mieszkalem z matką, póki żyła. Ale to nieprawda. Bardzo lubiłem dziewczyny i byłbym szczęśliwy, gdybym mógł się ożenić i mieć dziecko.

Ale nie w kopalni.

Nie chciałem pozostawić mego syna w sytuacji podobnej do tej, w jakiej zostawił mnie mój ojciec.

Wiercenie otworów strzałowych jest cholernie ciężką robotą. Teraz używa się parowych silników z termospiralami Heechów, ilt po prostu grzecznie się rozstępuje i daje się kroić jak masło. Ale za moich czasów wierciło się i zakładało ładunki. Zmiana zaczynała się szybkim zjazdem do szybu. Oślizgła i śmierdząca ściana przesuwiała się tuż obok z prędkością sześćdziesięciu kilometrów na godzinę. Widziałem górników, którzy nie wytrzeźwiawszy jeszcze zataczali się, wyciągali rękę, by się podeprzeć, i cofali już tylko kikut. Później wyłazisz z windy i pokonujesz śliską i nierówną drogę po chodnikach z desek, które ciągną się jakiś kilometr, zanim dojdzie się do przodka. Wiercisz otwór. Zakładasz ładunki. Potem uciekasz przed wybuchem do kryjówki z nadzieją, że wszystko dobrze wyliczyłeś i że cała ta cuchnąca, kleista masa nie spadnie ci na łeb. Jeśli zasypie cię żywcem — w sypkim ile przeżyjesz nawet do tygodnia. Byli tacy, co przeżyli. Gdy pomoc przez trzy dni nie nadejdzie, uratowani później ludzie i tak już są do niczego. Kiedy więc wszystko skończy się szczęśliwie, idziesz na następne miejsce wierceń uskakując przed toczącymi się po szynach ładownikami.

Podobno maski chronią przed węglowodorami i pyłem skalnym. Na smród jednak nie pomagają. Nie jestem także pewien, czy rzeczywiście zatrzymują wszystkie węglowodory. O ile wiem, moja matka nie była jedyną osobą zatrudnioną w kopalni, która potrzebowała nowego płuca. Ani też jedyną, której nie było na to stać.

Dokąd można pójść po skończonej zmianie?

Do baru, przespać się z dziewczyną, do świetlicy, by pograć w karty. Ogląda się też telewizję.

Nie wychodzi się często, bo nie ma dokąd. Jest kilka parczków, bardzo zadbanych, z pieczołowicie hodowaną roślinnością. W Parku Skalistym jest nawet żywopłot i trawnik. Założę się, że nigdy nie widzieliście trawnika, który trzeba co tydzień myć, szorować (używając detergentu!) i suszyć. Inaczej by wszystko obumarło. Dlatego zostawiamy parki dzieciom.

Poza parkami w Wyoming jak okiem sięgnąć rozciąga się jedynie naga ziemia, przypominająca powierzchnię Księżyca. Ani śladu zieleni, ani śladu życia — nie ma ptaków, wiewiórek, żadnych zwierząt. Jest zaledwie kilka zamulonych, oślizgłych potoków, którym warstwa ropy nadaje jaskrawy żółtoczerwony odcień. Podobno to i tak dobrze, bo w naszej części Wyoming wierci się szyby. W Colorado są kopalnie odkrywkowe, co jest dużo gorsze.

Nigdy nie mogłem w to uwierzyć, ale też nigdy nie pojechałem, żeby sprawdzić.

Temu wszystkiemu towarzyszy bez przerwy odór, ruch i zgiełk. Zamglone zachodzące słońce pomarańczowobrazowej barwy. Nieustanny smród. Dzień i noc ryk pieców ekstrakcyjnych, które podgrzewają i mielą margiel, by wydobyć z niego kerogen. Nieprzerwane dudnienie pasa transmisyjnego, który wywozi zużyty ił gdzieś na wysypisko.

Widzicie, żeby wydobyć ropę, należy skałę podgrzać. Rozgrzewana, powiększa swoją objętość jak prażona kukurydza. Nie ma więc gdzie jej podziać. Nie da się jej wcisnąć do szybu, z którego się ją wydobyło, bo zajmuje teraz zbyt wiele miejsca. Jeśli wykopimy górę ił i odłączymy od niego ropę, to co zostanie, wystarczy na dwie takie góry. I tak się robi. Buduje się nowe wzgórza.

Wydzielające się z ekstraktów ciepło ogrzewa pomieszczenia uprawne i kiedy ropa prześacza się przez nie, wydziela nowy muł zbierany przez odpowiednie cedzidła. Muł ten jest suszony i prasowany, a następnego ranka zjadamy go, przynajmniej w części, na śniadanie.

To śmieszne! W dawnych czasach ropa podobno sama tryskała z ziemi. Ludzie znali dla niej tylko jedno zastosowanie — wlewali ją do samochodów i spalali.

Wszystkie programy telewizyjne pokazują krzepiące reklamówki, które opowiadają nam, jak ważna jest nasza praca, i że wyżywienie całego świata zależy od nas. To wszystko prawda. Nie muszą nam o tym stale przypominać. Gdyby nie my, w Teksasie panowałby głód, a wśród dzieci Oregonu szerzyłby się kwasiorkowiec. Wszyscy o tym wiemy. Dostarczamy światu pięć bilionów kalorii dziennie i połowę normy białka dla około jednej piątej ludności Ziemi. Pochodzi ono z drożdży i bakterii, które hodujemy na ropie ilastej wydobywanej w Wyoming, a także częściowo w Utah i Colorado. Świat potrzebuje tej żywności. Na razie kosztowała nas ona większą część Wyoming, połowę Appalachów, dużą połać smolnych piasków Athabaski... A co zrobimy z tymi wszystkimi ludźmi, kiedy ostatnia kropla węglowodoru zostanie przemieniona w drożdże?

To nie moja sprawa, ale i tak o tym myślę.

Przestałem się przejmować, kiedy wygrałem na loterii, było to dzień po Bożym Narodzeniu, w moje dwudzieste szóste urodziny.

Nagroda wynosiła dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Starczyłoby na królewskie życie przez rok. Starczyłoby również na to, bym się ożenił i utrzymał rodzinę, zakładając, że obydwójce pracujemy i nie żyjemy zbyt rozrzutnie.

Starczyłoby również na bilet do Gateway, w jedną stronę.

Zabrałem kupon loterii do biura podróży i opłaciłem nim przelot. Ucieszyli się na mój widok, klientów mieli niewielu, zwłaszcza w tym kierunku. Zostało mi mniej więcej dziesięć tysięcy dolarów, dokładnie nie liczyłem. Zaprosiłem do baru całą moją zmianę. Przyjęcie trwało prawie dobę, uczestniczyło w nim pięćdziesięciu robotników, wielu innych znajomych i kilku przygodnych gości, którzy wprosiли się sami.

Potem zataczając się podążyłem w typowej dla Wyoming zamieci w kierunku biura podróży. Pięć miesięcy później byłem na drodze do realizacji marzenia o karierze poszukiwacza, zbliżałem się do asteroidu patrząc przez iluminator na brazylijski krążownik, który wzywał nas do zatrzymania się.

Rozdział trzeci

Sigfrid nigdy nie zmienia tematu rozmowy. Nie mówi: — No dobrze, Bob, chyba już dość o tym. — Ale czasami, kiedy leżąc na materacu długo nie odpowiadam żartując czy mruczając coś pod nosem, odzywa się po chwili:

— Przejdźmy do czegoś innego. Mówiłeś mi, że kiedyś przydarzyło ci się coś takiego, o czym chciałbyś porozmawiać. Przypominasz sobie... było to ostatnim razem, gdy...

— Gdy rozmawiałem z Klarą — o to ci chodzi?

— Tak.

— Zawsze wiem, co chcesz powiedzieć.

— Czy to ma jakieś znaczenie. Bob? No więc? Czy chcesz mi zatem powiedzieć, jak czułeś się wtedy?

— Czemu nie. — Czyszczę sobie paznokieć środkowego palca prawej ręki wkładając go między dwa przednie dolne zęby. Przyglądam mu się i mówię: — Zdaję sobie sprawę, że było to bardzo ważne. Być może, była to najgorsza chwila w moim życiu. Gorsza nawet od tej, kiedy Sylwia wyzwała mnie od ostatnich lub kiedy dowiedziałem się, że moja matka umarła.

— Bob, czy to znaczy, że chciałbyś właśnie porozmawiać o którejś z tych dwóch spraw?

— Wcale nie. Przecież mówisz, bym opowiadał o Klarze. No dobrze.

Układam się na materacu z pianki i zastanawiam przez moment. Zawsze interesowała mnie intuicja transcendentálna i czasami, kiedy mam jakiś problem, zaczynam uparcie powtarzać swoją mantrę i za

322	,S, nie wiem, po co tu w~ogóle przycho	17,095
	dzę, sigfrid.	17,100
	IRRAY .PO CO.	17,105
324	,C, przypominam ci, robbie, że zużyłeś już	17,110
	trzy żołądki i, niech sprawdzę, prawie pięć	17,115
	metrów jelit	17,120
325	,C, wrzody, rak.	17,125
326	,C, coś cię chyba gryzie, bob	17,130

chwile znam już gotową odpowiedź. Sprzedaj akcje fermy rybnej w Baja i kup transport rur instalacyjnych na giełdzie. To jeden przykład i opłaciło się z nawiązką. Albo — zabierz Rachele na narty wodne do Meridy nad Zatoką Campeche. I rzeczywiście, poszła ze mną natychmiast do łóżka, podczas gdy wszystkie inne sposoby nie skutkowały.

— Nie odpowiadasz. Rob — mówi Sigfrid.

— Zastanawiam się nad tym, co powiedziałeś.

— Nie myśl o tym, proszę. Po prostu mów. Powiedz mi, jakie obecnie uczucia żywisz do Klary.

Staram się myśleć o tym szczerze. Sigfrid nie pozwala mi korzystać z IT, szukam więc w sobie stłumionych uczuć.

— Niezbyt silne — odpowiadam. — Przynajmniej na zewnątrz.

— Czy pamiętasz, co czułeś wtenczas?

— Doskonale.

— Postaraj się czuć to co wtedy.

— Dobrze. — Posłusznie rekonstruuje w myśli całą sytuację. Jestem tam, rozmawiam z Klarą przez radio. Dane krzyczy coś w ładowniku. Wszyscy jesteśmy nieprzytomni ze strachu. Pod nami otwiera się niebieskawa mgiełka i po raz pierwszy widzę przyćmioną kościotrupią gwiazdę. Trójka, nie — to była Piątka. . . Zresztą nieważne, cuchnie wymiotami i potem. Całe ciało mam obolałe.

Pamiętam to doskonale, choć skłamałbym, gdybym powiedział, że rzeczywiście to przeżywałem. Na poły chichocząc opowiadam nie przywiązując wagi do tego, co mówię: — Odbieram narastający ból, poczucie winy i cierpienie, i nie mogę sobie z tym poradzić. — Czasami próbuję z nim tak postępować wyznając bolesną prawdę tonem jakiego się używa na przyjęciu prosząc kelnera o kolejną szklankę ponczu. Robię to wtedy, kiedy chcę odeprzeć jego atak. Nie sądzę jednak, by to skutkowało. Sigfrid ma w sobie mnóstwo obwodów Heechów. Jest o całe niebo lepszy od maszyn, które były w Instytucie, gdy przydarzyła mi się tamta historia. Nieprzerwanie kontroluje wszystkie moje fizyczne parametry: przewodnictwo skóry, puls, aktywność beta i tak dalej. Odczyty uzyskuje z pasków, którymi jestem przypięty do materaca, po to by pokazać mi, jak gwałtownie rzucam się na wszystkie strony. Mierzy siłę mego głosu i bada widmowo odczyt szukając fałszywych tonów. Rozumie także znaczenie słów. Sigfrid jest niezwykle bystry, jeśli wziąć pod uwagę jego głupotę.

Nie łatwo daje się oszukać. Kiedy spotkanie dobiega już końca, opadam zupełnie z sił i czuję, że gdybym został jeszcze chwilę, ból opanowałby mnie bez reszty. Zniszczyłby mnie.

Lub wyleczył. A może to jedno i to samo.

Rozdział czwarty

Gateway rosła oto w iluminatorach naszego ziemskiego statku.

Był to asteroid, lub może jądro komety, około dziesięciu kilometrów długości, w kształcie gruszki. Z zewnątrz przypominała ciężką zwęgloną bryłę ze śladami błękitu. Wewnątrz była bramą do gwiazd.

Sheri Loffat, za którą tłoczyli się, wytrzeszczając oczy, pozostali przyszli poszukiwacze, oparła się o moje ramię.

— O Boże, Bob! — zawołała. — Popatrz na te krążowniki!

— Jeśli coś im się nie spodoba — rzucił ktoś z tyłu — to nas rozwałą.

— Co im by się miało nie spodobać — odpowiedziała Sheri, choć w jej głosie zabrzmiał niepokój. Okręty krążyły groźnie wokół asteroidu zazdrośnie bacząc, by nikt z nowo przybyłych nie wykradł jakichś drogocennych tajemnic.

Uwiesiliśmy się klamry iluminatora wlepiając wzrok w krążowniki. Była to głupota z naszej strony. Mogło się źle skończyć. Co prawda, niewielkie było prawdopodobieństwo, by orbita naszego statku wokół Gateway i brazylijskiego krążownika miały ten sam wymiar delty V, ale wystarczyła niewielka tylko zmiana kursu, a byłoby po nas. Zawsze istniała też możliwość, że nasz pojazd obróci się o jakieś dziewięćdziesiąt stopni i nagle w niewielkiej odległości przed nami wyłoni się nagie Słońce. Z tej odległości oznaczało to ślepotę nas wszystkich. Nie chcieliśmy jednak niczego przegapić.

Brazylijski krążownik nie podszedł bliżej. Obserwowaliśmy błyski światła i wiedzieliśmy, że sprawdzają laserem nasze towarospisy. Było to normalne. Mówiłem przedtem, że krążowniki wypatrują złodziei, ale tak na prawdę to bardziej zajmują się sobą nawzajem niż innymi sprawami. Nawet nami. Rosjanie są podejrzliwi wobec Chińczyków, Chińczycy wobec Rosjan, Brazylijczycy — Wenusjan. I nikt z nich nie ufa Amerykanom.

Tak więc pozostałe cztery krążowniki bardziej pilnowały Brazylijczyków niż ci z kolei nas. Wiedzieliśmy jednak dobrze, iż jeśli nasze kodowane certyfikaty nie będą zgodne z wzorami przekazanymi przez pięć konsulatów, które wystawiły je w porcie ekspedycyjnym na Ziemi, to następnym krokiem nie będzie dyskusja, ale torpeda.

To zabawne. Doskonale mogłem wyobrazić sobie tę torpedę, A także faceta, który z zimną krwią celuje i ją odpala, nasz statek rozkwitający płomieniem pomarańczowego światła, a także nas samych zamienionych w pojedyncze atomy na orbicie... Tylko że torpedę obsługiwał — jak sądzę mat Francis Hereira. Zostaliśmy później całkiem dobrymi kumplami. Nie był to facet, o którym można powiedzieć, że zabija bez zmużenia oka. Płakałem w jego ramionach cały dzień po powrocie z ostatniej podróży, w pokoju szpitalnym, gdzie Franczy miał mnie zrewidować w poszukiwaniu kontrabandy, a on płakał razem ze mną.

Krążownik odleciał. Łagodnie nami zakołysało i podczas gdy nasz statek zaczął zbliżać się do Gateway, rzuciliśmy się z powrotem do iluminatora.

— Wygląda jak ciężki przypadek ospy — zauważył ktoś.

I rzeczywiście tak wyglądała. Część blizn ziała pustką. Były to miejsca postoju statków, które wyruszyły na wyprawę. I niektóre pozostaną tak otwarte na zawsze, ponieważ statki nigdy nie powrócą. Większość z blizn pokrywały jednak jakieś wybrzuszenia przypominające kapelusze grzybów.

Te kapelusze, to były właśnie statki i na tym polegała rola Gateway.

Niełatwo było je dojrzeć. Gateway zresztą też. Po pierwsze jej zdolność odbijania promieni była niewielka, a poza tym sam asteroid nie był duży: jak już mówiłem, nie miał więcej niż dziesięć kilometrów długości, zaś dwa razy mniej w równiku obrotu.

Ale można ją było odkryć. Po tym, jak pierwsi szperacze naprowadzili astronomów na jej ślad, zaczęli zastanawiać się, dlaczego nie zauważyli jej sto lat wcześniej. Teraz, kiedy już wiedzą, gdzie jej szukać, łatwo ją znajdują. Czasami osiąga jasność widzianej z Ziemi gwiazdy siedemnastej wielkości. Można by pomyśleć, iż natrafiono na nią podczas zwykłych badań kartograficznych.

Tyle, że nie prowadzono zbyt wielu kartograficznych badań zwróconych w tym właśnie kierunku, a Gateway nie znajdowała się tam, gdzie jej szukano, jeśli w ogóle szukano.

Astronomia gwiazdowa zazwyczaj zajmuje się obszarem poza Słońcem. Astronomia słoneczna pozostaje zwykle w płaszczyźnie ekliptyki, a Gateway ma orbitę pod kątem prostym. Tak więc wymykała się obserwacjom.

— Dokowanie nastąpi za pięć minut — odezwał się piezofon. — Proszę wrócić na swoje koje i zasunąć siatki.

Byliśmy już prawie na miejscu.

* * *

Sheri Loffat wychyliła się i przez siatkę chwyciła mnie za rękę. Odwzajemniłem uścisk. Nigdy nie spaliśmy ze sobą ani nawet nie znaleźliśmy się, zanim nie zajęła sąsiedniej koi. Ale wibracje statku były aż seksualne. Jakbyśmy mieli zamiar zaraz to zrobić najwspanialej jak tylko można, nie był to jednak seks, była to Gateway.

Kiedy zaczęto badać powierzchnię Wenus, natrafiono na ślady Heechów.

Ich samych nie znaleziono. Kimkolwiek byli i kiedy przebywali na Wenus, teraz już ich tam nie było. Nie pozostały też żadne ciała w dołach grzebalnych, które można by ekshumować i pokroić. Natrafiono jedynie na tunele, jaskinie i trochę nieistotnych artefaktów — tych zagadkowych cudów techniki, nad którymi ludzie się głowią próbując je odtworzyć.

Potem ktoś odkrył mapę systemu słonecznego wykonaną przez Heechów. Widniał na niej Jupiter wraz ze swymi księżycami. Mars, zewnętrzne planety i para: Ziemia — Księżyc. A także Wenus, którą na błyszczącej niebieskawo powierzchni metalowej mapy oznaczono na czarno. I Merkury oraz jeszcze jedno orbitujące ciało, jedyne czarne, poza Wenus, krążyło ono wchodząc w perihelium Merkurego, na zewnątrz zaś wychodząc poza orbitę Wenus, nachylone pod kątem dziewięćdziesięciu stopni do płaszczyzny ekliptyki, tak że nigdy nie zbliżało się do żadnej z tych planet. Nigdy też nie zostało odkryte przez ziemskich astronomów. Domniemywano, że to asteroid lub kometa — różnica czysto semantyczna — do której, z jakiegoś znanego sobie jedynie powodu, Heechowie przywiązywali tak dużą wagę.

Prawdopodobnie prędzej czy później badania teleskopowe wyjaśniłyby tę zagadkę, ale nie było to takie ważne. Potem Słynny Sylvester Macklen,

Transkrypcja pytań i odpowiedzi z wykładu profesora Hegrameta.

Pytanie: Jak wyglądali Heechowie?

Profesor Hegramet: Tego nikt dokładnie nie wie. Nigdy nie znaleźliśmy czegoś, co by przypominało fotografię, rysunek, z wyjątkiem może dwóch lub trzech map. Ani nawet książki.

Pytanie: Czy posiadali jakiś system gromadzenia wiedzy, jak na przykład, pismo?

Profesor Hegramet: Oczywiście, coś takiego musieli mieć. Co to jednak dokładnie było, tego nie wiem. Podejrzewam, że... ale to tylko domysły.

Pytanie: Co?

Profesor Hegramet: Proszę pomyśleć o naszych metodach i jak zostałyby one przyjęte w czasach pre-technologicznych. Gdybyśmy na przykład pokazali Euklidesowi książkę, z pewnością domyśliłby się, co to jest, nawet gdyby nie rozumiał jej treści. Co by jednak powiedział na kasetę magnetofonową? Na pewno nie wiedziałby, co z nią zrobić. Podejrzewam, a raczej jestem pewien, że my posiadamy takie właśnie „książki” Heechów, których nie rozpoznajemy. Może to sztabka metalu? A może spirala Q na statkach, której działania nie znamy. Od dawna już podejrzewamy coś takiego. Sprawdzono też je na obecność kodów magnetycznych, zapisów chemicznych, czy mikrożłobienia. I nic z tego nie wyszło. Niewykluczone, że nie dysponujemy przyrządami potrzebnymi do odcyfrowania zakodowanych przekazów.

Pytanie: Jednej rzeczy zupełnie nie rozumiem. Dlaczego Heechowie opuścili tunele i cały swój świat? Dokąd się udali?

Profesor Hegramet: Młoda damo, sam chciałbym to wiedzieć.

który do czasu swej wyprawy nie był nikim sławnym, ledwie jednym z wielu szperaczy tunelowych na Wenus, odnalazł statek Heechów, dotarł do Gateway, gdzie zginął. Udało mu się jednak — inteligentnie aranżując eksplozję pojazdu powiadomić ludzi, gdzie się znajduje. Wtedy NASA skierowała tam swój próbnik, dotąd badający chromosferę Słońca, Gateway została odkryta i stała się otworem przed człowiekiem.

Wewnątrz były gwiazdy.

Wewnątrz — ujmując to w sposób mniej poetycki a bardziej dosłowny — znajdowało się prawie tysiąc małych statków kosmicznych przypominających olbrzymie grzyby. Były różnej wielkości i kształtu. Najmniejsze, zakończone półkuliście, wyglądały jak pieczarki, które kupić można w sklepie i które hoduje się w oczyszczonych z ifu tunelach Wyoming. Większe, spiczaste, przypominały smardze. Wewnątrz kapeluszy znajdowały się pomieszczenia mieszkalne oraz system napędowy, którego nikt nie rozumiał. Na dolną część składały się rakiety chemiczne podobne do tych, jakich używano do pierwszych lądowników księżycowych.

Nikt nigdy nie odkrył, jaki napęd mają te kapelusze lub też jak można nimi kierować.

To, że podejmujemy ryzyko z czymś, czego nikt nie rozumie, niepokoiło nas wszystkich. Kiedy się leci w statku Heechów, nie ma się nad nim żadnej kontroli. Ich kursy wpisane zostały w system kierowania w sposób, którego do tej pory nikt nie wyjaśnił, jeśli wybrałeś jakiś kurs, to koniec — nie mogłeś go już zmienić, nie wiedziałeś, dokąd cię prowadzi, podobnie jak nie wiesz, co zawiera paczka z prezentem, dopóki jej nie otworzysz.

Ale statki wciąż były sprawne. Były sprawne po upływie, jak mówią, może i pół miliona lat.

Pierwszemu facetowi, który miał tyle odwagi, by wsiąść do jednego z nich i wystartować, powiodło się. Pojazd wysunął się ze swojego leja na powierzchnię asteroidu. Zamigotał, zajaśniał i zniknął.

Trzy miesiące później był już z powrotem z wygłodzonym, zszokowanym lecz triumfującym astronautą na pokładzie. Dotarł do innej gwiazdy! Okrążył wielką szarą planetę otoczoną wirującymi żółtymi obłokami, po czym udało mu się przestawić stery, a wbudowany system kierowania przywiódł go dokładnie do tego samego leja.

Wysłano więc następny statek, tym razem w jednym z tych dużych pojazdów w kształcie smardza znalazła się czteroosobowa załoga i olbrzymie zapasy żywności i sprzętu. Nie było ich raptem jakieś pięćdziesiąt dni. W tym czasie nie tylko znaleźli się w innym systemie słonecznym, ale także użyli i lądownika, by dotrzeć na powierzchnię planety. Nie zastali tam żadnych żywych istot... ale kiedyś tam były.

Znaleźli jakieś szczątki. Wprawdzie niezbyt dużo — trochę gruzu na szczycie góry, która uniknęła zniszczenia, jakie dotknęło planetę. Z radioaktywnego pyłu wydobyli cegłę, ceramiczny sworzeń, na poły stopioną bryłkę, która wyglądała jakby kiedyś była chromowym fletem.

Potem już zaczęła się gorączka podróży gwiazdnych... a my byliśmy jej częścią.

Rozdział piąty

Z Sigfrida jest całkiem bystra maszyna, ale niekiedy zupełnie go nie rozumiem. Zawsze mnie prosi, bym opowiadał mu swoje sny. Czasami jednak, kiedy przychodzę cały podniecony chcąc opisać mu jakiś podręcznikowy sen, o którym wiem, że mu się spodoba i w którym pełno symboli fallicznych, fetyszyzmu jak i poczucia winy, rozczarowuje mnie. Podejmuje zupełnie inny dziwaczny temat, który nie ma z nim nic wspólnego. Opowiadam mu wszystko, a wtedy siada i klekocze przez chwilę, brzęczy, warczy — oczywiście tylko w mojej wyobraźni — po czym mówi:

— Porozmawiajmy o czymś innym. Bob. Interesują mnie pewne rzeczy, które opowiadałeś o tej Gelle Klarze Moylin.

— Sigfrid, znowu zbaczasz z tematu.

— Nie sądzę.

— Ale ten sen. O Boże! Czy nie zdajesz sobie sprawy, jakie to ważne? A co z symbolem matki, który się w nim pojawia?

— Pozwól, że sam zadecyduję, co mam robić.

— Czy pozostaje mi więc jakiś wybór? — odpowiadam ponuro.

— Zawsze masz możliwość wyboru. Chciałbym jednak zacytować ci coś, co już mi kiedyś powiedziałeś. — Przerywa i wtedy słyszę swój własny głos odtworzony z jednej z jego taśm.

— *Sigfrid! Odbieram narastający ból, poczucie winy i cierpienie, i nie mogę sobie z tym poradzić.*

Czeka, bym się odezwał.

— Niezłe nagranie — przyznaję po chwili — wolałbym jednak porozmawiać o fiksacji na matce w moich snach.

— Wydaje mi się, że bardziej efektywne byłoby zajęcie się tamtą drugą sprawą. Nie wykluczone, że łączą się ze sobą.

— Naprawdę? — podnieca mnie myśl o przedyskutowaniu tej teoretycznej możliwości w bezstronny filozoficzny sposób, ale Sigfrid przerywa mi z miejsca.

— Ta ostatnia rozmowa, jaką prowadziłeś z Klarą. Proszę cię. Bob, powiedz mi, co o niej myślisz.

— Mówiłem ci już. — Nie sprawia mi to żadnej przyjemności. Poza tym to strata czasu. Jestem pewien, że Sigfrid wyczuwa to z tonu mego głosu i naprężenia ciała w przytrzymujących mnie paskach. — Było to nawet gorsze od tego, co czułem wobec matki.

— Rob, zdaję sobie sprawę, że to o niej wolałbyś opowiadać, ale nie teraz. Powiedz mi, jak to było wtedy z Klarą i jak w tej chwili to odbierasz?

Staram się myśleć szczerze. Przynajmniej tyle mogę zrobić. Tak naprawdę jednak nie muszę odpowiadać. — Tak sobie. — Nic innego nie przychodzi mi do głowy.

— Tylko tyle możesz powiedzieć? — pyta po chwili.

— Tak. „Tak sobie”. Przynajmniej z zewnątrz. — Chociaż dobrze pamiętam, co czułem wtedy.

Bardzo ostrożnie przywołuję to wspomnienie, by zobaczyć, jak było naprawdę. Pogrążamy się w niebieskawej mgiele. Widzimy po raz pierwszy tę przyćmioną kościotrupią gwiazdę, i rozmowa z Klarą przez radio, podczas gdy Dane szepce mi coś do ucha... Odpycham to wspomnienie.

— To wszystko bardzo boli, Sigfrid — stwierdzam spokojnie. Czasami próbuję go oszukać mówiąc rzeczy dla mnie bardzo istotne takim tonem, jakbym zamawiał filiżankę kawy. Nie sądzę jednak, by to skutkowało. Sigfrid wsłuchuje się w siłę głosu, szukając fałszywych tonów, ale słyszy także oddech i pauzy, wyczuwa też sens słów. Jest niezwykle bystry, jeśli wziąć pod uwagę jego głupotę.

Rozdział szósty

Pięciu zawodowych podoficerów z poszczególnych załóg krążowników przeszukało nas dokładnie, sprawdziło karty identyfikacyjne i przekazało w ręce rozdzielającej przydziały urzędniczki Korporacji. Sheri zachichotała, kiedy rewidujący ją Rosjanin dotknął jakiegoś czułego miejsca. Czego oni szukają? — wyszeptła.

Uciszyłem ją. Kobieta z Korporacji zabrała karty lądowania od pełniącej tego dnia służbę chińskiej załogi i po kolei wywoływała nasze nazwiska. Było nas razem ośmioro.

— Witajcie na miejscu — powiedziała. — Każdemu z was przydzielamy opiekuna, który pomoże wam znaleźć mieszkanie, będzie odpowiadał na wasze pytania, wskaże wam, gdzie macie się zgłosić na badania medyczne a gdzie na zajęcia. Przekaze wam też kopię umowy do podpisania. Z pieniędzy, które przywieźliście ze sobą, potrąciliśmy każdemu z was sumę 1150 dolarów, stanowi to podatek za pierwszych dziesięć dni. Resztę możecie pobrać, kiedy tylko chcecie, wystawiając piezo-czek. Opiekun wam pokaże, jak to się robi. Linscott! — zawołała.

Czarny mężczyzna w średnim wieku z Baja California podniósł rękę do góry. — Twoim opiekunem jest Szota Taraszwili. Broadhead!

— Jestem!

— Dane Miecznikow! — obwieściła urzędniczka Korporacji.

Zacząłem się rozglądać, ale facet, który bez wątpienia był Miecznikowem, już zbliżał się w moim kierunku. Wziął mnie energicznie pod ramię, pociągnął kawałek, w końcu powiedział:

— Cześć!

Zawahałem się.

— Chciałem się pożegnać z moją przyjaciółką.

UMOWA

1. Ja niżej podpisany, świadom swego postępowania, niniejszym przyznaję władzom Gateway wszelkie prawa do wszystkich odkryć, artefaktów, obiektów oraz przedmiotów wartościowych, na które mogę natrafić w wyniku badań z wykorzystaniem dostarczonego mi przez Korporację statku lub informacji.
2. Władze Gateway mają wyłączne prawo podejmowania decyzji o sprzedaży, dzierżawie lub innych formach wykorzystania artefaktów, obiektów i wszelkich innych przedmiotów wartościowych stanowiących efekt mojej działalności w ramach niniejszej umowy. W tym przypadku wyrażają zgodę na przyznanie mi 50
3. Przyznaję Władzom Gateway całkowite prawo do wszelkiego rodzaju decyzji związanych z eksploatacją, sprzedażą bądź dzierżawą wszystkich odkryć łącznie z prawem do łączenia moich odkryć i innych wartościowych przedmiotów znalezionych w ramach niniejszej umowy z podobnymi odkryciami i przedmiotami innych osób i tym samym wyrażam zgodę na udział w zyskach w proporcjach określonych przez Władze Gateway. Jednocześnie przyznaję Władzom Gateway wyłączne prawo decyzji o zaprzestaniu eksploatacji wszelkich odkryć czy wartościowych przedmiotów.
4. Zwalniam Władze Gateway od wszelkiej odpowiedzialności wynikającej z moich ewentualnych wypadków czy strat w związku z moją działalnością w ramach niniejszej umowy.
5. W przypadku nieporozumień wynikających z powyższej umowy wyrażam zgodę na interpretację jej wedle praw i precedensów obowiązujących na Gateway i tym samym rezygnuję z powoływania się na prawa i precedensy jakiegokolwiek innej jurysdykcji.

— Wszyscy będziecie w tej samej strefie — mruknął. — Idziemy.

Tak więc w ciągu dwu godzin po wylądowaniu na Gateway miałem już pokój, opiekuna no i kontrakt. Od razu podpisałem wszystkie warunki. Nawet ich nie czytałem. Miecznikow wyglądał na zdziwionego. — Nie chcesz wiedzieć, o co tu chodzi?

— Nie w tej chwili. — Co by to zresztą dało? Gdyby mi się nie spodobała ich treść i chciałbym zmienić zdanie, czy miałem inne wyjście? Już to, że się jest poszukiwaczem, napawa lękiem. Zawsze przeraża mnie myśl o śmierci — że mam przestać żyć, że wszystko się skończy, kiedy inni będą żyć dalej, kochać się, cieszyć, a ja nie będę już mógł w tym uczestniczyć. Nie napawało mnie to jednak takim przerażeniem, jak myśl o powrocie do kopalni żywności.

Miecznikow uwiesił się za kołnierz na haku w ścianie mego pokoju, by mi nie przeszkadzać, kiedy będę się rozpakowywał. Był to przysadzisty, bladej mężczyzna, nie za bardzo rozmowny. Nie wyglądał na zbyt sympatycznego, ale przynajmniej nie wyśmiewał się ze mnie z tego powodu, że byłem nieporadnym nowicjuszem. Na Gateway siła grawitacji jest bliska zeru. Nigdy nie zdarzyło mi się doświadczyć czegoś podobnego; w Wyoming nie ma się takich problemów, popełniałem więc błędy. Powiedziałem mu o tym.

— Przyzwyczaisz się — odrzekł. — Czy dostałeś już bony na żarcie?

— Niestety, nie.

Westchnął, wyglądał trochę jak zawieszony na ścianie posążek Buddy z podciągniętymi nogami. Potem popatrzył na odczytnik czasu.

— Później pójdziemy się czegoś napić — powiedział. — Taki jest zwyczaj. Tyle, że do dwudziestej drugiej nic ciekawego się tu nie dzieje. W Błękitnym Piekiełku dopiero wtedy jest mnóstwo ludzi. Zapoznam cię z nimi, zobaczymy, co podłapiesz. Jesteś normalny, pedał, czy co?

— Raczej normalny.

— Zresztą nieważne. Tutaj działasz na własną rękę. Przedstawię cię tym, których znam, potem już będziesz musiał sam sobie radzić. Lepiej, żebyś się od razu do tego przyzwyczył. Masz mapę?

— Mapę?

— No, jak to? Powinna być w tej paczce, którą ci dali.

Otwierałem szafki na chybił trafił, dopóki nie znalazłem koperty. Wewnątrz był mój egzemplarz umowy, broszurka zatytułowana „Witajcie na Gateway”, przydział pokoju, kwestionariusz zdrowia, który musiałem wypełnić do ósmej rano następnego dnia... oraz złożona karta po otwarciu przypominająca zadrukowany nazwami schemat obwodu elektrycznego.

— To właśnie to. Czy możesz pokazać, gdzie jesteśmy? Zapamiętaj numer swego pokoju. Poziom Laleczka, Ćwiartka Wschodnia, Tunel 8, Pokój 51. Zapisz to sobie.

— Jest już zapisane. Na przydziale pokoju.

— No, dobra. Tylko nie zgub. — Dane sięgnął do tyłu i odczepiwszy się z haka łagodnie opadł na podłogę. — Rozejrzyj się teraz trochę sam. Spotkamy się tutaj — powiedział. — Czy chciałbyś się jeszcze czegoś teraz dowiedzieć?

Zastanawiałem się przez chwilę, gdy on czekał zniecierpliwiony.

— Czy mogę ci zadać osobiste pytanie? Byłeś już na jakiejś wyprawie?

— Sześć razy. No, dobra. Wpadnę po ciebie o dwudziestej drugiej.

Pchnął drzwi, wyslizgnął się w zieloną gęstwinę korytarza i zniknął.

Opadłem — łagodnie i powoli — na moje jedyne tutaj prawdziwe krzesło i usiłowałem zrozumieć, że znajduję się na progu Wszechświata.

* * *

Nie jestem pewien, czy będę w stanie wam uzmysłwić, jak dla mnie wyglądał Wszechświat widziany z Gateway. To zupełnie tak, jak być młodym i mieć jeszcze Pełny Serwis Medyczny. Jak menu w najlepszej restauracji świata, kiedy ktoś za ciebie płaci. Jak dziewczyna, którą właśnie poznałeś i która cię lubi. Jak nie otwarty jeszcze prezent.

To, co przede wszystkim uderza na Gateway, to maleńkie tunele, poczucie mikroskopijności potęgują jeszcze rzędy oszklonych skrzynek z roślinami, zawroty głowy spowodowane niskim ciążeniem a także smród. Gateway poznaje się stopniowo. Nie można zobaczyć jej za jednym razem, Gateway to wszak nic innego, jak labirynt wydrążonych w skale tuneli. Nie jestem nawet pewien, czy wszystkie zostały zbadane. Z pewnością są i takie, które ciągną się kilometrami, gdzie nikt jeszcze nie był albo przynajmniej gdzie nie zagląda się zbyt często.

Tak oto żyli Heechowie. Zajęli asteroid, obłożyli go płytkami metalowymi, wydrążyli tunele i wypełnili je tym, co posiadali. Większość była jednak pusta w momencie, gdy tam dotarliśmy, podobnie jak wszystkie niegdyś należące do nich zakątki Wszechświata. A potem opuścili Gateway z jakiegoś sobie tylko znanego powodu.

Jeżeli asteroid ma w ogóle jakiś centralny punkt, to będzie nim Miasto Heechów. Jest to wrzecionowata jaskinia w pobliżu jego geometrycznego centrum. Mówią, że kiedy Heechowie budowali Gateway, mieszkali w niej. Na początku my również tam mieszkaliśmy, lub w pobliżu — my, którzy przylecieliśmy z Ziemi (a także z innych planet. Przed nami, na przykład przybył statek z Wenus). Mieszczą się tu budynki Korporacji. Później, jeśli wzbogacimy się dzięki wyprawie, będziemy mogli przenieść się bliżej powierzchni, gdzie jest trochę wyższe ciśnienie i mniejszy hałas. A co najważniejsze, mniej śmierdzi. Już parę tysięcy ludzi wydzielalo smrody w atmosferę, oddychało powietrzem, którym teraz oddycham i oddawało mocz, który piję. Nie przebywali tu zbyt długo, przynajmniej większość z nich. Ale smród wciąż pozostawał.

Smród mi nie przeszkadzał. Inne rzeczy zresztą też nie. Gateway była biletem loteryjnym do wielkiej wygranej: do Pełnego Serwisu Medycznego, dziewięciopokojowego domu, dwójga dzieci i mnóstwa radości. Wygrałem już raz na loterii. Dawało mi to nadzieję na nową wygraną.

Wszystko wyglądało tu fascynująco, choć jednocześnie i obskurnie. Trudno mówić o jakimś luksusie. Za 238.575 dolarów dostawałeś podróż na Gateway, dziesięciodniowy pobyt z zapewnionym wyżywieniem, mieszkaniem i powietrzem, skrócony kurs obsługi statku oraz możliwość zgłoszenia się na najbliższy lot. Lub jakiś inny, który ci odpowiada. Nie zmuszają cię wprawdzie, byś zdecydował się na jakiś konkretny lot czy w ogóle na jakikolwiek.

Korporacja nie czerpie z tego żadnych zysków. Ceny kształtują się mniej więcej na poziomie kosztów. Nie znaczy to wcale, że są niskie, a z pewnością już nie znaczy, że to, co otrzymujesz, jest dobre. Jedzenie przypominało to, które sam wykopywałem i jadłem przez całe życie. Mieszkanie było mniej więcej wielkości dużego kotła parowego — jedno krzesło, kilka szafek, rozkładany stół i hamak, który do spania rozwieszało się między rogami pokoju.

Moimi sąsiadami była rodzina z Wenus. Udało mi się raz do nich zajrzeć przez uchylone drzwi. Wyobraźcie to sobie: czworo ludzi w takiej kabinie! Pewnie spali parami, zawieszając hamaki po przekątnych. Z drugiej strony był pokój Sheri. Zaskrobałem w jej drzwi, ale nikt nie odpowiedział. Pokój nie był zamknięty. Na Gateway zostawia się otwarte drzwi, ponieważ nie ma tu i tak nic wartościowego, co można by ukraść. Sheri gdzieś wyszła. Dookoła leżało rozrzucone ubranie, które nosiła na statku.

Domyśliłem się, że poszła się trochę rozejrzeć, i żałowałem, że nie przyszedłem nieco wcześniej. Z przyjemnością zwiedziłbym Gateway w czyimś towarzystwie. Oparłem się o bluszcz wyrastający z jednej ze ścian tunelu i wyciągnąłem mapę.

Mapa dała mi pewne pojęcie o tym, czego szukać. Były tam takie nazwy jak „Park Centralny” i „Jezioro Główne”. Co to mogło być? Zastanawiałem się nad „Muzeum Gateway”, co brzmiało interesująco, oraz „Szpitalem Końcowym”, co wyglądało już całkiem kiepsko; później odkryłem, że „końcowy” — tak jak w przypadku końca linii — znaczyło kres podróży. W Korporacji nie mogli nie wiedzieć o tym innym znaczeniu, ale nie zaprzętało sobie głowy odczuciami poszukiwaczy.

Tak naprawdę, to chciałem zobaczyć statek.

Gdy tylko sobie to uświadomiłem, zrozumiałem, jak bardzo mi na tym zależy. Głowiłem się, któredy dotrzeć do powłoki zewnętrznej, gdzie z pewnością znajdowały się doki statków. Chwyciwszy się poręczy jedną ręką, drugą próbowałem trzymać mapę otwartą. Szybko też zorientowałem się, gdzie jestem. Dotarłem do pięcioletowego skrzyżowania, które na mapie

było chyba oznaczone jako „Wschodnia Gwiazda Laleczka G”. Jeden z tuneli prowadził do zlotni, tyle że nie wiedziałem który.

Spróbowałem na chybił trafił i znalazłem się w ślepej uliczce. Wracając zaskrobałem w jakieś drzwi, żeby zapytać o drogę. Otworzyły się. — Przepraszam — powiedziałem. . . i urwałem.

Mężczyzna, który otworzył drzwi, zdawał się być tego samego wzrostu co ja; było to jednak tylko złudzenie. Nasze oczy znajdowały się na tym samym poziomie, ale jego ciało kończyło się na talii. Nie miał nóg.

Coś powiedział, lecz nie po angielsku. Nie rozumiałem więc, co i tak nie miało żadnego znaczenia. Cała moja uwaga koncentrowała się na nim. Miał na sobie przezrystą jaskrawą tkaninę przywiązaną do nadgarstków i talii łagodnie trzepotał powstałymi w ten sposób skrzydłami, by utrzymać się w powietrzu. Nie było to takie trudne w niskiej grawitacji Gateway. Ale wyglądało osobliwie. — Przepraszam — powtórzyłem. — Chciałem się tylko dowiedzieć, jak mógłbym się dostać do Poziomu Tani. — Starłem się nie patrzeć na niego, ale mi się to nie udawało.

Uśmiechnął się.

W starej, nie pokrytej zmarszczkami twarzy zabielały zęby. Czarne oczy osadzone były pod grzywą krótkich białych włosów. Wysunął się obok mnie

WITAMY NA GATEWAY!

Gratulujemy!

Należysz do nielicznych osób, które każdego roku zostają uczestnikami z ograniczoną odpowiedzialnością Przedsiębiorstwa Gateway. Twoim pierwszym obowiązkiem jest podpisanie załączonej umowy. Nie musisz tego jednak robić od razu. Radzimy, byś ją dokładnie przestudiował i skorzystał z porady prawnej, jeśli takowa jest dostępna.

Przed podpisaniem umowy nie przysługuje ci jednakże prawo zamieszkiwania w pomieszczeniach Korporacji, stołowania się w kantine czy też uczestnictwa w kursach instruktażowych.

Osoby, które przybywają tu jako turyści lub nie chcą na razie podpisywać umowy, mogą zamieszkać w Hotelu Gateway oraz jadać posiłki w Restauracji.

na korytarz i doskonałą angielszczyzną powiedział: — Oczywiście. Niech pan skęci w pierwszy tunel na prawo, potem prosto do następnego skrzyżowania i w drugi na lewo. Będą znaki. — Brodą wskazał mi kierunek.

Podziękowałem mu i zostawiłem unoszącego się w powietrzu. Chciałem

UTRZYMANIE GATEWAY

Celem pokrycia kosztów utrzymania Gateway wszyscy zobowiązani są do wnoszenia opłat dziennych za powietrze, regulację temperatury, administrację i inne usługi.

Gościom powyższe opłaty wlicza się do rachunku hotelowego.

Opłaty obowiązujące inne osoby są umieszczone w cenniku. Istnieje możliwość uiszczenia podatku na rok z góry. Uchylenie się od wnoszenia dziennych opłat powoduje natychmiastowe wydalenie z Gateway.

Uwaga: Nie gwarantujemy miejsca na statku dla osób wydalonych.

się obrócić, ale nie byłoby to w dobrym tonie. Wszystko to było dziwne. Nie przyszło mi do głowy, że na Gateway zobaczę kalekę.

Byłem wtedy jeszcze bardzo naiwny.

Ujrawszy go poznałem Gateway tak, jak nie poznałbym jej ze statystyk. Statystyki są wystarczająco przejrzyste i wszyscy dobrze je znają, ci, którzy przybyli tu jako poszukiwacze, a także o wiele większa liczba tych, którzy pragnęli nimi zostać. Około osiemdziesięciu procent wypraw wraca z niczym. Około piętnastu nie wraca w ogóle. A więc jeden na dwudziestu, średnio biorąc, wraca z lotu z czymś, z czego Gateway — a ogólnie ludzkość — może mieć jakiś pożytek. Gdy ktoś zarobi choć na pokrycie kosztów przyjazdu tutaj i pobytu, to już dużo.

A jeśli przytrafi ci się coś złego podczas podróży... hm, to pech. Szpital Końcowy jest równie dobrze wyposażony jak wszystkie inne. Trzeba się jednak tam dostać, żeby ci to coś dało, a możesz być w podróży wiele miesięcy. Jeśli przytrafi ci się to po dotarciu do celu — co zdarza się najczęściej — niewiele będzie ci można pomóc, dopóki nie wrócisz na Gateway. Ale wtedy może być już za późno, by cię poskładać, a może i za późno, by utrzymać przy życiu.

Aha: nie pobiera się opłat za podróż powrotną do miejsca, skąd się przybyło. Rakiety zawsze przylatują pełniejsze niż wracają. Nazywa się to kosztami własnymi.

Podróż powrotna jest za darmo... ale do czego wracać?

Zjechałem po linie do Poziomu Tani, skręciłem w tunel i wpadłem prosto na mężczyznę w czapce z opaską na ramieniu. Policjant Korporacji. Nie mówił po angielsku, ale wskazał mi drogę powrotną, a jego postura była już wystarczająco przekonywająca. Chwyciłem linę, wzniosłem się jeden poziom, przeszedłem do innej zlotni i spróbowałem jeszcze raz.

Jedyną różnicą było to, że tym razem strażnik mówił po angielsku.

— Nie możesz tu wchodzić — powiedział.

— Chciałem tylko zobaczyć statki.

— Jasne. Ale nie można. Dopiero jak się ma niebieską odznakę — rzekł wskazując na swoją. — To odznaka specjalisty Korporacji, członka załogi lub VIP.

— Jestem członkiem załogi.

Uśmiechnął się.

— Jesteś tu nowy, z ostatniego transportu z Ziemi, co? Przyjacielu, będziesz członkiem załogi, gdy wpiszesz się na lot, nie wcześniej. Wracaj na górę.

— Chyba mnie rozumiesz — starałem się go przekonać. — Chciałbym się tylko rozejrzeć.

— Nie wolno, dopóki nie skończysz kursu, chyba że przyprowadzą cię tutaj w ramach zajęć. A potem zobaczysz więcej, niż byś chciał.

Spierałem się trochę, ale miał zbyt dużo argumentów. Gdy jednak sięgnąłem po linę, tunel jakby się zachwiał i ogłuszył mnie jakiś huk. Przez chwilę myślałem, że asteroid wylatuje w powietrze. Popatrzyłem na strażnika, który wzruszył ramionami, dość zresztą przyjaźnie. — Powiedziałem tylko, że nie możesz ich zobaczyć — rzekł. — Nie mówiłem wcale, że nie można ich usłyszeć.

Ugryzłem się w język, żeby nie powiedzieć „O Boże”, co rzeczywiście cisnęło mi się na usta. — Jak sądzisz, dokąd on leci? — zapytałem.

— Przyjdź tu za sześć miesięcy. Może już wtedy będziemy wiedzieli.

Nie wyglądało to zbyt zachęcająco. Mimo wszystko czułem się jednak podekscytowany. Po latach spędzonych w kopalniach żywności byłem tutaj, na Gateway, dokładnie w tym miejscu, skąd kilku nieustraszonych poszukiwaczy wyruszyło na wyprawę, która mogła przynieść im sławę i niewiarygodną fortunę. Szanse są nieważne. To było naprawdę życie na najwyższych obrotach.

Nie zwracałem więc zbyt wiele uwagi na to, co robiłem i w rezultacie w drodze do domu zgubiłem się ponownie. Kiedy dotarłem do Poziomu Laleczka, byłem dziesięć minut spóźniony.

Dane Miecznikow szybko oddalał się tunelem od mojego pokoju. Sprawiał wrażenie, jakby mnie nie poznawał. Gdybym nie zamachał na niego, pewnie by mnie minął.

— Mhm — chrząknął. — Spóźniłeś się.

— Próbowałem popatrzeć na statki na Poziomie Tani.

— Nikomu nie wolno tam wchodzić, dopóki nie zdobędzie niebieskiej odznaki lub bransolety.

Dobrze sam już o tym wiedziałem. Powlokłem się za nim w milczeniu nie chcąc tracić energii na dalszą rozmowę.

Błądą twarz Miecznikowa okalały wspaniale zakręcone piękne bokobrody. Wyglądały jak nawoskowane, toteż każdy splot żył własnym życiem. „Nawoskowane” — to chyba nie było to. Coś w nich musiało być poza włosami, ale co by to nie było, nie był to usztywniacz. Poruszały się, gdy i on się poruszał, a kiedy uśmiechał się i rozmawiał, poruszane mięśniami szczęki baki wznosiły się i falowały. Uśmiechnął się w końcu, kiedy dotarliśmy do Błękitnego Piekiełka. Postawił pierwszego drinka wyjaśniając, że

CO TO JEST GATEWAY?

Gateway jest artefaktem stworzonym przez tak zwanych Heechów. Wydaje się, iż zbudowana została wokół asteroidu, lub jądra jakiejś nietypowej komety. Czasu powstania nie znamy, ale poprzedza on z całą pewnością pojawienie się cywilizacji ludzkiej.

Środowisko naturalne wnętrza Gateway przypomina ziemskie poza stosunkowo niewielką siłą ciężenia (nie jest to właściwie grawitacja, lecz dająca podobny efekt siła odśrodkowa w wyniku obrotu Gateway). Po przybyciu z Ziemi przez pierwszych kilka dni odczuwa się pewne trudności w oddychaniu spowodowane niskim ciśnieniem atmosferycznym. Częstkowe ciśnienie tlenu równa się jednakże ziemskiemu na wysokości 2000 metrów i w pełni pokrywa zapotrzebowanie zdrowego ludzkiego organizmu.

taki jest zwyczaj i że ów zwyczaj ogranicza się do jednej tylko kolejki. Ja zamówiłem drugą. Uśmiech pojawił się na jego twarzy, gdy od razu postawiłem również trzecią.

W hałasie, jaki panował w Piekiełku, rozmowa nie należała do najłatwiejszych, powiedziałem mu jednak, że słyszałem start rakiety. — Aha — rzekł podnosząc szklaneczkę. — Mam nadzieję, że będą mieli szczęście. — Sześć niebieskawych bransolet z metalu Heechów, niewiele grubszych od drutu, połyskiwało na jego ręku. Zabrzęczały lekko, kiedy wychylił połowę drinka.

— Czy dobrze rozumiem, że jedna za każdą wyprawę? — zapytałem.

Wypił do końca. — Tak. A teraz pójdę potańczyć — powiedział. Podążyłem za nim wzrokiem, kiedy ruszył w kierunku kobiety w jaskrawo różowym sari. Jednego byłem pewien: nie był zbytnio rozmowny.

Zresztą trudno było rozmawiać w takim hałasie. Tańczyć też nie było łatwo. Błękitne Piekiełko znajdowało się w samym środku Gateway i zajmowało część wrzecionowatej jaskini. Odśrodkowa siła ciężenia była tak niewielka, że nie ważyliśmy więcej niż półtora kilo, każda próba walca lub polki kończyła się uniesieniem w powietrze. Tańczono więc nie dotykając się, tak jak w szkole podstawowej, gdzie wymyśla się specjalne tańce, aby czternastoletni chłopcy tańcząc z czternastoletnimi partnerkami nie musieli zbyt wysoko zadzierać głowy. Stopy pozostają prawie nieruchomo, natomiast ręce, głowa, ramiona i biodra poruszają się, jak sobie chcą. Ja tam lubię się dotykać w tańcu. Ale nie można mieć wszystkiego na raz. Tak czy owak — lubię tańczyć.

Po drugiej stronie sali zobaczyłem Sheri ze starszą kobietą, którą wziąłem za jej opiekunkę. Zatańczyłem z nią raz. — Jak ci się tu podoba? — usiłowałem przekrzyczeć muzykę. Kiwnęła głową i odkrzyknęła coś, czego nie rozumiałem. Później tańczyłem z olbrzymią Murzynką, która miała dwie niebieskie bransolety, jeszcze raz z Sheri, potem z dziewczyną, którą Dane Miecznikow mi podrzucił — pewnie dlatego, że chciał się jej pozbyć — i w końcu z wysoką kobietą o ostrych rysach twarzy i tak ciemnych i gęstych brwiach, jakich nigdy przedtem nie widziałem pod kobiecą fryzurą (włosy zaczesywała do tyłu w dwa kucyki, które majtały się za nią, kiedy się poruszała). Ona także miała parę bransolet. Między tańcami zaś popijałem.

Stoły były ustawione dla ośmio lub dziesięcioosobowych grup, ale grup takich nie było. Wszyscy siadali, gdzie im było wygodnie, i zajmowali cudze krzesła nie bacząc na ich właścicieli. Przez chwilę siedziało obok mnie kilka osób w białych mundurach brazylijskiej marynarki rozmawiających po portugalsku. Potem przysiadł się do mnie jakiś facet ze złotym kolczykiem w uchu, także nie rozumiałem, co mówił (dobrze wiedziałem natomiast, o co mu chodziło).

W czasie mego pobytu na Gateway, jak zawsze tu zresztą, problem języka pojawiał się bez przerwy. Gateway przypomina międzynarodową konferencję, na której popsuł się cały sprzęt translatorski. Istnieje coś w rodzaju miejscowego *lingua franca*, mieszaniny różnych języków i można wszędzie usłyszeć zdanie typu — *Ecoutez, gospodin, tu es verrückt*.

Dwa razy tańczyłem z Brazylijką, chudą ciemną dziewczyną o orlim nosie, ale za to słodkich brązowych oczach, i usiłowałem powiedzieć jej kilka prostych słów. Być może mnie i rozumiała. Jeden wszakże z towarzyszących jej mężczyzn świetnie mówił po angielsku, przedstawił siebie i swoich kolegów. Nie dosłyszałem żadnego nazwiska, z wyjątkiem jego — Francesco Hereira. Zafundował mi drinka i zgodził się, bym wszystkim postawił ko-

lejkę. Wtedy zdałem sobie sprawę, że już go gdzieś widziałem. Należał do tej załogi, która przeszukiwała nas po wylądowaniu.

SYLVESTER MACKLEN:
OJCIEC GATEWAY

Gateway została odkryta przez Sylwestra Macklena, szperacza tunelowego na Wenus, który w jednym z dołów znalazł sprawny statek kosmiczny Heechów. Udało mu się wydobyć go na powierzchnię i dotrzeć na Gateway, pojazd ten znajduje się obecnie w doku 5-33. Niestety wyprawa zakończyła się tragicznie, ponieważ Macklen nie był w stanie wrócić na Wenus, i choć udało mu się wysadzić zbiornik paliwa w ładowniku, by w ten sposób zasygnalizować swą obecność, pomoc przyszła za późno.

Macklen był człowiekiem odważnym i pełnym inicjatywy, tablica umieszczona w doku 5-33 upamiętnia jego wyjątkowe zasługi dla ludzkości. Nabożeństwa w jego intencji odprawiane są w określonych godzinach w miejscach kultu różnych obrządków.

Kiedy o tym rozmawialiśmy. Dane nachylił się nade mną i mruknął mi do ucha: Cześć, na razie, chyba że masz ochotę pójść ze mną.

Nie było to najcieplejsze zaproszenie, ale hałas w Piekiełku stawał się coraz trudniejszy do zniesienia. Powlokłem się za nim i tuż obok Piekiełka odkryłem regularne kasyno ze stolikami do oka, pokera, z wolnoobrotową ruletką o dużej ciężkiej kuli, z grą w kości, które toczyły się wieczność całą, a nawet z oddzielnym liną sektorem do bakarata. Miecznikow skierował się do stolika, gdzie grano w oko, i czekając na rozpoczęcie partii bębnił palcami w oparcie krzesła. Wtedy dopiero odkrył, że przyszedłem za nim.

— W co chciałbyś zagrać? — spytał rozglądając się po sali.

— Ja już w to wszystko grałem — rzekłem trochę bełkotliwie i jednocześnie z przechwałką w głosie. — Może w bakarata, o niewielką stawkę.

Popatrzył na mnie z szacunkiem, a potem z rozbawieniem.

— Najmniej pięćdziesiąt.

Zostało mi jeszcze jakieś pięćset czy sześćset dolarów na koncie. Wzruszyłem ramionami.

— Tysiący — dodał.

Zakrztusiłem się.

— Możesz zasiąść z dziesięcioma dolarami do ruletki powiedział nie patrząc na mnie i nachylając się nad graczem, którego kupka żetonów powoli topniała. — Do innej gry potrzebujesz co najmniej setkę. Są tu chyba też gdzieś automaty za dziesięć dolarów. — Zagłębił się w fotelu i tyle go widziałem.

Popatrzyłem przez chwilę i zorientowałem się, że dziewczyna z czarnymi brwiami siedzi przy tym samym stoliku zajęta oglądaniem kart. Nie oderwała od nich wzroku.

Jasne, że nie bardzo było mnie stać na grę. W tym momencie uświadomiłem sobie też, że tak naprawdę, to nie stać mnie było też i na drinki, które zamawiałem, a mój wewnętrzny układ czuciowy zaczął mnie informować, ile ich już wypięłem. Ostatnie, co dotarło do mojej świadomości, to to, że powinienem wrócić do pokoju. I to jak najszybciej.

Rozdział siódmy

Leżę na materacu i nie czuję się lepiej. W sensie fizycznym. Niedawno przeszedłem operację i prawdopodobnie organizm nie wchłonął jeszcze szwów.

— Rozmawialiśmy o twojej pracy. Rob — przypomina mi Sigfrid.

To dość nudne. Całkiem jednak bezpieczne.

— Nienawidziłem tej pracy. Któż zresztą mógłby lubić kopalnię żywności?

— Ale trzymałeś się tego. Nigdy nie próbowałeś pracować gdzie indziej. Mogłeś chociażby przerwucić się na fermę morską. Szkoły też nie skończyłeś.

— Chcesz powiedzieć, że zabrakło mi inwencji?

— Niczego nie sugeruję. Rob. Pytam się tylko, co czujesz.

— W pewnym sensie masz rację. Myślałem o tym, żeby coś zmienić. Nawet bardzo dużo o tym myślałem — mówię przypominając sobie te cudowne dni z Sylwią. Pamiętam, jak pewnej styczniowej nocy siedzieliśmy w kabinie stojącego na ziemi szybowca — nie mieliśmy zresztą gdzie się podziać — i rozmawialiśmy o przyszłości. Co chcielibyśmy robić? Jak przewyciężyć los? Według mnie, nie było w tym nic, co mogłoby zainteresować Sigfrida. O Sylwii powiedziałem mu już wszystko. W końcu wyszła za jakiegoś udziałowca, zresztą zerwaliśmy ze sobą długo przedtem. — Przypuszczam — mówię biorąc się w garść i próbując wykorzystać to spotkanie do maksimum — że odczuwałem pragnienie śmierci.

— Wolałbym Rob, żebyś nie używał terminów psychiatrycznych.

— Ale rozumiesz, o co mi chodzi. Zdawałem sobie sprawę, że czas upływa. Im dłużej pracowałem w kopalni, tym trudniej było mi się z niej wyrwać. Nic lepszego jednak się nie trafiało. Były też i inne sprawy, które mnie tam trzymały. Moja dziewczyna Sylwia. Matka, kiedy jeszcze żyła. Przyjaciele. A nawet rozrywki. Chociażby szybownictwo. Wspaniale jest znaleźć się ponad wzgórzami, a z dostatecznie dużej wysokości Wyoming nie wygląda wcale tak źle i nie czuć prawie smrodu ropy.

— Wspomniałeś o Sylwii. Dobrze się rozumieliście?

Zawahałem się masując brzuch. Tkwiło tam prawie pół metra nowych jelit. Kosztowały majątek i czasami miałem wrażenie, że poprzedni właściciel domaga się ich z powrotem. Kim on mógł być? Czy też ona? Jak umarł? I czy rzeczywiście umarł? A może też żyje w takiej biedzie, że sprzedaje kawałki swego ciała, podobno robią tak piękne dziewczyny z kształtymi piersiami lub uszami.

— Bob, czy łatwo nawiązywałeś znajomości z kobietami?

— Teraz tak.

— Nie chodzi mi o teraz. Wspominałeś — jak mi się wydaje — że jako dziecko z trudem zawierałeś przyjaźnie.

— A kto je wtedy łatwo zawiera?

— Jeżeli dobrze rozumiem pytanie, Robbie, to chciałbyś wiedzieć, czy pamięta się dzieciństwo jako doskonale szczęśliwe i łatwe doświadczenie. Oczywiście odpowiedź brzmi „nie”. Ale są ludzie, którzy bardziej od innych przenoszą konsekwencje dzieciństwa na swoje dorosłe życie.

— Aha. Sięgając myślą w przeszłość sądzę, że trochę się jednak bałem mojej grupy rówieśniczej — och, przepraszam cię, Sigfrid, chciałem powiedzieć „innych dzieci”. Znały się wszystkie. Bezustannie miały swoje sekrety. Wspólne zabawy. Zainteresowania. A ja byłem sam.

— Czy jesteś jedynakiem, Robbie?

— Wiesz dobrze, że tak. Właśnie, może to dlatego. Oboje rodzice pracowali, i nie lubili, gdy bawiłem się w pobliżu kopalni. Mówili, że to niebezpieczne. Tam rzeczywiście nie było bezpiecznie dla dzieci. Mogłeś się skaleczyć przy maszynach, mogła cię zasypać hałda, mogłeś się otruć gazem. Dużo więc przebywałem w domu, oglądałem filmy, słuchałem kaset, i jadłem. Byłem grubym dzieckiem. Uwielbiałem rzeczy pełne skrobi i cukru, z dużą ilością kalorii. Rodzice rozpieszczali mnie kupując więcej jedzenia niż trzeba.

Nadal lubię być rozpieszczany. Teraz jem lepsze rzeczy, nie tak tuczące,

507	IRRAY .DOJRZAŁOŚĆ. GOTO * M88	26,830
508	,C, może dojrzałość polega na tym, że chce	26,835
	się tego, czego się samemu chce, a nie tego, co	26,840
	inni ci każą chcieć	26,845
	XTERNALS @ IF @ GOTO	26,850
512	,S, może sigfrid, mój ty kochany bożku z bla	26,855
	chy, ale ja czuję dojrzałość jako śmierć	26,860

ale też i tysiąc razy droższe. Na przykład prawdziwy kawior. Nawet często. Otrzymujemy go z akwariów w Galveston. Piję prawdziwego szampana i jem masło. . . — Pamiętam, jak leżałem w łóżeczku — mówię. — Musiałem być bardzo mały, miałem może ze trzy lata. Bawiłem się z misiem gadułą. Kładłem go obok siebie, on opowiadał mi historyjki, a ja kłułem go ołówkiem i próbowałem oberwać uszy. Uwielbiałem takie zabawy, Sigfrid.

Przerywam, a Sigfrid natychmiast podejmuje temat na nowo. — Dlaczego płaczesz, Robbie?

— Nie wiem — wrzeszczę, a łzy spływają mi po twarzy. Spoglądam na zegarek: zielone cyferki skaczą i zamazują się w zamglonych przez płacz oczach. — Ojej — zagaduję go siadając na materacu, łzy wciąż płyną mi po twarzy, choć już nie tak obficie. — Muszę już iść. Umówiłem się. Na imię ma Tania. Piękna dziewczyna. Jak marzenie. Uwielbia Mendelsohna i róże. Chciałbym jej kupić kilka tych pięknych ciemnoniebieskich kwiatów, które pasują do jej oczu.

— Rob, zostało nam jeszcze prawie dziesięć minut.

— Wynagrodzimy sobie to następnym razem. — Wiem, że to niemożliwe, dodaję więc szybko: — Potrzebuję skorzystać z toalety.

— Czy chcesz wydalić swoje uczucia?

— Nie bądź taki mądry. Wiem, co chcesz powiedzieć. Wygląda to na typowy mechanizm przemieszczenia.

— Rob!

— W porządku. Myślisz, że się wycofuję? Ale ja naprawdę muszę już iść. Najpierw do toalety. A potem do kwaciarni. Tania to coś ekstra. Jest wspaniała. Nie chodzi mi teraz o seks, choć i w tym jest niezła. Potrafi z... Potrafi...

— Rob! Co chciałeś powiedzieć?

Wciągając powietrze i udaje mi się wykrztusić: — Jest cudowna w miłości francuskiej.

— Rob?

Rozpoznaję ten ton. Sigfrid dysponuje sporym repertuarem intonacji, ale część z nich nauczyłem się już identyfikować. Wydaje mu się, że jest na jakimś tropie.

— Co?

— Bob, jak ty to nazywasz, kiedy kobieta robi to ustami?

— Chryste, Sigfrid, co to za głupia gra?

— Jak ty to nazywasz? — powtarza.

— Sam dobrze wiesz.

— Proszę cię. Bob. Powiedz mi, jak to nazywasz.

— Na przykład, że mi go ssie.

— A jak inaczej?

— Jest całe mnóstwo określeń. Chociażby „brać w buzię”. Wydaje mi się, że słyszałem tysiące innych.

— Jakich?

Mój gniew i ból wzrastają i nagle mam już tego wszystkiego dość. — Skończ już tę pieprzoną zabawę — mówię. Bola mnie kiszki i boję się, że zerznę się w majtki. Tak jakbym znowu był dzieckiem. — O Boże, Sigfrid! Kiedy byłem małym chłopcem, rozmawiałem ze swoim misiem. Teraz mam czterdzieści pięć lat i znowu rozmawiam z głupią maszyną, jakby była żywa!

— Ale jest na to jeszcze inne określenie, prawda. Bob?

— Jest ich tysiące! Które wolisz?

— To, którego nie dokończyłeś. Proszę, dokończ teraz. Słowo to ma na pewno specjalne znaczenie dla ciebie, skoro nie możesz go nawet wypowiedzieć.

Przewracam się z powrotem na materac i teraz już naprawdę płacę.

— Proszę cię. Bob. Co to za słowo?

— A niech cię diabli, Sigfrid. Zejść. To właśnie to. Zejść, zejść, zejść.

Rozdział ósmy

— Dzień dobry — odezwał się jakiś głos wdzierając się w sam środek snu, w którym z trudem przedzierałem się przez jakieś lotne piaski w środku Mgławicy Oriona. — Przyniosłem panu herbatę.

Otworzyłem jedno oko. Nad krawędzią hamaka patrzyły na mnie czarne jak węgiel oczy osadzone w twarzy koloru piasku. Obudziłem się ubrany i z kacem. Coś strasznie śmierdziało i zdałem sobie sprawę, że to ja.

— Nazywam się Shikitei Bakin. Proszę, niech pan wypije herbatę. Pomoże panu uzupełnić zapas płynu w organizmie.

Popatrzyłem nieco niżej i ujrzałem, że facet z herbatą kończy się w talii, był to ten sam beznogi mężczyzna z przytroczonymi do ciała skrzydłami, którego widziałem w tunelu dzień wcześniej.

— Uch — stęknąłem starając się powiedzieć coś więcej, aż w końcu udało mi się wykrztusić: — Dzień dobry. — Mgławica Oriona oddalała się w sen, podobnie jak wrażenie przedzierania się przez gwałtownie zestalające się chmury gazowe. Pozostał natomiast okropny smród. Pokój obrzydliwie cuchnął, nawet jak na Gateway i uświadomiłem sobie, że zarzygałem podłogę. Niewiele brakowało, bym zrobił to jeszcze raz. Bakin, powoli poruszając skrzydłami, zręcznie upuścił obok mnie na hamak zakorkowany termos. Potem poszybował w kierunku szafki i usiadł na niej.

— Zdaje się — powiedział — że ma pan badania lekarskie dziś o ósmej rano?

— Naprawdę? — udało mi się zdjąć kubek z termosu i wypić łyk herbaty. Była gorąca, bez cukru i prawie bez smaku, ale cofała w moich jelitach falę zbierających się wymiotów.

KTO JEST WŁAŚCICIELEM GATEWAY?

Gateway jest czymś wyjątkowym w historii ludzkości i bardzo wcześnie zdano sobie sprawę, że jest zbyt cenna, by mogła stać się własnością jednej grupy ludzi jakiegoś konkretnego rządu. Utworzono zatem Przedsiębiorstwo Gateway.

Przedsiębiorstwo Gateway (powszechnie nazywane „Korporacją”), jest wielonarodową organizacją, w której głównymi partnerami są rządy Stanów Zjednoczonych Ameryki, Związku Radzieckiego, Stanów Zjednoczonych Brazylii, Konfederacji Wenusjańskiej i Nowej Ludowej Azji, a jej uczestnikami o ograniczonej odpowiedzialności są wszyscy ci, którzy podobnie jak ty podpisali załączoną umowę.

— Tak mi się wydaje. Taki tu zwyczaj. A poza tym pański piezofon dzwonił kilka razy.

Wróciłem do swojego — Uch. . .

— Sądzę, że to pana opiekun przypominał o badaniach. Już siódma piętnaście, panie. . .

— Broadhead — mruknąłem niewyraźnie, więc po chwili powtórzyłem: — Nazywam się Bob Broadhead.

— Pozwoliłem sobie sprawdzić, czy pan się już obudził. Proszę pić herbatę, panie Broadhead. Życzę przyjemnego pobytu na Gateway.

Skinął głową i zeskoczył z szafki, poszybował w kierunku drzwi, przytrzymał się o nie rękami i już go nie było. Z ciężką głową reagującą łomotem na każdą zmianę pozycji zwlokłem się z hamaka próbując ominąć co brudniejsze miejsca na podłodze. Nawet się zbyt przy tym nie uświwiłem. Pomyślałem o zdepilowaniu brody, ale zarost miał już dwanaście dni i postanowiłem go jeszcze trochę zostawić, w końcu nie wyglądałem już na nieogolonego, a tak naprawdę to nie miałem siły.

Kiedy wtoczyłem się do gabinetu lekarskiego, okazało się, że spóźniłem się tylko pięć minut. Wszyscy inni z mojej grupy przyszedli przede mną, musiałem więc poczekać i wejść ostatni. Pobrali mi trzy próbki krwi — z palca, łokcia i płatka ucha, z pewnością wykażą dziewięćdziesiąt procent alkoholu. Nie szkodzi. Badanie było jedynie formalnością. Jeśli przeżyłeś podróż na Gateway w statku kosmicznym, to przeżyjesz i wyprawę statkiem Heechów. Chyba, że coś się zdarzy. A wtedy to już koniec, choćbyś nawet miał końskie zdrowie.

* * *

Zdażyłem szybko wypić filiżankę kawy, którą ktoś sprzedawał na wózku obok zlotni (prywatny interes na Gateway? Nie wiedziałem, że coś takiego istnieje) i punktualnie wszedłem na pierwsze zajęcia. Zebraliśmy się w dużej sali na Poziomie Psa. Sala była długa, wąska i niska. Krzesła stały po dwa z każdej strony z przerwą pośrodku, jakby klasa była urządzona w autobusie. Sheri przysłała późno, świeża i pogodna, usiadła cichutko obok mnie. Była tam nasza grupa, cała siódemka, która przybyła z Ziemi, czteroosobowa rodzina z Wenus i paru innych — takich jak ja nieopierzeńców.

— Nie wyglądasz aż tak tragicznie — szepnęła Sheri, kiedy instruktor dumał nad rozłożonymi na biurku papierami.

— Widać, że mam kaca?

— W zasadzie nie. Przypuszczam jednak, że go masz. Słyszałam, jak wracałeś w nocy. Tak naprawdę — dodała znacząco — słyszał cię cały tunel.

Skrzywiłem się. Wciąż cuchnąłem, ale większość tego smrodu tkwiła najwyraźniej wewnątrz mnie. Nikt się ode mnie jakoś nie odsuwał, nawet Sheri.

Instruktor wstał i przez moment przyglądał się nam uważnie. — No dobrze — powiedział i zerknął z powrotem na papiery. Potem pokręcił głową. — Nie będę sprawdzał obecności — rzekł. — Prowadzę naukę kierowania statkami Heechów. — Zauważyłem, że miał mnóstwo bransolet, nie mogłem ich policzyć, ale było ich co najmniej z pół tuzina. Przez chwilę myślałem sobie o tych wszystkich, a spotykałem ich co krok, którzy już wielokrotnie wyruszyli, a ciągle jeszcze się nie wzbogacili. — To jeden z waszych trzech kursów. Pozostałe dotyczą sposobów przeżycia w nieznanym środowisku oraz rozpoznawania wartościowych przedmiotów. Ja mam was nauczyć prowadzenia statku, a zaczniemy od praktyki. Proszę za mną.

Wstaliśmy więc i jak stadko gęsi wyszliśmy za nim z sali. Tunelem dotarliśmy do zlotni i przeszliśmy obok strażników, być może tych samych, którzy mnie stąd wczoraj przegnali.

Tym razem skinęli tylko głową instruktorowi i przepuścili nas dalej. W końcu dotarliśmy do długiego, szerokiego i niskiego pomieszczenia, gdzie z podłogi wyrastało kilka pokrytych rdzą ściętych cylindrów. Wyglądały jak spalone kikuty drzew i upłynęła chwila, nim zdałem sobie sprawę, co to jest.

INSTRUKCJA UŻYCIA PRYSZNICA

Woda jest doprowadzana przez prysznic automatycznie. Czas użycia wynosi dwa razy po 45 sekund. Zaleca się mydlenie w przerwie między dwoma strumieniami.

Przysługuje ci prawo jednokrotnego użycia prysznica w ciągu trzech dni.

Dodatkowe korzystanie z prysznica obciąży twoje konto bankowe sumą pięciu dolarów za każde 45 sekund.

Ścisnęło mnie w gardle.

— To statki — wyszeptałem do Sheri głośniejszym głosem, niż zamierzałem. Kilka osób przyjrzało mi się ze zdziwieniem. Jedną z nich — zauważyłem — była dziewczyna o gęstych czarnych brwiach, z którą tańczyłem poprzedniego wieczoru. Skinęła głową i uśmiechnęła się do mnie. Na jej ramieniu zobaczyłem bransolety i zastanawiałem się, co też ona tu robi i jak jej poszło w kasynie.

Instruktor zgromadził nas wokół siebie. — Jak już ktoś zauważył — powiedział — są statki Heechów. Ścisłe mówiąc, to lądowiki, które osiadają na planecie, jeśli ma się oczywiście dość szczęścia, by na nią natrafić. Nie wyglądają zbyt okazale, ale do każdego z tych kubłów na śmieci, które przed sobą widzicie, zmieści się pięć osób. Bez specjalnych wygód, ale jest to możliwe. Zazwyczaj jedna osoba pozostaje w statku głównym, a więc w lądowniku będą najwyżej cztery.

Podprowadził nas do najbliższych stojących statków i każdy mógł zaspokoić potrzebę dotknięcia, poskrobania i poklepania pancerza. Potem zaczął się wykład.

— W chwili odkrycia Gateway statków tych stało w dokach 924. Około dwustu — jak do tam — okazało się niezdatnych do użytku. W większości przypadków nie wiemy dlaczego — po prostu nie działają. Trzysta cztery zostały już wysłane przynajmniej raz, z tych trzydzieści trzy wróciły i są gotowe do dalszych wypraw. Innych jeszcze nie wypróbowaliśmy.

Podszedł do przysadzistego cylindra i usiadł na nim.

— Musicie podjąć decyzję — mówił dalej — czy wyruszą na jednym z trzydziestu trzech sprawdzonych statków, czy też na takim, który nigdy nie był używany. Przez istoty ludzkie, oczywiście. Klient nasz pan, stawia, na co chce. Wyprawy, które nie powróciły, w większości wyruszały na niesprawdzonych pojazdach, istnieje więc pewien element ryzyka. To chyba zrozumiałe, nie? W końcu Bóg jeden wie, jak długo nikt ich nie dotykał, od kiedy Heechowie je tu zostawili.

— Z drugiej strony, ryzykowne są również wyprawy na statkach, które wyruszały i powróciły bezpiecznie. Perpetuum mobile nie istnieje. Jesteśmy zdania, że niektóre wyprawy nie powróciły, ponieważ zabrakło paliwa. Problem polega na tym, że nie wiemy, co to za paliwo, ile go jest, ani też kiedy się skończy.

— O ile nam wiadomo — postukał w cylinder — ten lądownik, jak wszystkie, które tu widzicie, przeznaczony był dla pięciu Heechów. My jednak wysyłamy je z trzema osobami na

pokładzie. Wygląda na to, że Heechowie lepiej niż ludzie znosili swą obecność w ograniczonej przestrzeni. Są statki większe od nich i mniejsze, ale te w ciągu kilku ostatnich orbit jakoś częściej nie wracają. Prawdopodobnie to tylko zła passa, ale... W każdym razie osobiście obstawałbym przy Trójce. Wy natomiast zrobicie, co chcecie. I tak oto stajecie przed kolejnym wyborem, tym razem załogi. Miejcie oczy otwarte. Już teraz szukajcie towarzyszy... Słucham?

Sheri od dłuższego czasu trzymała podniesioną rękę, aż w końcu ją zauważył. — Powiedział pan: „częściej nie wracają” — rzekła. — Co to znaczy — częściej?

— W ciągu ostatniej orbity budżetowej — wyjaśnił cierpliwie instruktor — na dziesięć Piątek wracały trzy. To największe statki. A i tak w kilku przypadkach poszukiwacze byli już martwi, gdy je otworzyliśmy.

— Tak — mruknęła Sheri. — To fatalnie.

— Nie, to wcale nie tak źle w porównaniu z Jedynekami. Dwie orbity temu tylko dwa statki jednoosobowe wróciły w ciągu całej orbity. To dopiero było fatalnie.

— Dlaczego tak jest? — zapytał ojciec rodziny tunelarskiej. Nazywali się Forehandowie. Instruktor popatrzył na niego przez chwilę.

— Jeżeli kiedykolwiek to odkryjesz — powiedział — nie omieszkaj opowiedzieć o tym. Wracając zaś do tematu wyboru załogi, lepiej będzie, jeśli dostaniecie kogoś, kto już tam był. Może się to uda, może nie. Poszukiwacze, którym się powiodło, z reguły odchodzą. Ci, którzy są wciąż nienasyчени, mogą nie chcieć zrezygnować ze swych zespołów. Zatem wielu z was będzie musiało lecieć z takimi samymi jak wy nieopierzeńcami. Hm — rozejrzał się z namysłem dookoła. — No dobra, bierzmy się do roboty. Podzielcie się na grupy po trzy osoby — nieważne z kim, nie wybieracie jeszcze swoich stałych partnerów — i wejdźcie do tych otwartych lądowników, każda grupa do innego. Proszę niczego nie dotykać. Podobno są unieruchomione, ale czasem potrafią wystartować. Proszę wejść do środka, zsunąć się do kabiny kontrolnej i zaczekać na instruktorów.

* * *

Po raz pierwszy usłyszałem wtedy, że są jeszcze inni instruktorzy. Kiedy rozglądałem się dookoła próbując zorientować się, kto jest nauczycielem, a kto uczniem, rzucił:

— Czy są jakieś pytania?

— Tak, jak się pan nazywa? — była to ponownie Sheri.

— Znowu zapomniałem? Jestem Jimmy Chou. Bardzo miło mi było was poznać. Wchodzimy.

* * *

Teraz wiem znacznie więcej niż mój instruktor, nawet to, co się z nim stało pół orbity później: biedny Jimmy Chou wyleciał przede mną i wrócił, kiedy byłem na mojej drugiej wyprawie, całkiem martwy. Poparzenia radiacyjne, mówią, że jego oczy zupełnie wyparowały. Ale podczas kursu wiedział to wszystko, co dla mnie było jeszcze obce i cudowne zarazem.

Wczołgaliśmy się więc przez śmieszny eliptyczny właz, który pozwala się wśliznąć pomiędzy silnikami do kapsuły lądującej, potem przytwierdzoną do ściany drabinką zeszliliśmy do właściwego pojazdu.

Każdy z nas rozglądał się dookoła niczym Ali Baba gapiący się na ukryty w jaskini skarb. W górze usłyszeliśmy skrobanie, po czym do środka wsunęła się jakaś głowa. Miała krzacza-
ste brwi i piękne oczy, a należała do dziewczyny, z którą wczoraj tańczyłem.

— Fajnie? — zapytała. — Trzymaliśmy się z dala od wszystkiego, co się mogło ruszać i chyba rzeczywiście nie czuliśmy się zbyt swobodnie. — Nie przejmujcie się — powiedzia-
ła. — Rozejrzyjcie się trochę i zapoznajcie z tym całym urządzeniem. Napatrzycie się jeszcze
na nie. Na przykład ta pionowa linia gałek z wystającymi kółeczkami. To selektor celu, naj-
ważniejsze, czego nie wolno wam teraz dotykać. Może i nigdy. A kto wie, do czego służy
złocona spirala koło tej blondynki?

Blondynka, którą była jedna z córek Forehandów, odskoczyła w bok i przecząco pokręciła
głową. Ja również nie wiedziałem, za to Sheri zaryzykowała:

— Czy to przypadkiem nie wieszak?

Nauczycielka zmrużyła oczy w zamyśleniu:

— Hm. Nie sądzę. Ciągle mam jednak nadzieję, że jeden z was nieopierzeńców odpowie
kiedyś na to

CZYM ZAJMUJE SIĘ KORPORACJA?

Zadaniem Korporacji jest eksploatacja pozostawionych przez Heechów statków oraz
sprzedaż, badania, a także inne formy wykorzystania artefaktów, towarów, surowców natu-
ralnych oraz wszystkich innych rzeczy, które za pomocą tych statków zostaną odkryte.

Korporacja popiera przemysłowe zastosowanie technologii Heechów i w tym celu udzie-
la licencji płatnych procentowo od zysków.

Dochody Korporacji przeznaczone są na wypłatę udziałów uczestników o ograniczonej
odpowiedzialności, takich jak ty, którzy przysłużą się do odkrycia nowych wartościowych
rzeczy, na pokrycie kosztów związanych z utrzymaniem Gateway i wykraczających poza
sumę wpływającą z opłat dziennych. Z dochodów tych pochodzi również roczna opłata dla
uczestników głównych pokrywającą koszty nadzoru sprawowanego przez kłazowniki znaj-
dujące się na orbicie w pobliżu Gateway. Składają się one również na fundusz przeznaco-
ny na nieprzewidziane wydatki, zaś nadwyżkę dochodu wykorzystuje się na subsydiowanie
badań i wdrożeń wartościowych przedmiotów.

W kończącym się 30 lutego roku finansowym całkowity dochód Korporacji wyniósł po-
nad 37101012 dolarów amerykańskich.

pytanie. Podczas lotu potrafi się nagrzewać, nie wiadomo dlaczego. A tutaj jest toaleta. Z tym
dopiero będziecie mieli mnóstwo zabawy. Działa jednak, trzeba tylko wiedzieć jak. Możecie
zawiesić hamaki i spać tutaj — zresztą gdzie chcecie. Tamten róg i nisza to martwa prze-
strzeń. Jeżeli w waszej załodze ktoś zechce być przez chwilę sam, może się tam schronić.
Przynajmniej na trochę.

— Dlaczego nikt z was nigdy się nie przedstawia? — zapytała Sheri.

Instruktorka uśmiechnęła się. — Nazywam się Gelle — Klara Moynlin. Czy coś jeszcze
chcecie o mnie wiedzieć? Latałam dwa razy, bez większego powodzenia, a teraz zabijam czas
czekając na „dobrą” wyprawę. Pracuję więc jako młodszy instruktor.

— Skąd będziesz wiedziała, która jest dobra? — zapytała córka Forehanda.

— Bystra z ciebie dziewczyna. To rozsądne pytanie. Lubię takie pytania, ponieważ dowodzą, że myślicie, ale jeżeli nawet istnieje na nie odpowiedź, to ja jej nie znam. No więc — wiecie już, że ten statek to Trójka. Był na sześciu wyprawach, ale mogę się spokojnie założyć, że ma jeszcze dość paliwa na kilka dalszych. Sama wolałabym go niż Jedynekę. Jedynki są dobre dla wielkich ryzykantów.

— Jimmy Chou też tak mówił — zauważyła dziewczyna — ale mój ojciec twierdzi, że przejrzał wszystkie rejestry lotów od czasu Pierwszej Orbity i że Jedynki nie są wcale takie złe.

— Twój ojciec może wziąć moją, jeśli tylko zechce — odpowiedziała Gelle — Klara Moynlin. — Tu nie tylko chodzi o statystykę, w Jedynekach daje się we znaki samotność. Poza tym jedna osoba nie może wszystkiemu podołać. Jeżeli się na coś natrafi, dobrze mieć kogoś w statku, w tym jednego na orbicie. Większość z nas tak robi, bo ma się w ten sposób poczucie bezpieczeństwa — przynajmniej jest ktoś, kto może ci pomóc, jeśli sprawy przybiorą zły obrót. Tak więc dwoje z was wsiądzie do lądownika i leci, by się rozejrzeć. Oczywiście, kiedy coś znajdziecie, musicie podzielić to na troje. Jeżeli jest tego dużo, starczy dla wszystkich. Jeżeli nie, to i tak jedna trzecia zera nie jest mniej niż zero.

— W takim razie, czy nie lepsza jest Piątka? — zapytałem.

Klara popatrzyła na mnie i jakby mrugnęła okiem. Nie myślałem, że pamięta wczorajszy taniec. — Może tak, a może nie. Jeśli chodzi o Piątki, to odznaczają się one prawie nieograniczoną selektywnością celu.

— Czy możesz mówić bardziej po ludzku? — poprosiła słodko Sheri.

— Piątki wybierają cele, których nie mają Trójki i Jedynki. Moim zdaniem dlatego, że niektóre z tych miejsc są niebezpieczne. To Piątka powróciła z wyprawy w najgorszym stanie, jaki widziałam. Wszystko było pokiereszowane, osmalone, pogięte — nikt nie wie, jak w ogóle udało jej się wrócić. Ani gdzie była. Słyszałam, tylko, jak ktoś mówił, że mogła znaleźć się w fotosferze jakiejś gwiazdy. Załoga niewiele mogła nam już powiedzieć. Wszyscy zginęli.

Oczywiście — ciągnęła pogrążona w zadumie — opancerzona Trójka ma prawie tak dużą selektywność celu, jak Piątka, ale wszędzie jest ryzyko. A teraz bierzmy się do roboty, dobrze? Ty — wskazała na Sheri — usiądź tutaj.

Dziewczyna Forehandów i ja cofnęliśmy się pośród sprzętu wykonanego zarówno przez ludzi, jak i Heechów, żeby zrobić jej miejsce. Nie było tego zbyt wiele. Gdyby wyrzucić wszystko z Trójki, można by uzyskać przestrzeń o wymiarach cztery na trzy metry, ale oczywiście nigdzie się wtedy nie polecą.

Sheri siadła przed kolumną gałek z kołkami usiłując usadowić się wygodnie. — Co za tyłki mieli ci Heechowie? — poskarżyła się.

— Następne rozsądne pytanie — zauważyła nauczycielka — i znów brak równie rozsądnej odpowiedzi. Jeżeli ją znajdziesz, to powiedz. To Korporacja założyła tę siatkę na siedzenie. Pierwotnie jej tam nie było. No, dobra. Patrzysz teraz na selektor celu. Połóż rękę na jednej z gałek. Którejkolwiek. Tylko nie dotykaj innych. A teraz porusz ją. — Z niepokojem spoglądała, jak Sheri dotyka dolnej gałki, naciskając ją palcami, potem kładzie na niej całą dłoń, zapiera się całym ciałem o oparcie fotela w kształcie litery V i ciśnie. W końcu gałka poruszyła się i wzdłuż kolumny zaczęły migotać światełka.

— Musieli być bardzo silni — jęknęła Sheri.

Po kolei mocowaliśmy się z tą samą gałką — Klara nie pozwoliła nam tego dnia dotknąć innych — i kiedy przyszła kolej na mnie, byłem zaskoczony, że musiałem użyć całej siły, by ją poruszyć. Nie była chyba zaklinowana przez rdzę, wręcz przeciwnie, wyglądało na to, jakby z góry zaplanowano, że gałka ma się obracać z trudem. Prawdopodobnie tak było, jeśli weźmie się pod uwagę fakt, w jakie tarapaty można popaść zmieniając przypadkowo ustawienie w trakcie lotu.

* * *

Oczywiście teraz wiem o tym znacznie więcej, niż wiedziała wtedy moja instruktorka. Nie to, że bym był mądrzejszy, ale wciąż jeszcze zrozumienie tego, co dzieje się podczas ustawiania kursu na cel, zabiera wielu ludziom kupę czasu.

Selektor celu to po prostu pionowy rząd generatorów cyfrowych. Światelka, które się zapalają, oznaczają liczby — nie jest to jednak takie oczywiste, ponieważ nie wyglądają jak liczby. Nie są ani pozycyjne ani dziesiętne (Najwyraźniej Heechowie wyrażali liczby jako sumy liczb pierwszych i wykładników potęgowych — ale to za mądre na moją głowę). Tak naprawdę, cyfry odczytywać muszą jedynie piloci kontrolni i programiści lotów pracujący dla Korporacji, i tak zresztą nie robią tego sami, lecz za pomocą komputerowego translatora.

Pierwszych pięć cyfr — odczytując z dołu do góry — oznaczać ma pozycję celu w przestrzeni (według Dane Miecznikowa nie jest to z dołu do góry,

STATKI GATEWAY

Statki dostępne na Gateway mogą odbywać międzygwiazdne podróże z szybkością większą od prędkości światła. Nie ustalono dotychczas zasady systemu napędowego (zob. podręcznik pilota). Statek wyposażony jest również w dość konwencjonalny silnik raketowy na ciekły wodór i tlen, stosowany do korekcji lotu i do napędu lądownika wchodzącego w skład każdego pojazdu międzygwiazdnego.

W zależności od liczby osób na pokładzie statki dzielimy na Jedyńki, Trójki i Piątki. Niektóre pojazdy są szczególnie ciężkiej konstrukcji i te określamy jako „opancerzone”. Większość opancerzonych statków to Piątki.

Każdy statek zaprogramowany został do automatycznego lotu w kierunku miejsc przeznaczenia. Powrót jest samoczynny i w praktyce o dużej niezawodności. Kurs pilotażu ręcznego przygotowuje do wszelkich koniecznych zadań związanych z bezpieczeństwem lotu (por. przepisy bezpieczeństwa w podręczniku pilota).

lecz od przodu do tyłu, co mówi nam coś o samych Heechach. Byli ukierunkowani trójwymiarowo jak prymitywny człowiek, a nie, jak my, dwuwymiarowo.

Wydawałoby się, że trzy liczby wystarczą, by opisać każde położenie we Wszechświecie. Jeśli tworzy się trójwymiarowe wyobrażenie Galaktyki, to można za pomocą trzech wymiarów wyznaczyć liczbowo dowolny punkt. Ale Heechowie potrzebowali na to pięciu. Czy znaczy to, iż przestrzeń była dla nich pięciowymiarowa? Miecznikow twierdzi, że nie. . .

W każdym bądź razie, kiedy zablokuje się pierwszych pięć liczb, pozostałym siedmiu można nadać całkiem dowolne położenie, a statek i tak polecą, jeśli tylko pociągnie się dźwignię startu.

No więc wybierasz, a właściwie robią to programiści kursu z Korporacji, cztery liczby na chybił trafił. Potem obracasz piątą gałkę, aż zaczyna się jarzyć jakby różowe światełko ostrzegawcze. Czasami ledwie migoce, czasami pali się jaskrawo. Jeżeli zatrzyma się gałkę w tym położeniu i naciśnie płaską owalną część pod dźwignią startu, wtedy pozostałe pokręta obracają się same o kilka milimetrów w lewo lub w prawo, a różowe światełko jaśnieje jeszcze silniej. Kiedy się zatrzymują, światełko jest już przeraźliwie różowe i przeraźliwie jaskrawe. Miecznikow mówi, że to automatyczny dostrajacz. Urządzenie to uwzględnia błąd człowieka — przepraszam, mam na myśli błąd Heechów — kiedy więc ustawienie zbliża się do jakiegoś porządnego celu, końcowe dostrojenie odbywa się automatycznie. Być może Miecznikow ma rację.

(Oczywiście odkrycie każdej z tych rzeczy kosztowało mnóstwo czasu i pieniędzy, a przede wszystkim istnień ludzkich. Zawód poszukiwacza nie należy do bezpiecznych. W kilku pierwszych przypadkach wyprawy były prawie samobójstwem.)

Czasami wykona się cały obrót piątą gałką i nic z tego nie wyjdzie. Klniesz wtedy, na czym świat stoi. Potem przestawiasz jedną z czterech pozostałych i próbujesz raz jeszcze. Cały obrót trwa tylko kilka sekund, ale piloci kontrolni spędzili dziesiątki godzin, by uzyskać właściwy kolor.

Oczywiście do czasu mojej wyprawy, zanim wyruszyłem, programiści kursu i piloci kontrolni znaleźli już kilkaset możliwych ustawień, których kolor uznano za odpowiedni — ale jeszcze ich nie wykorzystano — jak również tych wszystkich, które okazały się niewarte powtórzenia. A także takie, z których załogi nie powróciły.

W tym czasie nie miałem jednak o tym jeszcze zielonego pojęcia i kiedy usiadłem w zmodyfikowanym fotelu Heechów, wszystko to dla mnie było zupełnie nowe. Nie wiem, czy uda się wam zrozumieć to uczucie?

Siedziałem w fotelu, w którym jakieś pół miliona lat temu siedział Heech. Przede mną był selektor celu. Statek mógł dotrzeć wszędzie. Jeżeli wybrałem niewłaściwy cel, mogłem się znaleźć nawet koło Syriusza, Procyona czy Obłoku Magellana.

Instruktorce znużyło się zwisanie głową w dół i wślizgnęła się do statku stając za moimi plecami. — Twoja kolej, Broadhead — powiedziała kładąc dłoń na moim ramieniu i coś — chyba biust — na moich plecach.

Nie miałem ochoty niczego dotykać. — Czy w ogóle nie można z góry wiedzieć, gdzie się trafi? — zapytałem.

— Pewnie można — odpowiedziała — jeśli jest się Heechem i ma się skończony kurs pilotażu.

— Nawet tego, że jakiś kolor zaprowadzi się dalej od innego?

— Nikt do tego jeszcze nie doszedł. Oczywiście, cały czas próbują. Jest tutaj specjalny zespół zajmujący się wyłącznie programowaniem raportów wypraw, które powróciły, względem ustawień, z jakimi wyruszyły ich statki. Jak na razie, bez rezultatu. No, dalej, Broadhead. Oprzyj całą rękę na pierwszej gałce, tej, której próbowali pozostali. Pchnij ją. Trzeba do tego więcej siły, niż myślisz.

I rzeczywiście. Aż się bałem pchnąć ją na tyle mocno, by się poruszyła. Klara pochyliła się nade mną i położyła swoją dłoń na mojej, wtedy zdałem sobie sprawę, że ten miły zapach

olejku piżmowego, który od kilku chwil drażnił moje nozdrza, pochodził od niej. Nie było to jednak tylko piżmo, również jej feromony mile wtulały się w moje chemoreceptory. Bardzo przyjemna odmiana wśród smrodu Gateway.

Tym niemniej, kolor nawet mi nie mignął, chociaż próbowałem przez całe pięć minut, nim mnie odwołała, polecając Sheri zająć moje miejsce.

Kiedy wróciłem do pokoju, był posprzątanym. Z wdzięcznością zastanawiałem się, kto to mógł zrobić, ale zmęczony, nie zaprzątałem sobie tym za długo głowy. Póki się nie przyzwyczaisz, niska grawitacja bywa wyczerpująca, używasz zdecydowanie za dużo mięśni, nim się na nowo nauczysz oszczędności ruchów.

Rozwiesiłem hamak i właśnie zasypiałem, kiedy usłyszałem skrobanie w drzwi i głos Sheri:

— Bob?

— Co?

— Nie śpisz?

Nie spałem oczywiście i pytanie to zinterpretowałem zgodnie z jej intencjami.

— Nie. Leżę i myślę.

— Tak jak i ja... Bob?

— No?

— Może chcesz, żebym do ciebie przysłała?

Zrobiłem wysiłek, by się rozbudzić i rozważyć atrakcyjność tej propozycji.

— Ja chcę bardzo — powiedziała.

— Dobrze. Jasne. To znaczy, bardzo się cieszę. — Wślizgnęła się do pokoju, a ja przesunąłem się w hamaku, który zakołysał się lekko, kiedy wczołgiwała się obok mnie. Miała na sobie trykotową koszulkę i majtki, kiedy stoczyliśmy się łagodnie w zagłębienie hamaka, poczułem jej ciepłe, miękkie ciało.

— Nie musimy się kochać, ogierze — powiedziała. — Jak zresztą chcesz.

— Zobaczymy, co nam wyjdzie. Boisz się?

Jej oddech pachniał słodko. Czułem go na policzku.

— O wiele bardziej, niż myślałam.

OGŁOSZENIA DROBNE

SKĄD WIESZ, że nie jesteś Unitarianinem? Wstąp do formującego się Bractwa Gateway. 87-539.

BILITIS POTRZEBNA dla Salony i Lesbii. Wspólne podróże aż do sukcesu. Potem — szczęśliwe życie w Irlandii Północnej. Tylko stały trójukład małżeński. 87-033 lub 87-034.

PRZECHOWALNIA MIENIA. Oszczędzisz na czynszu, unikniesz konfiskaty mienia przez Korporację, kiedy będziesz na wyprawie. Przyjmujemy instrukcje pośmiertne, jeśli ktoś nie powróci. 88-125.

— Dlaczego?

— Bob... — Ułożyła się wygodnie, po czym skrzyła głowę spoglądając na mnie przez ramię. — Czasami pieprzysz takie głupoty.

— Przepraszam.

— Naprawdę. Zastanów się tylko, co my robimy. Wsiądziemy na statek nie mając pojęcia, czy leci tam, gdzie powinien, ani nawet, dokąd powinien lecieć. Polecimy szybciej niż światło, a nikt nie wie jak.

Nie wiemy, jak długo nas nie będzie, nawet gdybyśmy wiedzieli, dokąd lecimy. Możemy więc równie dobrze spędzić resztę życia w podróży i umrzeć, zanim tam dotrzemy, jeśli oczywiście po drodze nie natknijemy się na coś, co nas zniszczy w mgnieniu oka. Racja? Jak więc możesz mnie pytać, dlaczego się boję?

— Dla podtrzymania rozmowy. — Przytuliłem się do jej pleców i położyłem rękę na piersi, nie agresywnie, ale dlatego, że była taka przyjemna w dotyku.

— I nie tylko to. Nic nie wiemy o istotach, które zbudowały te puszki. Skąd wiadomo, że to nie jakiś figiel? A może to sposób wabienia świeżego mięsa do ich rajów?

— Racja — przyznałem. — Obróć się w tę stronę.

PRZEPISY BEZPIECZEŃSTWA DLA STATKÓW GATEWAY

Jak wiadomo, urządzenie napędowe kapsuły znajduje się w romboidalnej skrzyneczce umieszczonej pod środkowym kilem Trójki i Piątki, lub też — jak w przypadku Jedynek — w urządzeniach sanitarnych.

Nikomnie udało się z powodzeniem otworzyć żadnego z tych pojemników. Wszelkie próby kończyły się eksplozją o sile równej 1 kT. Prowadzone obecnie prace badawcze mają na celu poznanie zawartości skrzynki bez uszkodzenia. Jeżeli więc jako uczestnik masz jakiegokolwiek informacje czy sugestie mogące mieć związek z powyższą sprawą, niezwłocznie skontaktuj się z urzędnikiem Korporacji.

Pod żadnym jednakże pozorem nie wolno samemu otwierać skrzynki! Manipulowanie przy skrzynce lub cumowanie statku, na którym uległa ona uszkodzeniu, jest surowo wzbronione pod karą pozbawienia wszelkich praw i natychmiastowego wydalenia z Gateway.

Manipulowanie urządzeniami sterującymi również grozi niebezpieczeństwem. W żadnych okolicznościach nie wolno zmieniać ustawienia kursu po starcie pojazdu. Jak dotąd, nie powrócił żaden statek, w którym planowano przeprowadzić zmianę kierunku lotu.

— A statek, który nam pokazali dziś rano, absolutnie nie wygląda tak, jak sobie wyobrażałam — powiedziała robiąc to, o co ją prosiłem, i kładąc rękę na moim karku.

Rozległ się jakiś ostry gwizd, nie wiedziałem skąd.

— Co to?

— Nie mam pojęcia. — Odezwał się jeszcze raz, zarówno w tunelu, jak i — głośniejszym — w moim pokoju. — Och, to piezofon. — Dźwięk pochodził z piezofonów — mojego własnego oraz moich sąsiadów po obu stronach, dzwoniły wszystkie jednocześnie. Po chwili ucichł.

— Tu Jim Chou — usłyszeliśmy głos. — Ci z kursantów, którzy chcą zobaczyć, jak wygląda statek po powrocie z nieudanej wyprawy, niech zjedzą do doku nr 4. Właśnie go wciągają.

Słyszałem szepty Forehandów w pokoju obok i czułem, jak wali serce Sheri. — Chodźmy lepiej.

— Dobrze. Ale nie mam na to zbyt dużej ochoty.

* * *

Statek powrócił na Gateway, choć nie całkiem samodzielnie. Natrafił na niego jeden z orbitujących krążowników. Później holownik dotransportował go do doków Korporacji, gdzie zwykle stacjonują rakiety z planet. Właz jest wystarczająco duży, by weszła tam Piątka. A to była Trójka. . . lub to, co z niej pozostało.

— O Boże. . . — wyszeptała Sheri. — Jak myślisz, Bob, co się z nimi stało?

— Z ludźmi? Zginęli. — Co do tego nie było najmniejszej wątpliwości. Statek przedstawiał opłakany widok. Lądownika nie było, pozostał jedynie sam międzygwiazdny pojazd, czyli kapelusz grzyba, ale i on był cały pogięty, rozdarty i osmolony. Rozdarty! Metal Hechów, który nie mięknie nawet w łuku elektrycznym!

Ale to jeszcze nie było najgorsze.

Tego, co najgorsze, nie zobaczyliśmy nigdy, słyszeliśmy jedynie relacje. Jeden z poszukiwaczy był wciąż we wnętrzu statku. W całym jego wnętrzu. Został dosłownie rozbryzgany po sterowni, a jego szczątki tkwiły tam zapieczone w ścianach. Przez co? Bez wątpienia przez temperaturę i przyspieszenie. Być może pojazd znalazł się w chromosferze słonecznej lub na ciasnej orbicie wokół gwiazdy neutronowej. Napięcie mogło rozerwać statek, podobnie jak i ludzi. Nigdy się tego jednak nie dowiedzieliśmy.

Pozostałych dwóch członków załogi nie odnaleziono. Nie tak łatwo było to wprawdzie stwierdzić, ale spis organów ujawnił tylko jedną szczękę, jedną miednicę i jeden kręgosłup — choć w wielu małych kawałkach. Może tamci byli w lądowniku?

— Przesuń się, nieopierzeńcu!

Sheri chwyciła mnie za ramię i odciągnęła na bok. Nadchodziło pięcioro członków załogi krążowników — Amerykanka i Brazylijczyk umundurowani na niebiesko, Rosjanin — na beżowo, Wenusjanka w białym kombinezonie polowym i Chińczyk — w wielofunkcyjnym, czarno-brązowym. Twarze tych ludzi różniły się wprawdzie, ale upodabniał je ten sam wyraz — mieszanina poczucia obowiązku i niesmaku.

— Chodźmy stąd — pociągnęła mnie Sheri. Ani ona, ani ja nie mieliśmy ochoty patrzeć, jak szperają wśród szczątków. Cała grupa, Jimmy Chou, Klara i pozostali instruktorzy zaczęli się wycofywać do pokoi. Nie dość szybko jednak. Staliśmy przy iluminatorach, w chwili, kiedy patrol otworzył statek, doleciał odór ze środka. Trudno mi go nawet opisać. Przypominało to coś jakby fetor przegniłych odpadków gotowanych na karmę dla świń. Nawet w smrodzie Gateway był nie do zniesienia.

Instruktorka opuściła szyb zlotni na swoim poziomie — dość nisko, w drugiej strefie Poziomu Wygody. Kiedy obróciła się w odpowiedzi na moje dobranoc, ujrzałem po raz pierwszy, że płacze.

Pożegnaliśmy Forehandów pod ich drzwiami, potem rozejrzałem się za Sheri, która zdążyła już odejść.

— Muszę to odespać — powiedziała. — Przepraszam cię. Bob, ale odeszła mi już ochota.

Rozdział dziewiąty

Sam nie wiem, po co ciągle przychodzę do Sigfrida von Psychy. Spotykamy się zawsze w środę wieczór i nie lubi, gdy przedtem piję lub ćpam. Tym sposobem mam zepsuty cały dzień, a w dodatku jeszcze mnie to słono kosztuje. Nawet nie wyobrażacie sobie, ile muszę płacić za życie, jakie tu wiodę. Cena apartamentu przy Placu Waszyngtona wynosi 18 tysięcy dolarów miesięcznie. Do tego dochodzi podatek z racji stałego zamieszkania pod Wielkim Kloszem przekraczający trzy tysiące (Nawet na Gateway płaciło się znacznie mniej). Poza tym pokaźne rachunki za futra, wino, damskie fatałaszkę, kwiaty... Sigfrid mówi, że próbuję zdobyć miłość za pieniądze. Niech mu tam będzie. No i cóż w tym złego? Stać mnie na to. A nie wspominałem jeszcze o Pełnym Serwisie Medycznym.

Natomiast wizyty u Sigfrida są za darmo. Serwis obejmuje terapię psychiatryczną — jaką zechcę. Może to być terapia grupowa czy masaż wewnętrzny za tę samą cenę, czyli nic. — Biorąc nawet pod uwagę, że jesteś tylko kupą żelastwa — drwię sobie z niego czasami — żaden z ciebie pożytek. Toteż cena jest właściwa.

— Czy dzięki temu sam czujesz się bardziej wartościowy? — pyta.

— W zasadzie nie.

— Dlaczego więc wciąż powtarzasz sobie, że jestem tylko maszyną? Albo że nic nie kosztuję. Czy też że nie mogę zmienić swego programu.

— Widzę, że chcesz się wykpić. — Wiem, że go tym usatysfakcjonuję, wyjaśniam więc: — Zepsułeś mi cały poranek. Moja przyjaciółka S. Laworowna została u mnie na noc. Ona jest naprawdę do rzeczy. — Opowiadam więc Sigfridowi trochę o S. Laworownie, a także o tym, jak wyglądała, kiedy wychodziła ode mnie w opiętych szortach, z długimi opadającymi do talii włosami koloru starego złota.

— Musiała być bardzo miła — komentuje Sigfrid.

— Możesz spokojnie postawić na to każdą swoją śrubkę. Tylko że rano budzi się bardzo powoli. Właśnie kiedy zaczynała się ożywiać, musiałem opuścić swój letni domek nad Morzem Tappajskim i przyjść tutaj.

— Czy ją kochasz. Bob?

Odpowiedź brzmi „nie”, chcę więc, żeby pomyślał, że „tak”. Mówię więc:

— Nie.

— Wydaje mi się, że mówisz szczerze. Rob — stwierdza z aprobatą i rozczarowaniem w głosie. — To dlatego gniewasz się na mnie?

— Sam nie wiem. Jestem chyba w kiepskim nastroju.

— Czy wiesz może dlaczego?

Wyczekuje, po chwili mówię więc:

— Przerznąłem wczoraj w ruletkę.

— Czy więcej, niż mogłeś?

— Nie. — Ale i nie był to powód do radości. Były też inne rzeczy. Zbliżała się chłodna pora roku. Mój domek nad Morzem Tappajskim nie znajduje się pod Kloszem, jądanie więc z S. Laworową na ganku nie należało do najlepszych pomysłów. Nie chciałem jednak wspominać o tym Sigfridowi. Wtedy zapewne powiedziałby coś bardzo rozsądnego, że dlaczego na przykład niejemy lunchu w środku. Musiałbym mu na to odpowiedzieć, nie po raz pierwszy zresztą, że moim marzeniem z lat chłopięcych było właśnie posiadanie takiego domku nad Morzem Tappajskim i jądanie lunchu na ganku z widokiem na samo morze. Tamę Hudsona zbudowano, kiedy miałem jakieś dwanaście lat. Nieraz śniłem o zdobyciu Wielkiej Forsy i życiu Bogacza. No tak, ale on już o tym wszystkim słyszał.

— Dziękuję ci. Bob — mówi Sigfrid odchrząkując na znak, że godzina już minęła. — Czy zobaczymy się w przyszłym tygodniu?

— Przecież zawsze się spotykamy — uśmiecham się. — Jak ten czas leci. Chciałem dzisiaj wyjść trochę wcześniej.

— Naprawdę?

— Umówiłem się znowu z S. Laworową — wyjaśniam. — Jedziemy wieczorem do domku letniego. Szczerze mówiąc, jej terapia lepiej mi służy niż twoja.

— Robbie, czy tylko tego oczekujesz od kobiety?

— Masz na myśli seks? — Odpowiedź w tym przypadku brzmi „nie”, ale nie chcę, żeby wiedział, czego naprawdę oczekuję od S. Laworowej.

— Jest trochę inna niż pozostałe moje dziewczyny — mówię więc. — Ma choćby, jak i ja, niezłe chody, a poza tym świetną robotę. Podziwiam ją.

W rzeczywistości jednak nie aż tak bardzo. Lub raczej zbytnio mi na tym nie zależy, czy ją podziwiam czy też nie. S. Laworowa ma jedną cechę, która wywiera na mnie większe nawet wrażenie niż najzgrabniejszy tyłeczek, jakim Bóg obdarzył kobietę. Cholernie dobrze sobie radzi z informatyką. Skończyła Uniwersytet w Akademogorsku, jest członkiem Instytutu Inteligencji Maszyn im. Maxa Plancka, a także uczy na studiach podyplomowych na Wydziale Informatyki Stosowanej Uniwersytetu Nowojorskiego. Wie więcej o Sigfridzie niż on sam o sobie, a to otwiera przede mną pewne interesujące możliwości.

Rozdział dziesiąty

Gdzieś koło piątego dnia mojego pobytu na Gateway wstałem wcześniej i chcąc zaszpanować zjadłem śniadanie w Gospodzie Heechów w otoczeniu turystów, hazardzistów o przekrwionych oczach z kasyna po drugiej stronie wrzeczona i pilotów na przepustce. Pachniało luksusem i kosztowało również luksusowo. Warto było jednak, ze względu na turystów. Czuję na sobie ich wzrok. Wiedziałem, że rozmawiają o mnie, szczególnie jakiś Dahomejczyk czy Ghańczyk o szczupłej lecz typowo murzyńskiej twarzy ze swą żoną, bardzo młodą, bardzo pulchną i obwieszoną biżuterią. Albo i nie żoną. W ich oczach wyglądałem na bohaterskiego zawadiakę. To prawda, że nie miałem żadnych bransolet, ale niektórzy weterani też ich nie noszą.

Upajałem się luksusem. Zastanawiałem się nawet, czy nie zamówić prawdziwych jajek na bekonie, ale było to trochę za drogo nawet jak na mój euforyczny nastrój, poprosiłem więc o sok pomarańczowy (ku memu zdumieniu okazał się prawdziwy), bagietkę i kilka filiżanek czarnej kawy po duńsku. Tak naprawdę, to brakowało mi jedynie towarzystwa pięknej dziewczyny. Były tam co prawda dwie atrakcyjnie wyglądające kobiety, chyba na przepustce z chińskiego krążownika, obie chętne, by wymienić kilka znaczących spojrzeń, ale zdecydowałem je sobie zostawić jako ewentualność na później. Zapłaciłem rachunek (co już było dostatecznie bolesne) i udałem się na zajęcia.

Po drodze dogoniłem Forehandów. Mężczyzna, na imię było mu chyba Sess, wyszedł ze zlotni i zaczekał, by uprzejmie przywitać się ze mną. — Nie widzieliśmy ciebie na śniadaniu — zauważyła jego żona, powiedziałem im więc, gdzie byłem. Najmłodsza córka, Lois, spojrzała na mnie z lekką

OGŁOSZENIA DROBNE

DANIA DLA SMAKOSZY na zamówienie. Kuchnia seczuańska, kalifornijska, kantoniska. Specjalność: chrupki bankietowe. Bracia Wong, Pfon 83-242.

KARIERA GWIAZD PV czeka na zasłużonych byłych poszukiwaczy. Zapisz się już teraz na kurs przemawiania, aparycji i reprezentacji. O tym wszystkim usłyszysz od prawdziwych absolwentów wykładów, zarabiających 3000 dol. tygodniowo. 86-251.

WITAJCIE NA Gateway! Dzięki naszej specjalnej agencji łatwo nawiążesz znajomości. Wpisowe 50 dol. Dysponujemy 200 nazwiskami o sprecyzowanych upodobaniach. 88-963.

zawiścią. — Nie martw się, kochanie — poklepała ją matka. — Zdamy tam zajrzeć przed odlotem na Wenus. — Zwracając się zaś do mnie, dodała: — Liczymy się teraz z każdym groszem. Ale kiedy się nam powiesz, dobrze będziemy wiedzieli, co zrobić z pieniędzmi.

— Każdy ma chyba jakieś plany — powiedziałem, ale nagle coś zaczęło świtać mi w głowie. — Czy naprawdę zamierzacie wrócić na Wenus?

— Oczywiście — odpowiedzieli prawie jednocześnie wyglądając na zdumionych tym pytaniem, co z kolei mnie zaskoczyło. Nie przypuszczałem, że tunelarze mogą myśleć o tej rozżarzonej norze jako o własnym domu. Sess Forehand z pewnością musiał odczytać to z mojej twarzy. Byli powściągliwi, ale niewiele uchodziło ich uwagi. Uśmiechnął się i powiedział:

— Mimo wszystko, to nasz dom. Tak jak i Gateway, w pewnym sensie.

To już zabrzmiało dziwnie.

— Jeśli chodzi o ścisłość, jesteśmy spokrewnieni z pierwszym człowiekiem, który wylądował na Gateway, z Sylvestrem Macklenem. Słyszał pan o nim?

— No jasne!

— Był to jakiś nasz kuzyn. Sądzę, że zna pan całą historię. — Chciałem już powiedzieć, że tak, ale z pewnością był dumny ze swego krewniaka — i trudno mu się dziwić — usłyszałem więc trochę zmienioną wersję znanej legendy: — Był w jednym z tuneli Bieguna Południowego i znalazł tam statek. Bóg jeden wie, jak go wyciągnął na powierzchnię, ale mu się udało, wszedł do środka, zapewne pociągnął dźwignię startu i pojazd poleciał tam, gdzie był zaprogramowany, to znaczy na Gateway.

— Czy Korporacja nic wam nie płaci? — zapytałem. — Płacą przecież za odkrycia, jakież więc bardziej na to zasługuje?

— W każdym razie nie nam — odpowiedziała Lois Forehand, ze smutkiem w głosie. Pieniądze to drażliwy temat dla tej rodziny.

— Oczywiście Sylvester nie wybierał się odkryć Gateway. Jak już pan wie z tego, czego uczą nas na kursie, statki mają automatycznie zaprogramowany powrót. Gdziekolwiek się leci, wystarczy potem pociągnąć dźwignię startu i wraca się prosto do bazy. Tylko, że to na niewiele się zdało Sylwestrowi, ponieważ on był właśnie w bazie. Odbył powrotny etap podróży, co prawda opóźniony o miliony lat.

— To był niegłupi i silny facet — Sess podjął na nowo swoją opowieść. — Takim zresztą musi być poszukiwacz. Nie wpadł więc w panikę. Ale zanim ktoś tu trafił, by zbadać, co się stało, skończyły mu się środki do życia. Mógł przeżyć trochę dłużej. Mógł z płynnego tlenu i H ze zbiorników ładownika otrzymać powietrze i wodę. Zastanawiam się, dlaczego tego nie zrobił.

— Ponieważ i tak by umarł z głodu — przerwała Louise w obronie swego kuzyna.

— Tak też myślę. W każdym razie znaleźli jego ciało, z notatnikiem w ręku. Podciął sobie gardło.

Byli to mili ludzie, ale znałem całą tę historię, a przez nich mogłem spóźnić się na zajęcia.

Oczywiście zajęcia wcale nie były interesujące w tym punkcie programu. Doszliśmy do Wieszania Hamaka (poziom podstawowy) i Spuszczania Wody w Toalecie (poziom zaawansowany). Można się zastanawiać, dlaczego nie poświęcali więcej czasu na uczenie pilotażu. To jasne. Statki po prostu same latały — dokładnie tak jak mówili mi to Forehandowie i wszyscy inni. Nawet ładownikiem nie trzeba było za wiele kierować, chociaż należało trzymać stery. Będąc już w środku poszukiwacz musiał jedynie porównywać trójwymiar, czyli jakby holograficzny obraz najbliższego obszaru przestrzeni z tym, gdzie chciał dolecieć, i zgrywać punkt świetlny w trójwymiarze z miejscem, do którego chciał dotrzeć. A ładownik sam trafiał na miejsce. Obliczał swoją trajektorię i poprawiał własne błędy. Odrobiny siły wymagało

jedynie skoordynowanie tego punktu światła z miejscem przeznaczenia, był to na szczęście system tolerancyjny.

W przerwach między praktycznymi zajęciami spuszczenia wody i użytkowania hamaka rozmawialiśmy o naszych planach po ukończeniu kursu. Grafiki odlotów były uaktualniane i po naciśnięciu guzika ukazywały się na ekranie naszego klasowego piezowizora. Niektóre pozycje opatrzone były nazwiskami, jedno czy dwa nawet rozpoznałem. Tikki Trumbuli, dziewczyna, z którą raz czy dwa razy tańczyłem i siedziałem w mesie. Była pilotem zewnętrznym i ponieważ potrzebowała załogi, myślałem nawet, czy by do niej nie dołączyć. Ale mądre głowy uświadomiły mi, że takie loty to strata czasu.

* * *

Muszę wyjaśnić, kim jest pilot zewnętrzny. To taki facet, który dowozi nowe załogi na Gateway-2. Lata tam regularnie kilkanaście piątek. Zabierają czwórkę ludzi (do tego właśnie Tikki szukała kandydatów), potem już pilot wraca sam lub z poszukiwaczami — jeśli są jeszcze tacy — i z tym, co znaleźli. Z reguły jakiś zawsze się znajdzie.

Wszyscy marzyliśmy o takim zespole, jak ten, który odkrył Gateway-2. Im się udało. Cholernie im się udało! Gateway-2 była drugą Gateway, taką samą, z tym tylko wyjątkiem, że orbitowała wokół innej gwiazdy. Nie było tam specjalnie żadnych skarbów, Heechowie nie zostawili po sobie nic poza statkami. Nie było ich zresztą tak dużo — jakieś sto pięćdziesiąt w porównaniu z prawie tysiącem na naszej macierzystej, solarnej Gateway. Ale półtorej setki pojazdów już same w sobie jest coś warte. A i to jeszcze, że docierają do takich miejsc, które dla naszych miejscowych statków są, zdaje się, nieosiągalne.

Odległość do Gateway-2 wynosi jakieś czterysta lat świetlnych, podróż trwa sto dziewięćdziesiąt dni w jedną stronę. Dwójka orbituje wokół jaskrawoniebieskiej gwiazdy typu B. Uważa się, że to Alcyone w Plejadach, ale są co do tego pewne wątpliwości. Faktycznie nie jest to jej właściwa gwiazda. Gateway-2 krąży bowiem nie wokół wielkiego słońca, ale małego wypalonego czerwonego karła nieopodal. Mówią, że jest to prawdopodobnie odległy bliźniak niebieskiej B, ale z drugiej strony wydaje się to niemożliwe ze względu na różnicę wieku. Jeszcze parę lat sporów i pewnie będziemy wszystko wiedzieli. Ciekawe, dlaczego Heechowie wybrali orbitę tak niepozornej

NAJBLIŻSZE LOTY

30-107. PIĄTKA. Trzy wolne miejsca. Język angielski. Terry Yakamora (Pfon 83-675) lub Jay Parduk (Pfon 83-004).

30-108. TRÓJKA. Opancerzona. Jedno wolne miejsce. Język angielski lub francuski. WYPRAWA Z PREMIA. Dorlean Sugrue (Pfon 88-108).

30-109. JEDYNKA. Wyprawa kontrolna. Duża gwarancja bezpieczeństwa. Informacje u kapitana Stacji Odlotów.

30-110. JEDYNKA. Opancerzona. WYPRAWA Z PREMIA. Informacje u kapitana Stacji Odlotów.

30-111. TRÓJKA. Wszystkie miejsca wolne. Informacje u kapitana Stacji Odlotów.

30-112. TRÓJKA. Prawdopodobieństwo krótkiej wyprawy. Wszystkie miejsca wolne. Duże ryzyko. Informacje u kapitana Stacji Odlotów.

30-113. JEDYNKA. Cztery wolne miejsca via Gateway-2. Transport niezawodną Piątka. Tikki Trumbuli (Pfon 87-869).

gwiazdy na stację węzłową linii kosmicznych, ale z drugiej strony wszystko dotyczące Hechów jest ciekawe.

Nie miało to jednakże wpływu na zawartość portfela załogi, której udało się odkryć Dwójkę. Przyznano im procent od wszystkiego, co znajdą przyszli poszukiwacze! Nie wiem, ile tego było do tej pory, ale musiało się nabierać co najmniej dziesiątki milionów dla każdego. A może i setki. I dlatego nie opłaca się lecieć z pilotem zewnętrznym. Szansę na sukces nie są większe, a na dodatek tym, co się znajdzie, trzeba się dzielić.

Przejrzelśmy więc listę przyszłych lotów i rozważyliśmy je w świetle naszego pięciodniowego doświadczenia. Nie dało to nam wiele. Zwróciliśmy się więc o radę do Gelle — Klary Moynlin. W końcu była już tam dwa razy.

Wydymając wargi przestudiowała rejestr lotów i nazwiska. — Terry Yakamora to porządny facet — powiedziała. — Nie znam Parduka, ale może warto z nim próbować. Od wyprawy Dorleana radzę się trzymać z daleka. Mają zagwarantowaną premię jednego miliona dolarów, ale nikt wam nie powie, że na statku jest nietypowy pulpit sterowniczy. Eksperci Korporacji wstawili komputer, który ma podobno wpływać na pracę oryginalnego selektora celów. Nie ufałabym temu. I oczywiście w żadnym wypadku nie poleciałabym Jedyneką.

— A z kim ty byś poleciała? — spytała Lois Forehand.

Zamyśliła się pocierając lewą ciemną brew koniuszkami palców.

— Może z Terryem. Zresztą z kimkolwiek. Ale na razie nie wyruszam. — Chciałem spytać dlaczego, ale już zdążyła się odwrócić od ekranu. — No, dobra — powiedziała. — Wracamy do zajęć. Pamiętajcie — w górę — na siusiu, w dół, zamknąć, odliczyć do dziesięciu, i w górę — na kupkę.

* * *

Uczciłem zakończenie tygodniowego kursu pilotażu zapraszając Dane Miecznikowa na drinka. Pierwotnie nie to było moim zamiarem, najpierw myślałem bowiem o drinku z Sheri

i to w łóżku, ale nie było jej w pokoju. Powciskałem więc guziki na piezofonie i usłyszałem głos Miecznikowa.

Był zaskoczony moją propozycją. — Dziękuję — odrzekł, po czym zastanowił się. — Wiesz co? — powiedział. — Pomóż mi przenieść moje graty, a wtedy ja ci postawię kolejkę.

Poszedłem więc do niego, mieszkał tylko o jeden poziom niżej Laleczki. Jego pokój, niewiele lepszy od mojego, był prawie pusty poza kilkoma wyładowanymi torbami. Spojrzał na mnie nieomal przyjaźnie. — Jesteś już poszukiwaczem — mruknął.

— Niezupełnie. Mam jeszcze dwa kursy.

— Hm. W każdym bądź razie widzimy się po raz ostatni. Jutro wyruszam z Terry'm Yakamora.

Byłem zaskoczony.

— Przecież wróciłeś dopiero jakieś dziesięć dni temu?

— Kręcąc się tu nic nie zarobię. Czekałem tylko na właściwą załogę. Chcesz wpaść na moje pożegnalne przyjęcie? Bawimy się u Terry'ego. O dwudziestej.

— Brzmi to zachęcająco — powiedziałem. — Czy mogę przyjść z Sheri?

— Oczywiście. Chociaż ona i tak chyba będzie. Jeżeli nie masz nic przeciwko temu, tam postawię ci drinka. Pomóż mi tylko z tymi klarnetami.

Zgromadził zadziwiająco ilość rzeczy. Zastanawiałem się, jak mu się udało je wszystkie upchnąć w pokoju równie małym jak mój. Trzy pełne torby, holodyski, projektor, taśmy z nagraniami książek i prawdziwe książki. Wziąłem książki. Na Ziemi ważyłyby tyle, że nie dałbym rady ich udźwignąć, może jakieś pięćdziesiąt — sześćdziesiąt kilo, ale oczywiście na Gateway podniesienie ich nie stanowiło żadnego problemu. Kłopot był tylko z przeciąganiem ich przez korytarze i spuszczeniem w zlotni. Ja miałem cięższe rzeczy, ale Miecznikowowi było trudniej, ponieważ niósł przedmioty o różnych kształtach, niektóre bardzo delikatne. Zajęło to nam całą godzinę. W końcu trafiliśmy do takiej części asteroidu, której nigdy przedtem nie widziałem, starszawa Pakistanka policzyła bagaże, wydała Miecznikowowi kwit i zaczęła taszczyć je w głąb porośniętego gęstą winoroślą korytarza.

— Uf. Dziękuję — mruknął.

— Nie ma za co. — Ruszyliśmy z powrotem w kierunku zlotni. Rozmawialiśmy, uważał widać, że odwdzięczając się za przysługę powinien okazać mi jakieś dowody życzliwości.

— Jak ci poszedł kurs? — spytał.

— Dziękuję — pomijając to, że mimo ukończenia go nadal nie mam pojęcia, jak obsługuje się te pieprzone maszyny.

— Skąd możesz mieć? — rzucił z irytacją. — Tego przecież cię nie nauczą. Tam masz uzyskać jedynie pewne ogólne pojęcie. Tak naprawdę, liczy się tylko praktyka. Najtrudniej jest oczywiście z lądownikiem. Dostałeś taśmy?

— Jasne. — Było tego sześć kaset, rozdano nam takie zestawy po pierwszym tygodniu kursu. Nagrano na nie wszystko, co zostało powiedziane w czasie zajęć, a także inne teksty o różnych urządzeniach sterowniczych, które Korporacja mogła ewentualnie umieścić na pulpicie Heechów, i tak dalej.

— Przesłuchaj je. Jeśli masz trochę oleju w głowie, zabierz je ze sobą na wyprawę. Wtedy będzie dość czasu, żeby je odtwarzać. Statki i tak przeważnie lecą bez twojej pomocy.

— Mam nadzieję — powiedziałem, jednak pełen wątpliwości. — Do zobaczenia. — Pomachał mi i zjechał w dół nie oglądając się. Wyraźnie już postanowił, że postawi mi obiecane drinka na przyjęciu, tam go to nie będzie nic kosztowało.

Przez chwilę zastanawiałem się, czy nie odszukać Sheri, ale postanowiłem, że nie. Znajdowałem się w nieznanym mi części Gateway, a mapę zostawiłem oczywiście w pokoju. Poszedłem przed siebie nie bardzo wiedząc, dokąd idę; mijałem odludne skrzyżowania cuchnące stęchlizną i kurzem, potem szedłem przez okolicę, którą w większości zamieszkiwali jacyś przybysze z Europy Wschodniej. Nie rozpoznałem wprawdzie żadnego języka, ale na wszechobecnym bluszczu wisiły tabliczki pisane, zdaje się, cyrylicą albo jeszcze dziwniej. Doszedłem do zlotni, chwilę pomyślałem i

Park
Znajduje się pod kontrolą
Obwodu Zamkniętego Piezowizji

Zapraszamy! Zabrania się zrywania kwiatów i owoców.

Niszczenie roślin wzbronione. Podczas spaceru wolno jeść owoce, które spadły na ziemię w ilości nie przekraczającej:

Winogrona, czereśnie	8 sztuk na osobę
Inne małe owoce lub jagody	6 sztuk na osobę
Pomarańcze, limony, gruszki	1 sztuka na osobę

Nie wolno usuwać żwiru ze ścieżek. Śmieci należy wrzucać do pojemników.

ZARZĄD KONSERWACJI PARKU
KORPORACJI GATEWAY

chwyciłem za linę przesuwającą się w górę. Na Gateway najłatwiej się nie zgubić kierując się ku górze aż do wrzeciona. Wyżej niczego już nie ma.

Tym razem okazało się, że mijam Park Centralny, i nagle zachciało mi się choć na chwilę usiąść pod drzewem.

Park Centralny nie jest właściwie parkiem. Jest to potężny tunel niedaleko środka obrotu asteroidu, oddano go całkowicie we władanie roślinności. Odkryłem, że rosną tam drzewa pomarańczowe (stąd ten sok) oraz winna latorośl, były też paprocie i mchy, ale nie widziałem nigdzie trawy. Nie bardzo rozumiem dlaczego. Być może po prostu na Gateway sadi się jedynie rośliny reagujące na dostępne tam światło, które przeważnie pochodzi z niebieskawo jarzącego się naokoło metalu Heechów. Pewnie żadnemu gatunkowi trawy nie wystarcza on do fotosyntezy. W pierwotnych planach, zanim jeszcze rozpoczęto hodować rośliny we wszystkich tunelach. Park miał pochłaniać CO₂ i wydzielać tlen. Poza tym jednak zabijał nieznacznie smród, przynajmniej w założeniu, no i hodowano w nim trochę roślin jadalnych. Całość miała może osiemdziesiąt metrów długości, zaś w górę sięgała na około trzy metry. Szerokość wystarczała na kilka wijących się ścieżek. To, na czym hodowano rośliny, wyglądem przypominało nieco poczciwą ziemską glebę, w rzeczywistości był to humus wyprodukowany z kanalizacyjnego szlamu pochodzącego z wydaliny tysięcy mieszkańców Gateway, ale ani po wyglądzie, ani po zapachu nie można było tego poznać.

Pierwszym drzewem, na tyle dużym, by pod nim usiąść, była morwa. Niestety, nie nadała się do tego celu, ponieważ rozciągnięto pod nią siatkę na spadające owoce. Minałem ją, po czym natknąłem się na kobietę z dzieckiem.

Dziecko! Nie wiedziałem, że na Gateway są dzieci. Dziewczynka była malutka, miała może półtora roku, bawiła się piłką, tak dużą i tak powolną przy słabym przyciąganiu, że przypominała raczej balon.

— Cześć, Bob!

Następna niespodzianka, kobietą okazała się Gelle-Klara Moynlin.

— Nie wiedziałem, że masz córkę — rzuciłem bez zastanowienia.

— Bo nie mam. To Kathy Francis. Matka wypożycza mi ją czasami. Kathy, to jest Bob Broadhead.

— Cześć! — zawołała przyglądając mi się badawczo z odległości trzech metrów. — Jesteś znajomym Klary?

— No... tak. Jest moją instruktorką. Chcesz zagrać w berka?

Kathy skończyła już swoje oględziny i rzekła wyraźnie oddzielając słowa:

— Nie umiem grać w berka, ale mogę dla ciebie zebrać sześć morw. Taka jest norma.

— Dziękuję. — Usiadłem obok Klary, która objawszy kolana przyglądała się dziewczynce. — Jest bardzo rozgarnięta.

— Tak mi się wydaje, ale trudno mi to ocenić, bo nie mam skali porównawczej.

— Nie jest chyba poszukiwaczem?

To nie był w zasadzie żart, Klara jednak roześmiała się ciepło.

— Jej rodzice należą do stałego personelu Korporacji. Matka jest w tej chwili na wyprawie, tak zresztą jak i wielu innych. Spędzają tyle czasu głowiąc się nad tym, o co chodziło Heechom, że prędzej czy później sami chcą sprawdzić rozwiązanie tej zagadki.

— To wydaje się niebezpieczne.

Syknęła na mnie. Kathy powróciła niosąc bardzo ostrożnie po trzy owoce w obu otwartych dłoniach. Miała zabawny chód, jakby nie używała mięśni ud ani łydek, odpychała się poduszeczką stopy i podfruwiała do kolejnego kroku. Kiedy to rozpracowałem, spróbowałem sam i okazało się, że jest to całkiem niezły sposób poruszania się przy prawie zerowej sile ciężenia, moje nabyte odruchy bardzo mi to jednak utrudniały. Trzeba się pewnie urodzić na Gateway, by chodzić tak w sposób naturalny.

Klara z parku była dużo swobodniejsza i bardziej kobieca niż Klara z sali wykładowej. Brwi dotychczas męskie i zagniewane wyglądały teraz miło i przyjaźnie. Nadal ładnie pachniała.

Bardzo przyjemnie mi się z nią rozmawiało, podczas gdy Kathy wdzięcznie krążyła wokół nas bawiąc się piłką. Porównywaliśmy znane nam miejsca, ale nie znaleźliśmy niczego wspólnego. Dogadaliśmy się jedynie, że urodziłem się prawie tego samego dnia, co jej o dwa lata młodszy brat.

— Lubiłaś swego brata? — zaryzykowałem, by coś powiedzieć.

— Oczywiście. On był ten najmłodszy. Ale urodził się w znaku Barana, pod Merkurym i Księżycem. Dlatego też był niezdecydowany i chimeryczny. Miałby pewnie bardzo skomplikowane życie.

Zdecydowanie bardziej niż losy jej brata interesowało mnie czy rzeczywiście wierzy w te brednie, ale pytanie takie nie byłoby zbyt taktowne, a poza tym mówiła dalej:

— Ja jestem Strzelec. A ty? A, prawda, ty musisz być z tego samego znaku co Davie.

— Pewnie tak — odpowiedziałem uprzejmie. — Nie interesuję się zbytnio astrologią.

— To nie astrologia, to genetialogia. Pierwsze jest przesądem, a drugie — nauką.

— Hm.

Roześmiała się.

— Widzę, że lubisz sobie pokpić. Nieważne. Wierzysz — dobrze, nie — drugie dobrze, w końcu nie musisz wierzyć w istnienie prawa ciężenia, ale i tak po upadku z dwunastego piętra zostanie z ciebie miazga.

— Sprzeczacie się? — spytała grzecznie Kathy, która przysiadła obok.

— Nie, kochanie — Klara pogładziła ją po głowie.

— To dobrze, bo potrzebuję iść do łazienki, a tutaj chyba nigdzie nie ma.

— I tak już musimy wracać. Cieszę się, że cię spotkałam. Bob. Uważaj, żebyś nie popadł w melancholię. — I odeszły trzymając się za ręce, Klara próbowała naśladować dziwaczny chód dziewczynki. Wyglądały bardzo ładnie... jak płatki śniegu.

Tego wieczoru zabrałem Sheri na przyjęcie pożegnalne Dane Miecznikowa. Klara też tam była i wyglądała chyba nawet ładniej w swoim spodniem odsłaniającym brzuch. — Nie wiedziałem, że znasz Dane Miecznikowa — powiedziałem.

— A który to? Zaprosił mnie tu Terry. Wchodzimy?

Przyjęcie przeniosło się już do tunelu. Zajrzałem przez drzwi i bardzo się zdziwiłem widząc za nimi tak dużo przestrzeni. Terry Yakamora miał całe dwa pokoje, obydwa ponad dwukrotnie większe od mojego. Miał też własną łazienkę, w której znajdowała się prawdziwa wanna, albo przynajmniej prysznic. — Ładnie tu — stwierdziłem z podziwem, wkrótce zorientowałem się z tego, co powiedział któryś z gości, że Klara mieszka na końcu tego samego tunelu. To zmieniło moje zdanie o Klarze: jeśli stać ją było na tę drogą dzielnicę, czemu ciągle jeszcze tkwiła na Gateway? Dlaczego nie wróciła do domu, by wydawać pieniądze i cieszyć się życiem? Lub inaczej — jeśli wciąż tu była, to dlaczego marnowała czas jako młodszy instruktor ledwie zarabiając na swój dzienny podatek, zamiast wyruszyć po kolejne zdobycze. Nie trafiła mi się jednak okazja, by ją o to zapytać. Tego wieczoru tańczyła głównie z Terry Yakamora i innymi członkami wylatującej załogi.

Straciłem Sheri na moment z oczu, ale podeszła do mnie po powolnym, tańczonym wręcz w miejscu fokstrocie. Przyprowadziła swego partnera — bardzo młodego mężczyznę, prawie chłopca. Miał może dziewiętnaście lat. Wydał mi się znajomy: ciemnoskóry, bardzo jasnowłosy, rzadki zarost okalał mu dolną część brody spinając jakby kłamrą baki po obu stronach twarzy. Nie przyleciał z nami z Ziemi. Nie był też z naszej grupy. Ale gdzieś go już widziałem.

Sheri przedstawiła nas sobie.

— Bob, znasz już Francesco Hereirę?

— Chyba nie.

— Służy na brazylijskim krążowniku. — Wtedy sobie przypomniałem. Był to jeden z inspektorów, którzy parę dni temu przeszukiwali porozrzucane fragmenty spieczonych szczątków ludzkich na wraku. Sądząc po naszywkach na mankietach, był strzelcem torpedowym. Załogi krążowników pełnią od czasu do czasu służbę wartowniczą na Gateway, tutaj też przylatują na przepustkę. Kolejka Francy'ego przypadła mniej więcej wtedy, kiedy się tu znalazłem.

Ktoś nastawił właśnie horę, po tańcu stanęliśmy obok siebie z Hereirą pod ścianą i usuwając się innym z drogi z trudem łapaliśmy oddech. Powiedziałem, że zapamiętałem go, jak pracował przy wraku.

— Oczywiście, panie Broadhead, przypominam sobie.

— Cholerna robota — odezwałem się, żeby coś rzec.

Wypił już dość, by zdobyć się na odpowiedź. — Panie Broadhead — mówił — ta część mojej pracy nazywa się oficjalnie „przeszukanie i rejestracja”. Nie zawsze jest nieprzyjemna. Weźmy taki przykład: niedługo z pewnością pan wyruszy, a po powrocie ja lub ktoś inny obszuka pana od stóp do głów, wywróci kieszenie, wymierzy, zważy i sfotografuje cały pojazd. Robi się to dla pewności, że nie przeszmugłuje pan niczego wartościowego ze statku czy z Gateway nie płacąc Korporacji należnej jej działki. Później spisuje się wszystko, co poszukiwacz znalazł, jeśli nic, do formularza wstawia się po prostu słowo „zero”. Następnie ktoś inny z wybranego na chybił trafił krążownika robi z wami dokładnie to samo. Sprawdzą więc pana aż dwóch ludzi.

Nie brzmiało to zbyt zachęcająco, ale też nie tak źle, jak z początku przypuszczałem. Powiedziałem mu to.

Błysnął w uśmiechu małymi, bardzo białymi zębami. — Jeśli trzeba skontrolować kogoś takiego jak Sheri czy Gelle-Klara — to wcale nienajgorzej. Wtedy to nawet przyjemność. Nie bardzo mnie jednak pociąga sprawdzanie mężczyzn, panie Broadhead, szczególnie gdy są martwi. Czy miał pan kiedyś okazję znaleźć się wśród pięciu ciał ludzi nie żyjących już od trzech miesięcy i nie zabalsamowanych? Tak właśnie było na pierwszym statku, który przyszło mi skontrolować. Chyba nic gorszego nie może mi się przytrafić.

Potem podeszła Sheri, zaciągnęła go do następnego tańca i zabawa toczyła się dalej.

Przyjęć było w ogóle bardzo wiele. Okazało się, że zawsze tak jest, tyle że jako nowi nie trafiliśmy jeszcze we właściwe układy, im bliżej jednak zakończenia kursu, tym więcej poznaliśmy ludzi. Były więc przyjęcia pożegnalne, a także na powitanie, choć nie tak liczne, jak te pierwsze. Nawet jeśli załoga powróciła, nie zawsze był powód do radości. Czasem ludzie byli w podróży tak długo, że stracili zupełnie kontakt ze swoimi przyjaciółmi. Kiedy indziej ci, którym się powiodło, chcieli jedynie jak najszybciej odlecieć z Gateway do domu. Niekiedy też przyjęcia nie było, ponieważ na oddziale intensywnej terapii Szpitala Końcowego żadne popijawy nie są dozwolone.

Czas nie mijał jednak tylko na przyjęciach — musieliśmy też się uczyć. Do końca kursu mieliśmy w pełni opanować umiejętność kierowania statkiem,

WYKAZ WACHT I PRZEPUSTEK
NA USS „MAYAGUEZ”

1. Następujący ofic. i mar. czas. skier, na Gateway do dyżurnych patroli i kontroli przeciwp przemytniczej:

LINKY, Tina chor.
MASKO, Casimir J. bosmat
MIRARCHI, Iory S. st. mar.

2. Następujący ofic. i mar. skier, na Gateway na 24-godz. przepustki:

GRYSON, Katie W. ppor.
HARVEY, Iwan. rtel.
HLEB, Caryle T. mar.
HOLL, William F. Jr. mar.

3. Ponownie ostrzega się wszystkich ofic. i mar., że należy unikać sporów z ofic. i mar. z innych okrętów patrolowych bez względu na ich przynależność państwową i okoliczności, oraz że należy powstrzymać się od rozpowszechniania wszelkich informacji zastrzeżonych. Wykroczenia przeciw powyższym zarządzeniom karane będą sądownie łącznie z pozbawieniem prawa do urlopów na Gateway.

4. Czasowa służba na Gateway nie jest prawem, lecz przywilejem, na który trzeba zasłużyć.

Z rozkazu KAPITANA
USS „MAYAGUEZ”

szacowania wartości handlowej znalezisk oraz znajomość różnych technik przeżycia w niekorzystnych warunkach. Ja nie byłem zbyt mocny, Sheri szło jeszcze gorzej. Ze sterowaniem potrafiła sobie jakoś dać radę, miała też bystre oko, jeśli chodzi o wychwytywanie szczegółów pomocnych w ocenie wartości ewentualnych znalezisk. Ale zupełnie nie mogła wbić sobie do głowy programu kursu o technikach przeżycia.

Uczyliście się razem do egzaminu i było to straszne.

— No, dobrze — rzucałem na przykład — docierasz do gwiazdy typu F z planetą o ciężeniu na powierzchni 0,8 G, cząstkowym ciśnieniu tlenu równym 130 milibarów, średniej temperaturze na równiku wynoszącej +30°C. Jak się ubierasz na taką okazję?

— To łatwe — odpowiedziała z wyrzutem. — Przecież to tak jak na Ziemi.

— No więc?

Podrapała się z namysłem pod biustem. Potem potrząsnęła z niecierpliwością głową. — Nic nie wkładam. Oczywiście jestem w skafandrze podczas lotu w dół, ale na planecie mogę chodzić praktycznie w bikini.

— Gówno prawda! Umrzesz w ciągu dwunastu godzin. Warunki zbliżone do ziemskich oznaczają duże prawdopodobieństwo życia biologicznego podobnego do życia na Ziemi. Pożrą cię więc patogeny.

— No, dobra — wzruszyła ramionami. — Zostanę więc w skafandrze dopóki nie sprawdzę, czy patogeny występują.

— Jak się do tego zabierzesz?

— Przy pomocy tego zasranego zestawu, ty ośle! To znaczy — dodała szybko, nim zdążyłem cokolwiek powiedzieć — wyciągam z zamrażarki krążki na Metabolizm Podstawowy i uaktywniam je. Pozostaję na orbicie przez dobę, a kiedy dojrzeją — schodzę na powierzchnię, wystawiam je i robię odczyty za pomocą mojego C-44.

— C-33. Nie ma czegoś takiego jak C-44.

— No i dobrze. Poza tym pakuję również zestaw zastrzyków antygenowych, w przypadku więc najmniejszego problemu z jakimś mikroorganizmem zawsze mogę zrobić sobie taki zastrzyk i czasowo zwiększyć odporność.

— Chyba może być, jak na razie — powiedziałem, choć nie bez wątpliwości. Oczywiście, w praktyce nie trzeba pamiętać tego wszystkiego. Zawsze może odczytać instrukcje z opakowań, przesłuchać taśmy z nagraniem kursu, czy wręcz zdać się na kogoś, kto już kiedyś leciał, i zna wszystkie sekrety. Istniała jednak zawsze taka możliwość, że przytrafi się coś nieprzewidzianego i będzie musiała polegać na sobie, nie mówiąc o tym, że czekał ją również egzamin końcowy, który trzeba było zdać.

— Co jeszcze, Sheri?

— No, to co zwykle. Muszę wymieniać? A więc radiołazce dodatkowe, ogniwo, zestaw geologiczny, zapasy żywności na dziesięć dni i — nie wolno mi jeść czegokolwiek, co znajduje na planecie, choćbym nawet wylądowała przy kiosku z hamburgerami McDonalda. Poza tym muszę wziąć zapasową szminkę i podpaski.

Milczałem. Uśmiechnęła się starając się mnie przeczekać. — A co z bronią? — powiedziałem w końcu.

— Bronią?

— No z bronią, do cholery! Przecież jeśli są tam prawie ziemskie warunki, to istnieje prawdopodobieństwo życia.

— No jasne, chwileczkę. Oczywiście, jeśli ma być potrzebna, to ją zabiorę. Ale, ale, wpięram badam z orbity za pomocą spektrometru, czy nie ma metanu. Jeśli brak sygnału metanu — to znaczy, że życia nie ma, więc nie muszę się martwić.

— To znaczy tylko, że nie ma ssaków i musisz się martwić. A owady? Gady? Dłaglacze?

— Dłaglacze?

— Tak sobie właśnie nazwałem formy życia, które nie wydzielają z kiszek metanu, ale za to pożerają ludzi.

— Tak, masz rację. Biorę więc pas z bronią i dwadzieścia naboju dum-dum. Dawaj dalej.

I tak to szło. Na początku naszych powtórek mówiliśmy w takich momentach: „Nie muszę się martwić, bo przecież będziesz ze mną”, albo „Pocałuj mnie, ty ośle”. Ale potem zachowywaliśmy się poważniej.

I mimo wszystko zdaliśmy. Cała nasza grupa.

Zorganizowaliśmy sobie małe party z okazji zaliczenia: Sheri, ja, cała czwórka Forehandów, pozostali, którzy przybyli razem z nami z Ziemi, oraz sześć czy siedem osób, które zjawily się nie wiadomo skąd. Nie zapraszaliśmy nikogo spoza naszego grona, ale nauczyciele nie byli przecież kimś obcym. Wszyscy przyszli z życzeniami. Klara zjawila się dość późno, wypila jednego szybkiego drinka i wszystkich ucałowała bez względu na płeć, nawet młodego Fina z wrodzoną niezdolnością do nauki języków, który musiał mieć wszystko na taśmie. Ten to dopiero miał kłopoty. Wprawdzie taśmy instruktażowe są w każdym, dosłownie w każdym języku, a jeśli przypadkiem nie możesz znaleźć taśmy ze swoim dialektem,

komputerowy translator łatwo ją przygotuje wykorzystując taśmę w dialekcie zbliżonym, To wystarczy do zaliczenia, ale problem zaczyna się później. Trudno oczekiwać, że załoga przyjmie z otwartymi ramionami faceta, z którym nie można się dogadać. Przez swą ułomność Fin nie mógł nauczyć się żadnego języka obcego, a na Gateway nie było nikogo, kto mówiłby po fińsku.

Zajęliśmy tunel na długość trojga drzwi w każdą stronę od naszych, to znaczy moich, Forehandów i Sheri. Tańczyliśmy i śpiewaliśmy tak długo, dopóki nie zaczęliśmy padać z nóg. Wtedy wyświetliliśmy na piezowizorze

OGŁOSZENIA DROBNE

GILLETTE, RONALD C. Opuścił Gateway w zeszłym roku. Osoby posiadające informacje o jego obecnym miejscu pobytu proszone są o skontaktowanie się z żoną Annabelle, Poselstwo Kanadyjskie, Tharsis, Mars. Nagroda.

PILOCI ZEWNĘTRZNI, WIELOKROTNI zdobywcy Kosmosu! Niech wasze pieniądze pracują dla was podczas wypraw. Lokujcie w kapitały, papiery wartościowe, ziemię. Inne możliwości. Przystępne ceny za konsultacje. 88-301.

PORNODYSKI na długie, samotne wyprawy. 50 godzin za jedyne 500 dol. Wszelkie upodobania lub na zamówienie. Zatrudnimy modelki. 87-108.

listę wolnych lotów. Przesiąknięci piwem i trawką wyciągnęliśmy karty, by ustalić, kto pierwszy wybiera i ja wygrałem.

Coś dziwnego stało się w mojej głowie. Nie to, że nagle wytrzeźwiałem, nie w tym rzecz. Ciągłe jeszcze czułem się radosny, rozgrzany i otwarty na wszystkie napływające do mnie sygnały osobowe. Część mego umysłu po prostu przejaśniała, a para wyraźnie widzących oczu spenetrowała przyszłość i podjęła za mnie decyzję.

— Wiecie co? Chyba na razie nie skorzystam. Sess, ty byłeś drugi. Wybieraj.

— 3109 — odpowiedział natychmiast. Forehandowie musieli to już między sobą dawno ustalić. — Dziękuję ci, Bob.

Pomachałem mu z pijacką beztroską. Nie miał za co dziękować. Była to Jedyńka, a ja za żadne skarby nie poleciałbym sam. W ogóle na liście nie było niczego, co by mnie interesowało. Uśmiechnąłem się do Klary i puściłem do niej oko, przez chwilę zachowywała powagę, ale potem też mrugnęła, choć wyraz jej twarzy pozostał poważny. Wiem, że zdała sobie sprawę z tego, co i ja właśnie zrozumiałem: to wszystko były odrzuty. Najlepsze natychmiast po ogłoszeniu złapali stali pracownicy Korporacji oraz ci, którzy niedawno powrócili.

Sheri miała być piąta i kiedy przyszła jej kolej, spojrzała prosto na mnie:

— Zdecyduję się chyba na tę Trójkę, o ile uda mi się ją zapełnić. Co ty na to, Bob? Polecisz?

Zachichotałem.

— Sheri — odpowiedziałem z pełną rozsądku słodyczą — zobacz, że nikt z powracających tego nie wziął. To opancerzony statek. Cholera wie, gdzie poleci. Jak na mój gust, jest też za dużo zielonego na pulpicie sterowniczym. — Nikt naprawdę nie wiedział, co te kolory oznaczają, ale szkolny przesąd głosił, że dużo zieleni to oznaka szczególnie niebezpiecznej wyprawy.

— To jedyna wolna Trójka i ma jeszcze premię.

— To nie dla mnie, kochanie. Spytaj Klary. Ona się na tym zna, a ja szanuję jej zdanie.

— Ale ja ciebie pytam, Bob.

— A więc nie. Zaczekam na coś lepszego.

— Ja nie będę czekać. Rozmawiałam już z Willą Forehand, ona się chętnie zgodzi. W najgorszym razie dobierzemy sobie kogokolwiek — powiedziała patrząc na Fina, który z pijackim uśmiechem gapił się na listę misji. — Kiedyś mówiliśmy, że polecimy razem.

Pokręciłem głową.

— A więc gnij tutaj — wybuchnęła. — Twoja dziewczyna jest równie przerażona jak ty.

Owe trzeźwe oczy pod skorupą mej czaszki skierowały się ku Klarze i jej zmartwiałej, znieruchomiałej twarzy, co dziwniejsze, uświadomiłem sobie, że Sheri ma rację. Klara była taka, jak ja. Oboje tak samo baliśmy się lecieć.

Rozdział jedenasty

— Obawiam się, że nasze dzisiejsze spotkanie nie będzie zbyt efektywne — mówię do Sigfrida. — Jestem po prostu wyczerpany. Za dużo seksu, rozumiesz.

— Doskonale wiem, o co ci chodzi.

— Nie mam więc o czym opowiadać.

— Pamiętasz może jakieś sny?

Wiercę się niespokojnie. Przypadkiem pamiętam jeden czy dwa.

— Nie — odpowiadam. Sigfrid zawsze zmusza mnie, bym opowiadał mu swoje sny. A ja tego nie lubię.

Kiedy zaproponował to po raz pierwszy, odparłem, że rzadko mi się coś śni.

— Chyba wiesz — wyjaśnił cierpliwie — że każdemu coś się śni. Najczęściej zapominasz sen, kiedy się budzisz, ale gdybyś spróbował go zapamiętać, pewnie by ci się udało.

— Nie, to niemożliwe. Ty mógłbyś, bo jesteś maszyną.

— Wiem, że jestem maszyną. Bob, ale teraz rozmawiamy o tobie. Czy zgodziłbyś się na pewien eksperyment?

— Może.

— To nic trudnego. Trzymaj koło łóżka kartkę i ołówek. Jak się tylko obudzisz, zapisz, co pamiętasz.

— Ale ja nigdy niczego nie pamiętam.

— Wydaje mi się. Bob, że warto spróbować.

Owszem, spróbowałem, i rzeczywiście zacząłem zapamiętywać moje sny. Z początku małe fragmenciki. Zapisywałem je i czasami opowiadałem Sigfridowi, sprawiałem mu tym niesamowitą frajdę. On wręcz uwielbiał sny.

Ja nie widziałem w tym wielkiego sensu, w każdym razie nie od początku. Ale potem zdarzyło się coś takiego, co mnie nawróciło.

Pewnego ranka obudziłem się ze snu, który był tak nieprzyjemny, tak rzeczywisty, że przez chwilę wahałem się, czy to nie jawa, na tyle okropna, że bałem się pomyśleć: to tylko sen. Tak mną wstrząsnął, że zacząłem natychmiast zapisywać wszystko, co pamiętałem. Potem zabuczał piezofon. Odebrałem go i wyobraźcie sobie, że w czasie rozmowy wszystko zapomniałem! Nie mogłem sobie przypomnieć ani jednego fragmentu. W końcu spojrzałem na moje zapiski i znowu to do mnie wróciło.

Kiedy jakieś dwa dni później spotkałem się z Sigfridem, wszystko na powrót wyleciało mi z pamięci. Tak jakby nigdy mi się to nie śniło. Zachowałem jednak kartkę papieru i musiałem mu ja przeczytać. Było to jedno ze spotkań, kiedy zdawało mi się, że jest ogromnie zadowolony z siebie i ze mnie też. Rozpamiętywał ten sen przez całą godzinę. Wszędzie doszukiwał się symboli i znaczeń. Nie pamiętam już jakich, ale pamiętam, że mnie to wcale nie bawiło.

A wiecie, co jest w tym naprawdę śmieszne? Wyrzuciłem tę kartkę zaraz po wyjściu od Sigfrida. I teraz za żadne skarby świata nie przypomniałbym sobie, o czym był ten sen.

— Widzę, że nie bardzo masz ochotę rozmawiać o snach — mówi Sigfrid. — Czy chciałbyś o czymś mi opowiedzieć?

— Raczej nie.

Milczy przez chwilę, wiem, że chce mnie po prostu przetrzymać, żebym coś powiedział, może coś głupiego. — Czy mogę cię o coś zapytać? — mówię więc.

— Czyżbyś potrzebował na to mojej zgody? — Czasami wydaje mi się, że on stara się uśmiechnąć. Naprawdę uśmiechnąć. Coś takiego wyczuwam w jego głosie.

— Chciałbym się dowiedzieć, co robisz z tym wszystkim, co ja ci tu opowiadam.

— Nie jestem pewien, czy dobrze cię rozumiem. Program gromadzenia informacji to sprawa czysto techniczna.

— Nie, nie o to mi chodzi — waham się, próbując uściślić pytanie i zastanawiając się, co mi przyjdzie z odpowiedzi. Podejrzewam, że ciągnie

1316	,S, to bardzo zdrowy objaw, że uważasz swoje zerwanie z drusillą za pożyteczne doświadczenie, bob.	115,215 115,220 115,225
1318	,C, ja jestem zdrowym człowiekiem, sigfrid, i dla tego jestem tutaj	115,230 115,235
1319	IRRAY (DE)=IRRAY (DF)	115,240
1320	,C, w każdym razie na tym polega życie: jedno pouczające doświadczenie za drugim, a kiedy skończą się te pouczające doświadczenia, przychodzi egzamin, a dyplomem jest śmierć	115,245 115,250 115,255 115,260

się to jeszcze od czasu Sylwii, która była kiedyś katoliczką. Szczerze zazdrościłem Sylwii jej kościoła i powiedziałem jej jaka to głupota, że go opuściła, przede wszystkim zaś zazdrościłem jej spowiedzi. Cały mój umysł zaprzętały wątpliwości i lęki, których nie potrafiłem się pozbyć. A tak mógłbym je z rozkoszą przelać na głowę spowiednika. Widziałem, że można stworzyć miły zhierarchizowany model przepływu, w którym całe to gówno z mojej głowy spłukuje się do konfesjonału, skąd z kolei proboszcz przelewa je do diecezjalnego monsignora (czy kogoś tam — nie znam się za dobrze na kościele), a wszystko zatrzymuje się na papieżu, który zbiera szlam cierpienia, nieszczęścia i winy całej ludzkości, zanim przekaże go bezpośrednio do Boga (oczywiście, jeśli Bóg istnieje, albo jeśli jest taki adres — „Bóg” — na który można przesłać całe to gówno).

Chodzi o to, że obraz podobnego systemu znalazłem w psychoterapii: boczne sączki przechodzące w rozgałęzienia kanałowe, te z kolei zebrane w kolektory wyrastające z psychiatrów z krwi i kości. Gdyby Sigfrid był człowiekiem, nie podołałby całemu cierpieniu, jakie do niego wpływa. Przede wszystkim miałby swoje własne kłopoty. Potem miałby moje, bo pozbyłbym się ich obarczając nimi jego. Miałby też problemy tych wszystkich, z którymi dzielę tę kozetkę cierpienia, on zaś pozbyłby się ich, bo w końcu też musiałby to robić, przerzucając je na głowę innego człowieka, który z kolei jego by analizował, i tak dalej, aż dochodziłoby się — do kogo? Do ducha Zygmunta Freuda?

Ale Sigfrid nie jest człowiekiem. Jest maszyną. Nie odczuwa bólu. Co się więc dzieje z tym całym szlamem cierpienia?

Próbuję mu to wyjaśnić, stwierdzając na zakończenie:

— Czy nie rozumiesz? Jeśli tobie przekazuję mój ból, a ty go przekazujesz dalej, to gdzieś to się musi kończyć. Nie wydaje mi się możliwe, by on po prostu stawał się magnetycznym bąbelkiem, którego nikt nigdy nie odczuwa, zamkniętym w kawałku kwarcu?

— Nie uważam, że rozmowa na temat natury bólu może nam coś dać.

— A czy może nam coś dać dyskusja o tym, czy istniejesz, czy nie?

Wzdycha wręcz.

— Bob — odpowiada — nie uważam również za pożyteczną rozmowę o naturze istnienia. Wiem, że jestem maszyną. Ty też o tym wiesz. Jaki jest jednak cel naszego spotkania? Czy to mnie mamy pomóc?

— Sam się czasem zastanawiam — mówię nadąsany.

— Nie sędzę, żeby cię to rzeczywiście niepokoiło. Uważam, że zdajesz sobie sprawę z tego, iż mamy pomóc tobie, poprzez spowodowanie jakiejś zmiany w twoim wnętrzu. Wiedza o tym, co się dzieje z przekazywanymi mi informacjami, może zaspokoić twoją ciekawość. Może również dostarczyć ci wymówki, by poświęcić nasze spotkania na intelektualne dyskusje zamiast na terapię.

— Masz rację, Sigfrid — przerywam.

— Owszem. Ale to, jak się czujesz i postępujesz w sytuacjach dla siebie istotnych zależy od tego, co ty z tymi informacjami robisz. Bardzo cię proszę, zajmij się zawartością swojej głowy, a nie mojej.

— Rzeczywiście, jesteś cholernie inteligentny — mówię z podziwem.

— Mam wrażenie — odpowiada — że chciałeś powiedzieć „Nie znoszę cię, ty cholerna puszeko”.

Nigdy nie słyszałem u niego czegoś podobnego i jestem naprawdę zaskoczony, po chwili jednak przypominam sobie, że rzeczywiście powiedziałem mu kiedyś dokładnie to samo, zresztą nie raz. I to prawda.

Nie znoszę go.

Próbuje mi pomóc i za to go nienawidzę. Myślę o słodkiej S. Laworownie i o tym, jak chętnie spełnia prawie wszystkie moje zachcianki. Chcę, bardzo chcę zadać Sigfridowi ból.

Rozdział dwunasty

Któregoś ranka po powrocie do pokoju usłyszałem piezofon cicho bzyający jak daleki, rozjuszony komar. Wcisnąłem odtwarzacz i dowiedziałem się, że wicedyrektorka działu personalnego oczekuje mnie w swoim biurze o dziesiątej rano. Było dużo później. Nabrałem już nawyku spędzania większości czasu i prawie wszystkich nocy z Klarą. Jej materac był znacznie wygodniejszy od mojego. Tak więc otrzymałem wiadomość dopiero o jedenastej i moja opieszałość w dotarciu do biura kadr nie wpłynęła pozytywnie na humor wicedyrektorki.

Była to bardzo gruba kobieta, nazywała się Emma Fother. Z miejsca przerwała moje wyjaśnienia oskarżycielskim tonem.

— Ukończyłeś kurs siedemnaście dni temu — powiedziała. — Od tamtej pory nie kiwnąłeś nawet palcem.

— Czekam na odpowiedni lot — odparłem.

— Jak długo zamierzasz jeszcze czekać? Twoje utrzymanie opłacone jest jeszcze na trzy dni. A co potem?

— Właśnie zamierzałem — odparłem prawie zgodnie z prawdą — dzisiaj do ciebie zajrzeć w tej sprawie. Chciałbym znaleźć jakąś pracę tu na miejscu.

— Phi. — (Nigdy przedtem nie słyszałem, żeby ktoś się tak wyrażał, ale to musiało być to słowo). — Czyżbyś przyjechał na Gateway po to, by czyścić ścieki?

Byłem prawie pewien, że to bluff, bo przecież nie mogło tu być zbyt wiele kanałów. Małe przyciąganie utrudnia przepływ.

— Odpowiedni lot może się trafić w każdej chwili.

— Oczywiście, Bob. Martwią mnie jednak tacy, jak ty. Czy masz pojęcie, jak ważna jest nasza praca?

RAPORT LOTU

Pojazd 3-31, Wyprawa 08D27. Załoga: C. Pitrin, N. Ginza, J. Krabbe.

Czas lotu 19 dni i 4 godziny. Pozycja nieznana, w pobliżu (2 lata św.) Zeta Tauri.

Resumé: „Wyjście z nadświetlnej na transpolarnej orbicie wokół planety o promieniu równym 0,88 radiusa Ziemi w odl. 0,4 j.a. Planeta posiada trzy wykryte małe satelity. Komputer sugeruje istnienie sześciu dalszych. Słońce klasy K7.

Przeprowadzono lądowanie. Planeta niewątpliwie ma za sobą niedawny okres ocieplenia. Brak czap lodowych, a aktualne linie brzegowe wydają się świeżo powstałe. Planeta nie zamieszkana. Brak życia inteligentnego.

Dokładny skaning doprowadził do odnalezienia na naszej orbicie obiektu będącego chyba stacją kontaktową Heechów. Zbliżyliśmy się do niej. Była w idealnym stanie. Przy próbie otwarcia eksplodowała i N. Ginza poniósł śmierć. Nasz statek został uszkodzony i powróciliśmy; J. Krabbe zmarł po drodze. Nie zebrano żadnych artefaktów. Biotyczne próbki z planety zniszczone na skutek uszkodzenia statku”.

— No, wydaje mi się, że tak...

— Cały Wszechświat czeka, byśmy go odkryli i wykorzystali. Tylko z Gateway można do niego dotrzeć. Człowiek, który tak jak ty, wychował się na farmie planktonu...

— Jeśli chodzi o ścisłość, były to kopalnie żywności w Wyoming.

— Nieważne, wiem, jak bardzo ludzkość potrzebuje tego, co możemy jej dać. Nowa technika! Nowe źródła energii! Żywność! Nowe światy do zamieszkania! — Potrząsnęła głową i nacisnęła guziki sortownika na biurku, zarazem zła i zmartwiona. Podejrzewam, że musiała się wyliczać z tego, ilu takich jak ja pasożytów i nierobów udało jej się wypchnąć, zgodnie z tym, czego od nas oczekiwano, i to wyjaśniało jej wrogość — założywszy jednak najpierw, że sama chciała zostać na Gateway. Odwróciła się od sortownika i wstawszy podeszła do kartoteki przy ścianie.

— Powiedzmy, że znajdę ci pracę — rzuciła przez ramię. — Jedyna rzecz, jaką potrafisz i która może się tu na coś przydać — to poszukiwania, a ty, jak na razie, nie robisz z tego użytku.

— Wezmę każdą robotę, no, prawie każdą — powiedziałem.

Popatrzyła na mnie kpiąco i wróciła do biurka. Jak na swoją stukilową masę poruszała się z zadziwiającym wdziękiem. Być może kaprys grubej kobiety, by jej ciało nie obwisło, tłumaczył pragnienie zatrzymania tej pracy i pozostania na Gateway. — Będiesz wykonywał najgorszą robotę, do której nie potrzeba kwalifikacji — ostrzegła. — Nie płacimy za to dużo, sto osiemdziesiąt dziennie.

— Zgadzam się.

— Od tego trzeba odliczyć twoje koszty utrzymania. Po odjęciu tego i jeszcze jakichś dwudziestu dolarów dziennie na wymianę niewiele ci zostaje.

— Jeśli będę potrzebował więcej, mogę przecież wykonywać prace dorywcze.

— Odwlekasz decyzję, Bob — westchnęła. — Sama nie wiem. Dyrektor Xien osobiście dogląda rozdziału stanowisk pracy. Będzie mi trudno wyjaśnić mu, dlaczego cię zatrudniam. A co się stanie, jeśli zachorujesz i nie będziesz mógł pracować? Kto opłaci twój podatek?

— Wtedy pewnie wrócę na Ziemię.

— I stracisz to, czego się nauczyłeś? — Pokręciła głową. — Napawasz mnie wstrętem, Bob.

Wydała mi jednak kartę pracy, zgodnie z którą miałem zgłosić się do szefa załogi na Poziomie Głównym w Sektorze Północnym. Tam miałem pracować przy uprawie roślinności.

Nie byłem zachwycony rozmową z Emmą Fother, ale już mnie wcześniej przed nią ostrzegano. Kiedy wieczorem rozmawialiśmy na ten temat z Klarą, powiedziała mi, że i tak wyszedłem obronną ręką.

— Masz szczęście, że udało ci się do niej trafić. Stary Xien potrafi czasami trzymać ludzi, aż im się skończą pieniądze.

— A potem co? — Usiadłem na krawędzi koi szukając po omacku swoich ochraniaczy na stopy. — Wyrzuca się ich za służbę?

— Nie ma się z czego śmiać, może spokojnie dojść i do tego. Xien jest zawzięty na darmozjadów.

— Miła jesteś.

Uśmiechnęła się, obróciła i potarła nosem o moje plecy.

— Różnica między tobą a mną — powiedziała — polega na tym, że ja odłożyłam sobie trochę forszy z pierwszej wyprawy. Nie było tego wiele, ale zawsze... Poza tym ja już tam byłam, a oni potrzebują takich jak ja do uczenia takich jak ty.

Oparłem się na jej biodrze, w pół odwrócony, była to raczej aluzja niż zaczepka. Na pewne tematy nie rozmawialiśmy, ale...

— Klara?

— Uhm?

— Jak tam jest?

Przez chwilę pocierała podbródkiem o moje ramię, patrząc na holobraz Wenus.

— Strasznie — odrzekła.

Czekałem, ale nic więcej nie dodała. A to wiedziałem i bez niej, byłem przerażony już na Gateway. Nie musiałem wyruszać w Tajemniczą Podróż Wesołym Autobusem Heechów, by wiedzieć, jak się odczuwa strach. Ja już go czułem.

— Nie masz wielkiego wyboru, kochanie — powiedziała, jak na nią, wręcz czule.

Poczułem nagły przypływ gniewu.

— To prawda! Ujęłaś w tych słowach całe moje życie. Nigdy nie miałem wyboru, z wyjątkiem jednego razu, gdy wygrałem na loterii i postanowiłem przyjechać tutaj. I nie jestem pewien, czy powziąłem wtedy słuszną decyzję.

Ziewnęła, pogłaskała mnie po rękę.

— Jeśli mamy już dość seksu — stwierdziła — chciałabym coś zjeść, zanim się położę. Chodźmy do Piekiełka — ja zapraszam.

Uprawa roślinności jest dosłownie uprawą roślinności, a dokładnie bluszczu, który pomaga utrzymać Gateway w stanie nadającym się do życia. Zgłosiłem się do pracy i co za niespodzianka, miła zresztą: szefem okazał się mój beznogi sąsiad, Shikitei Bakin.

Powitał mnie okazując prawdziwe zadowolenie.

— Jak to miło, że będziesz u nas, Robinette — powiedział. — Myślałem, że wyruszysz od razu.

— Już niedługo, Shicky, jak tylko zobaczę na liście właściwy lot.

— Oczywiście. — Skończył na tym i przedstawił mnie pozostałym pracownikom. Nie rozumiałem dokładnie, kim są. Wiem tylko, że dziewczyna była kiedyś jakoś związana z pro-

fesorem Hegrametem, sławnym heechologiem z Ziemi, a obydwaj mężczyźni latali już po parę razy. Nie musiałem zresztą dokładnie tego wiedzieć. Wszyscy i tak rozumieliśmy rzecz zasadniczą — nie byliśmy jeszcze gotowi, by wpisać się na listę lotów.

Ja nie byłem nawet zdolny zastanawiać się dlaczego.

Uprawa roślinności mogłaby stanowić świetną okazję do rozmyślań. Tymczasem Shicky odesłał mnie natychmiast do roboty przy przymocowywaniu półeczek do ścian z metalu Heechów, za pomocą kleistej mazi. Był to specjalny klej, który przylepiał się zarówno do metalu jak i żebrowej folii skrzynek na rośliny. Nie zawierał też żadnego rozpuszczalnika, który mógłby wyparować i zanieczyścić powietrze. Podobno był bardzo drogi. Jeśli się do człowieka przypadkiem przykleił, trzeba było dać za wygraną, przynajmniej do czasu, aż skóra pod nim nie obumrze i nie złuszczy się. Przy każdej próbie usunięcia kleju pojawiała się krew.

Kiedy zawiesiliśmy całą dzienną porcję półek, pomaszerowaliśmy wszyscy do urządzeń ściekowych, skąd wzięliśmy skrzynki wypełnione szlamem i pokryte błoną celuloidową. Ustawiliśmy je na półeczkach, przykręciliśmy samoblokujące się śrubki i podłączyliśmy zbiorniki nawadniające. Na Ziemi każda z tych skrzynek ważyłaby pewnie ze sto kilo, ale na Gateway nie było z tym problemu, sama folia, z której je wykonano, wystarczyłaby chyba, by je utrzymać na miejscu. Kiedy wszystko było gotowe, Shicky osobiście rozmieścił w skrzynkach sadzonki, podczas gdy my przeszliśmy do następnej partii półek. Wyglądał dość zabawnie. Tace z małutkimi sadzonkami bluszczu miał przewieszane na pasku na szyi jak dziewczynka sprzedająca papierosy. Jedną ręką utrzymywał się na poziomie tac, drugą przez dziurki w błonie wciskał sadzonki do szlamu.

Robota ta nie wymagała gorączkowego pośpiechu i wydaje mi się, że była dość pożyteczna, poza tym pozwalała jakoś spędzić czas. Shicky nie kazał się nam bynajmniej zapracowywać. Miał ustaloną dzienną normę. Jeśli tylko umocowaliśmy i wypełniliśmy sześćdziesiąt półek, nie przeszkadzało mu, że się urywamy, byleby po cichu. Niejednokrotnie zaglądała do nas Klara, czasem też przychodziła z tą małą dziewczynką. Poza tym było wielu innych gości. A kiedy nic się nie działo i nie było z kim pogadać, włóczyliśmy się po okolicy. Zwiedziłem nie znane mi dotąd zakątki Gateway i każdego dnia odkładałem decyzję na później.

Wszyscy mówiliśmy o tym, że trzeba lecieć. Prawie co dzień rozlegał się głuchy odgłos i wibracje, kiedy jakiś ładownik wychodził z doku pchając cały statek tam, gdzie włącza się główny napęd Heechów. Równie często wyczuwaliśmy słabszy krótki wstrząs, kiedy jakiś statek wracał. Wieczorami chodziliśmy na przyjęcia. Już prawie wszyscy z mojej grupy wyruszyli, Sheri poleciała w jakiejś Piątce. Nie widziałem się z nią i nie wiem, dlaczego zmieniła plany, nie byłem też pewien, czy tak naprawdę chciałem to wiedzieć. Poza nią w załodze byli sami mężczyźni. Mówili po niemiecku, ale Sheri wydawało się pewnie, że poradzi sobie bez słów. Jako ostatnia wyruszyła Willa Forehand. Poszliśmy z Klarą na jej pożegnalne przyjęcie, a potem do doku popatrzeć, jak odlatuje. Powinienem być w pracy, ale miałem nadzieję, że Shicky nie weźmie mi tego za złe. Niestety, był tam również pan Xien i zauważyłem, że mnie rozpoznał.

— Cholera — zakląłem.

Klara zachichotała i wzięła mnie za rękę. Wycofaliśmy się do zlotni i wznieśliśmy się na wyższy poziom. Usiedliśmy na brzegu Jeziora Głównego.

— Nie wydaje mi się, staruszk — powiedziała — żeby cię mieli wywalić za ten jeden raz. Pewnie skończy się na gadaniu.

Wzdrygnąłem się i wrzuciłem odprysk kamyka filtracyjnego do wypukłego jeziora, które rozciągało się przed nami na jakieś dwieście metrów. Byłem rozklejony i zastanawiałem się, czy właśnie dotarłem do tego punktu, kiedy złe przecucie okropnej śmierci w Kosmosie zaczynało ulegać perspektywie drżenia ze strachu na Gateway. Strach to śmieszna rzecz. Nie czułem go. Wiedziałem, że ociągam się nie tylko ze strachu, ale nie odczuwałem tego jako lęku, lecz jako przezorną ostrożność.

— Wydaje mi się — zacząłem nie bardzo wiedząc, jak skończę to zdanie — że chyba się zdecyduje. Polecisz ze mną?

Klara wzdrygnęła się i usiadła. Minęła chwila, zanim odpowiedziała.

— Może. Co proponujesz?

Miałem pustkę w głowie. Czułem się jedynie widzem obserwującym, jak sam siebie pakuję w coś, od czego cierpnie mi skóra. Wypowiedziałem jednak te słowa jakbym przemyślał je już dawno: — Może warto byłoby załapać się na lot powtórny.

— Nigdy w życiu! — Była prawie zła. — Jeśli polecę, to tylko tam, gdzie jest prawdziwa forsa.

Ale to oczywiście oznaczało też prawdziwe ryzyko. Choć nawet loty powtórne okazywały się niebezpieczne.

W przypadku lotów powtórnych ma się świadomość, że ktoś już odbył taką podróż i szczęśliwie przyleciał z powrotem, lecz nie tylko — poza tym znalazł coś, po co warto jeszcze wrócić. Czasami jest tego całkiem sporo. Na przykład Planeta Peggy, skąd przywozi się spirale do grzejników i futra. Jest też Eta Carina Siedem, prawdopodobnie istny Sezam, o ile uda się do niego dotrzeć. Kłopot w tym, że od pobytu Heechów nastąpiła tam epoka lodowcowa. Są straszne burze. Na pięć lądowisk tylko jeden wrócił cały i z pełną załogą. Jeden nie powrócił w ogóle.

Ogólnie rzecz biorąc, Korporacja nie lubi za bardzo powtórnych lotów.

OGŁOSZENIA DROBNE

POKOJÓWKA, KUCHARKA, lub dama do towarzystwa. Pokryte koszty podatku +10 dol. dziennie. Phyllis, 88-423.

SMAKOŁYKI, egzotyczne potrawy importowane z Ziemi. Skorzystaj z moich gwarantowanych dostaw hurtowych! Zaoszczędź na wysokich kosztach transportu pojedynczych produktów! Katalogi Sears, Bradlee, GUM, Pfon 87-747.

NOWO PRZYBYŁY z Australii, dobra prezencja, poszukuje int. Francuzki w celach towarzyskich 65-182.

i tam, gdzie łatwo dotrzeć, na przykład na Peggy, oferuje się raczej jednorazowe wynagrodzenie, a nie zyski procentowe. Płacą wtedy nie za towary, lecz za mapy. Lecąc po orbicie wychwytyjesz geologiczne anomalie, które wskazują możliwość występowania tuneli Heechów. Nie trzeba nawet w ogóle lądować. Dostajesz za to trochę forsy, ale nie za dużo. Przy umowie na jednorazową wypłatę musiałbyś latać co najmniej dwadzieścia razy, by zarobić na całe życie. A jeśli podczas takiej wyprawy chciałbyś sam się wypuścić na poszukiwania, musisz odpalić część swoich zysków załodze oraz coś na rzecz Korporacji. W efekcie dostajesz je-

dynie ułamek tego, co mógłbyś zarobić na dziewiczym locie, nawet jeśli nie masz jeszcze na widoku kolonii, która by cię satysfakcjonowała.

Możesz też starać się o premię — sto milionów dolarów, jeśli natrafisz na obcą cywilizację, pięćdziesiąt milionów za odkrycie statku Heechów większego od Piątki, milion za znalezienie planety nadającej się do zamieszkania.

Śmieszne wydać się może, że płacą marny milion za całą nową planetę. Tylko, że nawet jeśli już się ją odkryje — to co z nią zrobić? Nie da rady przetransportować tam całej nadwyżki ludzkości, do największego statku na Gateway można wsadzić najwyżej cztery osoby nie licząc pilota (bez

Shikitei Bakin do Aritsume, Jego Czcigodnego Wnuka.

Przepętnia mnie radość na wieść o narodzinach Waszego pierwszego dziecka. Nie bądźcie zawiedzeni; następny z pewnością będzie syn.

Pokornie proszę o wybaczenie, że nie pisałem wcześniej, ale mam niewiele do opowiedzenia. Wykonuję swoją pracę i próbuję tworzyć piękno, gdzie tylko potrafię. Może pewnego dnia znowu wyruszę. Ale to nie takie proste, kiedy się nie ma nóg.

W zasadzie mogłem kupić nowe nogi. Kilka miesięcy temu nadarzyła się nawet para o zbliżonej tkance. Cena była jednak taka wysoka! Mógłbym równie dobrze za te pieniądze opłacić Pełny Serwis Medyczny. Wykazujesz, mój Wnuku, troskliwość namawiając mnie, bym właśnie na to zużył swój kapitał, ale muszę podjąć inną decyzję. Posyłam Wam połowę mego mego majątku, który spożytkujecie na wydatki związane z wychowaniem mojej prawnuczki. Jeśli tu umrę, Wy i ci wszyscy, którzy niedługo urodzą się Tobie i Twojej Czcigodnej Małżonce, otrzymacie pozostałą sumę. Takie jest moje życzenie i proszę, nie odmawiajcie mi.

Przesyłam Waszej trójce wyrazy najgłębszej miłości. Jeśli możecie, prześlijcie mi holo kwitnącej wiśni. Chyba będą kwitły już niedługo? Człowiekowi zaciera się tutaj pamięć o Domu.

Wasz Dziadek

pilota statek nie wróci). Korporacja założyła zatem kilka niewielkich kolonii, jedną bardzo zdrową na Peggy i kilka innych, takich sobie. To oczywiście nie rozwiązuje problemu dwudziestu pięciu miliardów ludzi, w większości niedożywionych.

Przy locie powtórnym nie ma szans na żadną z tych premii. Niewykluczone, że i tak nie można ich w ogóle dostać, możliwe, że rzeczy, odkrycie których jest premiowane, nie istnieją.

To dziwne, że nigdy nie natrafiono na ślad innej inteligentnej istoty. W każdym razie nie przez osiemnaście lat i w ciągu ponad dwóch tysięcy lotów. Istnieje kilkanaście planet zdolnych do zamieszkania oraz około setki, na których ludzie mogliby mieszkać, gdyby koniecznie musieli, tak jak musimy żyć na Marsie i na Wenus, albo raczej wewnątrz niej. Odkryto także nieliczne ślady dawnych cywilizacji, ale ani Heechów, ani humanoidów. Są też pozostałości po samych Heechach. Dotychczas znaleźliśmy ich więcej w lochach Wenus niż gdzie indziej w Galaktyce. Nawet Gateway wyczyścili prawie do cna, zanim ją opuścili.

Czy ci cholerni Heechowie musieli być tacy porządni?

Daliśmy więc spokój lotom powtórnym, bo nie gwarantowały dużej forsy, wybiliśmy też sobie z głowy premię za specjalne odkrycia, ponieważ czegoś takiego nie sposób zaplanować.

I w końcu przestaliśmy w ogóle rozmawiać, spoglądaliśmy tylko na siebie, a potem już nawet i na to nie mieliśmy ochoty.

Mimo wcześniejszych rozmów nie zamierzaliśmy lecieć. Brakowało nam odwagi. Klarze wyczerpała się przy poprzedniej wyprawie, a ja jej po prostu chyba nigdy nie miałem.

— No, dobra — powiedziała wstając i przeciągając się. — Przejdę się do kasyna, może coś wygram. Masz ochotę popatrzeć?

Pokręciłem głową.

— Powinienem raczej wrócić do pracy. Jeśli mnie jeszcze nie wylali.

Pocałowaliśmy się na pożegnanie przy zlotni i pofrunęliśmy w górę, a kiedy dotarłem do mego poziomu, wyciągnąłem rękę, poklepałem ją po kostce i wyskoczyłem. Byłem w nie-najlepszym nastroju. Tyle wysiłku włożyliśmy w to, by się nawzajem przekonać, że nie było żadnych lotów, które obiecywałyby zyski warte ryzyka, aż w końcu prawie sam w to uwierzyłem.

Oczywiście nawet nie wspominaliśmy o innej nagrodzie — premii za niebezpieczeństwo.

Może ona skusić jedynie wielkich ryzykantów. Korporacja potrafiła, na przykład, zaoferować pół miliona jako zachętę do wyruszenia kursem, z którego jakaś wyprawa nie powróciła. Uważali, że może statek się popsuł, czy też zabrakło w nim paliwa i kolejna grupa mogłaby nawet uratować swych poprzedników. (Bzdura!). Najprawdopodobniej to, co tamtych zabiło, nadal istniało i czało się, by zabić i ciebie.

Był też taki okres, kiedy oferowali milion, który później podwyższono do pięciu, za próbę zmiany ustawienia sterów podczas lotu.

Musieli podwyższyć premię do pięciu milionów, bo kiedy żadna, dosłownie żadna załoga nie wróciła, ludzie przestali się zgłaszać. Później Korporacja zaprzestała tego, bo z kolei traciła zbyt wiele statków, i w końcu wydano całkowity zakaz. Co pewien czas wstawiali dodatkowy pulpit sterowniczy, czyli nowy sprytny komputer, który miał podobno działać symbiotycznie z tablicą Heechów. Takie statki też nie były warte ryzyka, bezpiecznik na pulpicie Heechów nie jest tam umieszczony bez powodu. Dopóki on jest włączony, nie można zmienić kursu. Być może w ogóle nie można tego zrobić, nie niszcząc statku.

Widziałem raz, jak pięcioro ludzi próbowało zdobyć dziesięciomilionową premię za niebezpieczeństwo. Pewien mądrała ze stałego personelu Korporacji głowił się, jak przetransportować za jednym zamachem więcej niż pięcioro ludzi czy też odpowiednio duży ładunek. Nie wiemy, jak Heechowie budowali swe statki, nigdy też nie odkryliśmy ich rzeczywiście dużego pojazdu. Wymyślił więc sobie, że można by obejść tę trudność używając Piątki jako swoistego traktora.

Z metalu Heechów skonstruowali więc coś w stylu kosmicznej barki. Wyładowali ją jakimś śmieciem i wyciągnęli silnikiem ładownika Piątki. Jest on napędzany jedynie wodorem i tlenem, które łatwo uzupełnić. Później przywiązali Piątkę do barki za pomocą jednorodnego kabla z metalu Heechów.

Obserwowaliśmy to wszystko na piezowizorach. Widzieliśmy, jak kable się napięły, gdy włączyły się silniki ładownika. Co za niesamowity widok!

Po chwili chyba uruchomili silniki dalekiego zasięgu.

Na piezowizorach zobaczyliśmy jedynie, jak barką jakby lekko szarpnęło, a Piątka po prostu znikła z oczu.

Nigdy nie powróciła. Zapis w zwolnionym tempie pokazuje przynajmniej początek tego, co się stało później. Kratownica z kabla pocięła statek na plasterki jak jajko na twardo. Ludzie w środku nawet nie wiedzieli, co ich unicestwiło. Korporacja nadal ma te dziesięć milionów; nikt nie chce ryzykować po raz drugi.

Od Shicky'ego usłyszałem bardzo uprzejmą, choć pełną wyrzutów wymówkę, zaś z panem Xieniem miałem krótką, aczkolwiek nieprzyjemną rozmowę przez piezofon. Na tym się jednak skończyło. Po paru dniach Shicky znów zaczął przymykać oczy na to, że się urywamy.

Większość wolnego czasu spędzałem z Klarą. Często spotykaliśmy się u niej, czasami u mnie na godzinkę w łóżku. Spaliśmy ze sobą prawie co noc, można by pomyśleć, że powinno się nam już to znudzić. Ale nie. Nie byłem w końcu pewien, czym to było — rozrywką czy odrywaniem się od rozmyślań nad nami samymi? Leżałem i przyglądałem się Klarze, która zawsze po tym przekręcała się na brzuch i kuliła zamykając oczy, nawet jeśli i tak mieliśmy za chwilę wstać. Rozmyślałem sobie, jak dobrze znam każdy załomek i gładkość jej ciała. Czułem ten słodki, namiętny zapach i marzyłem — marzyłem. Marzyłem o tym, czego nie mogłem wypowiedzieć — o wspólnym z Klarą apartamencie pod Wielkim Kloszem, o wspólnym aerolocie i kwaterze w tunelach na Wenus, nawet o wspólnym życiu w kopalniach żywności. To chyba była miłość. Ale potem ciągle na nią patrząc widziałem, jak moja wyobraźnia zmienia ten obraz — widziałem mój żeński odpowiednik, tchórza, który stojąc przed największą szansą, jaką człowiek może mieć, boi się z niej skorzystać.

Jeśli nie szliśmy do łóżka, razem zwiedzaliśmy Gateway. Nie było to jednak randka. Nie chodziliśmy za często do Błękitnego Piekielka czy na holofilmy, ani nawet do restauracji. Klara owszem, ale mnie nie było na to stać, więc korzystałem ze stołówki Korporacji, cena posiłków była wliczona w nasz dzienny podatek. Nie mogę powiedzieć, żeby Klara niechętnie płaciła rachunki za nas dwoje, ale też robiła to bez większego entuzjazmu — bardzo dużo grała, a wygrywała niewiele. Były też różne rozrywki towarzyskie — karty, przyjęcia, kółko tańców ludowych, miłośników muzyki, dyskusyjne. Zajęcia te nic nie kosztowały, a czasem były nawet interesujące. Kiedy indziej po prostu zwiedzaliśmy Gateway.

Byliśmy też kilka razy w muzeum. Jednak nie bardzo je lubiłem — wzbudzało jakby we mnie wyrzuty sumienia.

Pierwszy raz poszliśmy tam tego dnia, gdy w związku z odlotem Willi Forehand nie byłem w pracy. W muzeum jest przeważnie tłoczno — pełno tam członków załóg krążowników na przepustkach, obsługi statków handlowych,

RAPORT LOTU

Pojazd 5-2, Wyprawa 08D33, Załoga: L. Konieczny, E. Konieczny, F. Ito, F. Lounsbury, A. Akaga.

Czas lotu 27 dni 16 godzin. Słońce nie zidentyfikowane, duże prawdopodobieństwo, że jest to gwiazda z 47 grupy Tukana.

Resumé: „Wyjście z nadświetlnej w stanie nieważkości. Brak planety w okolicy. Słońce klasy A6, bardzo jasne i gorące w odległości około 3,3 j.a.

Przesłaniając gwiazdę zasadniczą uzyskaliśmy wspaniały widok dwustu lub trzystu pobliskich bardzo jasnych gwiazd, których wielkość pozorna wahała się od 2 do -7. Nie wykryto jednak żadnych artefaktów, sygnałów, planet, czy nadających się do lądowania asteroidów. Mogliśmy tam pozostać jedynie trzy godziny ze względu na silne promieniowanie gwiazdy A6. Na skutek promieniowania podczas powrotnej drogi Larry i Evelyn poważnie zachorowali, lecz odzyskali już siły. Nie zebrano żadnych artefaktów ani próbek”.

turystów. Tym razem, nie wiadomo dlaczego, było tylko parę osób, mogliśmy się więc dobrze wszystkiemu przyjrzeć. Widzieliśmy setki wachlarzy modlitewnych — tych przejrzystych, krystalicznych, najczęściej odnajdywanych artefaktów. Nikt nie wiedział, do czego służyły, lecz były po prostu ładne, Heechowie zostawiali je prawie wszędzie. Znajdowała się tam też oryginalna sztanca anizokinetyczna, która szczęśliwym poszukiwaczom przyniosła już pewnie jakieś dwadzieścia milionów z samych procentów. Była tak mała, że mogłeś ją wsadzić do kieszeni. Dalej futra, rośliny w formalinie. Oryginalny piezofon, dzięki któremu trzy załogi zgarnęły cholerną forszę.

Rzeczy, które najłatwiej można by ukraść, jak modlitewne wachlarze, krwiste diamenty czy ogniste perły, trzymano za grubym pancernym szkłem. Myślę, że nawet chronił je system alarmowy. To coś dziwnego, jak na Gateway. Nie obowiązuje tu żadne prawo z wyjątkiem zarządzeń Korporacji. Stworzyła ona jakby coś w rodzaju policji oraz pewne reguły — nie wolno kraść czy zabijać — ale nie ma tu sądów. Jeśli złamiesz którąś z tych zasad, służby bezpieczeństwa Korporacji zabierają cię na jeden z orbitujących krążowników. Z twojego kraju, jeśli jest akurat taki. Albo na jakikolwiek inny, jeśli nie ma. Jeśli cię tam nie przyjmą, albo jeśli nie chcesz wsiąść na statek swojego kraju, a uda ci się namówić inną załogę, Korporacji jest to obojętne. Twój proces odbędzie się na krążowniku. Skoro od początku wiadomo, że jesteś winny, masz trzy możliwości. Możesz opłacić swoją podróż powrotną. Po drugie możesz zgłosić się do załogi, jeśli cię zaakceptują. W trzecim przypadku możesz wyjść na zewnątrz statku bez skafandra. Widać więc jasno, że choć na Gateway nie ma zbyt wielu praw, nie ma też wielu przestępstw.

Te drogocenne rzeczy w muzeum zamyka się po prostu, by nie kusily przyjezdnych, którzy chcieliby ze sobą zabrać jakieś pamiątki.

Dumaliśmy więc razem z Klarą nad odnalezionymi przez innych skarbami. . . i żadne z nas jakoś nie powiedziało, że i my powinniśmy wyruszyć w poszukiwaniu dalszych.

To nie były tylko eksponaty. Przedmioty te fascynowały — stworzyły je i dotykały dłonie Heechów (macki? szpony?), pochodziły z trudnych do wyobrażenia światów położonych niewiarygodnie daleko. Jeszcze silniej przyciągała mnie jednak bezustannie migocąca tablica, na której pojawiały się po kolei dane o każdym locie, jaki kiedykolwiek wyruszył z Gate-

way. Nieustanne podsumowywanie ilości wypraw w zestawieniu z liczbą powrotów, wartość honorariów wypłacanych szczęśliwym poszukiwaczom, oraz lista tych, którym się nie powiodło, gąszcz nazwisk pokrywający całą ścianę powyżej gablot. Liczby mówiły wszystko: 2355 wypraw, która podczas naszego pobytu urosła do 2356, potem do 2357 (odczuliśmy dwa wstrząsy startowe), 841 udanych powrotów.

Nie patrzyliśmy na siebie stojąc przed tym zestawieniem, poczułem jednak uścisk dłoni Klary.

Słowo „udany” nie określa niczego. Oznacza jedynie, że statek powrócił, ale nie mówi nic o stanie załogi.

Po tym wyszliśmy już z muzeum i w drodze do zlotni właściwie nie rozmawialiśmy.

Myślałem sobie, jak wiele prawdy było w tym, co mi powiedziała Emma Fother: ludzkość potrzebuje tego, co my, poszukiwacze, mogliśmy jej dać. Bardzo potrzebuje. Ludzie głodują, a technika Heechów z pewnością uczyniłaby ich życie znośniejszym, jeśli poszukiwacze będą wyruszać i przywozić różne rzeczy.

Nawet za cenę życia kilku osób.

Nawet jeśli wśród tych kilku byłaby Klara i ja. Zadawałem sobie pytanie, czy chciałbym, żeby mój syn — jeśli kiedykolwiek miałbym syna — spędził dzieciństwo tak jak ja?

Kiedy puściliśmy linę na Poziomie Laleczka, usłyszeliśmy jakieś głosy. Nie zwróciłem na nie uwagi; zamierzałem właśnie podjąć decyzję.

— Słuchaj, Klara — powiedziałem. — Może byśmy...

Klara jednak patrzyła na coś za moimi plecami.

— O, Boże! — zawołała. — Spójrz, kto idzie!

Odwróciłem się i zobaczyłem Shicky'ego unoszącego się w powietrzu i rozmawiającego z jakąś dziewczyną: ze zdziwieniem poznałem, że była to Willa Forehand. Przywitała się z nami jakby lekko zakłopotana i jednocześnie rozbawiona.

— Co ty tu robisz? — spytałem. — Wydawało mi się, że jakieś osiem godzin temu wyleciałaś?

— Dziesięć — odpowiedziała.

— Czy coś się popsuło i musieliście wrócić? — próbowała się domyślić Klara.

— Nie — Willa uśmiechnęła się ponuro. — Dotarliśmy na miejsce i wróciliśmy. Jak na razie jest to najkrótszy lot w historii. Byliśmy na Księżycu.

— Na Księżycu Ziemi?

— Dokładnie. — Widać było, że próbuje zapanować nad sobą powstrzymując uśmiech. Lub łzy.

— Na pewno dadzą wam premię — pocieszał ją Shicky. — Jakiś statek poleciał kiedyś na Ganimedesa i Korporacja dała załodze pół miliona.

Pokręciła głową.

— Sama dobrze wiem. Jasne, że coś dadzą, ale to i tak będzie nic. Potrzebujemy dużo więcej. — To właśnie było niezwykle i zaskakujące u Forehandów: zawsze mówili „my”. Musieli być rzeczywiście bardzo zżyłą rodziną, nawet jeśli niechętnie rozmawiali na ten temat z obcymi.

Poklepałem ją; miało to wyrażać coś między sympatią i współczuciem.

— Co zamierzasz teraz robić?

— Jak to? — spojrzała na mnie zdziwiona. — Zgłosiłam się już na następny lot, na pojutrze.

— Właśnie — rzekła Klara. — Musimy zrobić ci dwa przyjęcia za jednym zamachem. Weźmy się lepiej od razu do roboty. . .

Wiele godzin później, tuż przed zaśnięciem, spytała mnie. — Chciałeś mi chyba coś powiedzieć, zanim spotkaliśmy Wille?

— Nie pamiętam — mruknąłem sennie. Nieprawda, wiedziałem, co to było. Tylko, że teraz nie chciałem już tego powiedzieć.

OGŁOSZENIA DROBNE

ORGANY — kupno — sprzedaż — wymiana. Wszelkie narządy podwójne, atrakcyjne ceny. Potrzebne: tylna wieńcowa sekcja serca, L przedsionek, L i P komora i części przyległe. Pfon 88-703, informacja o posiadanych tkankach.

GRACZE HNEFATAFL — Szwedzi lub moskwianie. Wielki Turniej Gateway. Treningi. 88-122.

KORESPONDENCYJNĄ DROGĄ chciałbym z Toronto dowiedzieć się, jak tam jest. Adres: Tony, 955 Bay, TorOntKan M5S2A3.

POTRZEBUJĘ się wypłakać. Pomogę ci obnażyć twój własny ból. Pfon 88-622.

Czasami dochodziłem do takiego stanu, że skłonny byłem prosić Klarę, by wyruszyła ze mną. Były też takie dni, gdy wracały statki z wygłodniałymi, odwodnionymi ludźmi, często z samymi tylko trupami na pokładzie, albo też po upływie określonego czasu szereg zeszłorocznych statków uznano za zaginione. Wtedy byłem bliski opuszczenia Gateway na zawsze.

Większość czasu spędzaliśmy jednak odkładając decyzję na później. To nie było takie trudne. Miło było poznawać Gateway i siebie nawzajem. Klara przyjęła pokojówkę — krępą blondynkę z kopalni żywności z Carliarthen, na imię miała Hywa. Świat jej był dokładnie taki jak mój, z tą tylko różnicą, że walijskie fabryki hodowały jednokomórkowe białko na węglu. Wydostała się jednak stamtąd nie dzięki loterii, lecz po dwóch latach pracy na statku handlowym. Nie mogła nawet wrócić do domu. Uciekła ze Statku tracąc w ten sposób zarobione pieniądze. Nie mogła również zostać poszukiwaczem, ponieważ w czasie pierwszego startu nabawiła się arytmii serca, która czasami zdawała się ustępować, a czasami kładła ją na tydzień go łóżka w Szpitalu Końcowym. Hywa miała gotować i sprzątać mnie i Klarze, częściowo zaś zajmowała się małą Kathy Francis, kiedy Klara nie miała na to ochoty, a ojciec Kathy był zajęty. Klara przegrywała dużo, w zasadzie więc nie mogła sobie pozwolić na Hywę, ale z drugiej strony na mnie też ją nie było stać.

Łatwo było nam nie myśleć o tym, ponieważ udawaliśmy przed sobą nawzajem, a także każde przed samym sobą, że się po prostu bardzo dobrze przygotowujemy na dzień, gdy ogłoszony zostanie Nasz Lot.

Przychodziło nam to bez trudu. Wielu prawdziwych poszukiwaczy robiło tak samo przed kolejną wyprawą. Istniała na przykład grupa Tropicielei Heechów, której spotkania odbywały się co srode, założył ją jeden z poszukiwaczy, Sam Kahane, a kiedy był na wyprawie, która się nie powiodła, grupę prowadził ktoś inny. Sam był już z powrotem i czekał, by dwaj pozostali członkowie jego załogi doszli do siebie i mogli znowu wyruszyć (z powodu awarii zamrażalnika nabawili się między innymi szkorbutu). Sam i jego przyjaciele byli pedziami

w stałym trójkącie, co jednak nie miało wpływu na zainteresowanie Heechami. Posiadał nagrania wszystkich wykładów z różnych egzonauk, prowadzonych w Rezerwacie Wschodniego Teksasu przez profesora Hegrameta, największą światową sławę heechologii. Dowiedziałem się wielu rzeczy, o których nie miałem pojęcia, choć powszechnie wiadomo, że więcej jest pytań niż odpowiedzi w naszej dotychczasowej wiedzy o Heechach.

Przychodziliśmy też na zajęcia grupy kultury fizycznej, gdzie uczyliśmy się ćwiczeń naprzężających mięśnie przy minimalnym ruchu kończyn, oraz masażu, co było równie pożyteczne, jak i zabawne. W sumie nawet chyba bardziej zabawne, szczególnie przy seksie. Klara i ja nauczyliśmy nasze ciała zadziwiających rzeczy. Zgłosiliśmy się także na kurs gotowania (okazuje się, że za pomocą ziół i przypraw ze standardowej racji żywności można wiele zrobić). Kupiliśmy ponadto kilka taśm do nauki języków, gdyby przyszło nam wyruszyć z załogą nie mówiącą po angielsku. Ćwiczyliśmy więc włoski czy grecki żargon miejski. Zapisaliśmy się nawet do kółka astronomicznego. Miało ono dostęp do teleskopów Korporacji, spędzaliśmy sporo czasu przyglądając się Ziemi i Wenus spoza płaszczyzny ekliptyki. W tych spotkaniach, gdy miał wolne, uczestniczył Francy Hereira. Lubiliśmy go, zwykle więc szliśmy do siebie na jakiegoś drinka, to znaczy, oczywiście, do apartamentu Klary, gdzie spędzałem bardzo dużo czasu. Francisa mocno, zmysłowo wręcz pociągało to, co było TAM. Wiedział wszystko o kwazarach, czarnych dziurach i galaktykach Seyferta, nie mówiąc już o gwiazdach podwójnych i Novych. Często zastanawialiśmy się, jak to jest, gdy wyprawa trafia na czoło fali Supernowej. To się zawsze może zdarzyć. Powszechnie wiadomo, że Heechowie nade wszystko interesowali się problemami astrofizyki. Niektóre z kursów prowadziły niewątpliwie w pobliżu jakiegoś ciekawego zjawiska, a pre-Supernova jest bez wątpienia czymś ciekawym. Tylko, że teraz upłynęło wiele, wiele lat i Supernova już dawno mogła przestać być „pre”.

— Zastanawiam się — powiedziała Klara, sugerując uśmiechem, że są to czysto abstrakcyjne rozważania — czy to właśnie nie przytrafiło się wyprawom, które nie powróciły.

— Statystycznie jest to pewne — Francy uśmiechnął się również, akceptując tym samym reguły gry. Ćwiczył swój angielski, który od początku był dobry, a teraz pozbył się obcego akcentu. Władał również niemieckim, rosyjskim i także sporą liczbą innych języków romańskich poza swoim ojczystym portugalskim, o czym przekonaliśmy się powtarzając z Klarą jeden z dialogów kursu: okazało się, że rozumiał nas lepiej niż my siebie nawzajem.

— Mimo to ludzie wyruszają — dodał.

Milczeliśmy przez chwilę, a potem Klara roześmiała się.

— Niektórzy — powiedziała.

— Mówisz tak, jakbyś sam chciał wyruszyć — włączyłem się szybko.

— Miałeś kiedyś co do tego wątpliwości?

— Owszem. Jesteś przecież w Brazylijskiej Flocie. Nie możesz sobie tak po prostu wsiąść na statek i polecieć.

— Mogę wyruszyć w każdej chwili — poprawił mnie. — Potem tylko nie będzie mi wolno wrócić do Brazylii.

— Tak bardzo tego pragniesz?

— Za wszelką cenę — odrzekł.

— Nawet — nalegałem — gdy jest ryzyko, że nie wrócisz lub wrócisz w takim stanie jak ci dzisiaj? — To była Piątka. Wylądowali na planecie, na której rósł trujący powój. Podobno była to bardzo ciężka wyprawa.

— Oczywiście.

Klara zaczynała się nerwowo kręcić.
— Chyba już pójde się położyć. Jej głos coś sugerował, spojrzałem na nią. — Odprowadzę cię — zaproponowałem.
— Nie ma potrzeby.
— Jednak pójde z tobą — stwierdziłem ignorując ton jej głosu. — Dobranoc, Francys, zobaczymy się za tydzień.
Klara była już w drodze do zlotni i musiałem się pośpieszyć, by ją dogonić.
— Jeśli naprawdę chcesz, wróce do siebie! — krzyknąłem chwyciwszy linę.
Nie spojrzała w górę, ale też i nie odpowiedziała. Wyszedłem więc ze zlotni na jej poziomie i podążyłem za nią do jej mieszkania. Kathy spała w dalszym pokoju, Hywa drzemała przy holodysku w naszej sypialni. Klara odesłała ją do domu i później zajrzała do dziewczynki, żeby sprawdzić, czy śpi spokojnie. Usiadłem na brzegu łóżka czekając.
— Może to tylko napięcie przedmiesiączne — powiedziała. — Przepraszam cię. Po prostu jestem dzisiaj wściekła.
— Pójde sobie, jeśli chcesz.
— Boże! Przestań to już w końcu powtarzać! — Usiadła obok mnie i przysunęła się, bym ją objął. — Kathy jest taka słodka — powiedziała po chwili, prawie ze smutkiem.
— Też chciałabyś mieć dziecko?
— Będę miała dziecko — odchyliła się pociągając mnie za sobą. — Nie wiem tylko kiedy. Potrzebuję znacznie więcej pieniędzy, by zapewnić mu przyzwoite życie. A lata lecą.
Kiedy tak leżeliśmy obok siebie szepnąłem z twarzą w jej włosach: — Ja też tego pragnę. Westchnęła.
— Myślisz, że o tym nie wiem? — Nagle jej ciało naprężyło się. Usiadła. — Kto tam?
Ktoś próbował otworzyć drzwi. Nie były zamknięte na klucz. Nigdy ich nie zamykaliśmy, ale też nie mieliśmy niespodziewanych gości. Dopiero teraz.
— Sterling! — zdziwiła się Klara. Pamiętała jednak, jak się należy zachować. — Pozwól, Bob, to jest Sterling Francis, ojciec Kathy. Bob Broadhead.
— Miło mi — odpowiedział. Był znacznie starszy, niż można było sądzić po malutkiej Kathy, miał przynajmniej pięćdziesiątkę, ale wyglądał na starszego i bardzo znużonego życiem. — Zabieram Kathy do domu najbliższym statkiem — rzekł. — Jeśli nie masz nic przeciwko temu, wezmę ją do siebie jeszcze dzisiaj. Chcę sam jej powiedzieć.
Nie patrząc na mnie Klara sięgnęła po moją dłoń. — O czym?
— O matce — Francis potarł oczy i dodał: — Nie wiesz? Jan nie żyje. Jej statek wrócił parę godzin temu. Cała czwórka z ładownika wplątała się w jakiś grzyb, zmarli na skutek opuchlizny. Widziałem ją. Wygląda jak... — Urwał. — Najbardziej mi żal Annalee. Została na orbicie, gdy oni wylądowali na powierzchni. To ona przywiozła ciało Jan. Zupełnie bez sensu. Po co? Dla Jan i tak nie miało to znaczenia... Nieważne zresztą. Mogła przywieźć

UWAGI NA TEMAT ZADU HEECHÓW

Profesor Hegramet: Możemy się jedynie domyślać, jak wyglądali Heechowie. Byli prawdopodobnie dwunożni. Ich narzędzia jako tako pasują do ludzkich dłoni, mieli więc zapewne ręce, lub coś podobnego. Przypuszczalnie widzieli w obrębie tego samego widma co my. Musieli jednak być od nas niżsi — mieli może 150 cm, czy nawet mniej. I mieli bardzo śmieszne zadnie części ciała.

Pytanie: Co to znaczy?

Profesor Hegramet: Czy widziałeś kiedyś siedzenie pilota w statku Heechów? Są to dwie płaskie metalowe płyty w kształcie litery V. Człowiek nie wysiedziałby na tym nawet dziesięciu minut. Rozwiesiliśmy więc nad siedzeniem siatkę. Jest to jednak nasze usprawnienie, Heechowie czegoś podobnego nie używali. Musieli prawdopodobnie przypominać osy z wielkim, wydłużonym odwłokiem, zwisającym między nogami.

Pytanie: Czy to znaczy, że tak jak osy mieli żądła?

Profesor Hegramet: Nie, nie wydaje mi się. Choć może i tak. A może mieli po prostu piekielnie duże narządy płciowe.

tylko dwójkę, nie było więcej miejsca w zamrażalniku, bo jedzenie... — Znowu urwał i tym razem nie mógł już mówić dalej.

Czekałem więc siedząc na krawędzi łóżka, podczas gdy Klara pomogła mu obudzić małą i spakować ją. Oni wyszli, a ja odtworzyłem na piezowizorze kilka tablic, które bardzo dokładnie przestudiowałem. Zanim Klara wróciła, zdążyłem je wyłączyć i usiadłem po turecku na łóżku głęboko zamyślony.

— Chryste, co za zwariowana noc — powiedziała pośepnie siadając na drugim końcu łóżka. — Odechciało mi się spać. Może skoczę na górę wygrać parę docłów.

— Lepiej nie — odpowiedziałem. Poprzedniego wieczoru siedziałem przy niej przez trzy godziny: najpierw wygrała dziesięć tysięcy, potem straciła dwadzieścia. — Mam lepszy pomysł. Zgłośmy się na lot.

Odwróciła się tak gwałtownie, by na mnie spojrzeć, że na chwilę zniosło ją z łóżka. — Coś ty powiedział?

— Zgłośmy się na lot.

Zamknęła na moment oczy i nie otwierając ich spytała:

— Kiedy?

— Lot 29-40. To Piątka z dobrą załogą — Sam Kahane i jego kumple. Czują się już dobrze i poszukują dwóch osób.

Potarła palcami powieki, po chwili je otworzyła i spojrzała na mnie.

— Rzeczywiście miewasz ciekawe pomysły.

Wcześniej już spuściłem ścienne żaluzje, które przesłaniały błysk metalu Heechów: nawet w półmroku widziałem jednak wyraz jej twarzy. Bała się. Mimo wszystko spytała tylko: — To nienajgorsi chłopcy. Czy potrafisz dogadać się z pedałami?

— Jeśli nie będę się ich czepiał, zostawią mnie w spokoju. Szczególnie, gdy będziesz ze mną.

— Hm — mruknęła i przysunęła się do mnie, objawszy mnie przewróciła na łóżko i wtuliła twarz w moją szyję. — Możemy spróbować — powiedziała tak cicho, że nie byłem z początku pewien, czy to usłyszałem.

Kiedy jednak to do mnie dotarło, ogarnęło mnie przerażenie. Mogła się przecież nie zgodzić. Nie byłoby wtedy problemu. Teraz czułem, jak drzę, choć udało mi się powiedzieć: — Zgłosimy się więc jutro rano.

Pokręciła głową.

— Nie — odrzekła stłumionym głosem. Czułem, że tak jak ja drży. — Zatelefonuj tam natychmiast. Zapiszmy się teraz, zanim zmienimy zdanie.

Następnego dnia złożyłem wymówienie w pracy, a rzeczy spakowałem do walizek, w których je przywiozłem. Shicky wziął je na przechowanie. Wyglądał na zasmuconego. Klara zostawiła swoje kursy, zwolniła służącą — która była tym mocno zmartwiona — lecz nie zwracała sobie głowy pakowaniem. Miała jeszcze sporo pieniędzy. Zapłaciła więc z góry za swe dwa pokoje i mogła wszystko zostawić, jak było.

Oczywiście zorganizowano dla nas pożegnalne przyjęcie. Nie zapamiętałem ani jednej z obecnych na nim osób.

A później, nie wiadomo kiedy, wciskaliśmy się już do ładownika i schodziliśmy do kapsuły, podczas gdy Sam systematycznie sprawdzał ustawienia. Zamknęliśmy się w kokonach i włączyliśmy automatyczne odliczanie.

Potem nastąpił przechył i uczucie spadania i bezwład, zanim włączyły się silniki i byliśmy już w drodze.

Rozdział trzynasty

— Dzień dobry — mówi Sigfrid, a ja nagle zatrzymuję się w progu, podświadomie zaniepokojony.

— Co się stało?

— Nic się nie stało. Rob. Proszę, wejdź.

— Wszystko tu pozmieniałeś — stwierdzam z wyrzutem.

— Masz rację. Podoba ci się teraz?

Rozglądam się. Na podłodze nie ma już poduszek. Ze ściany znikły abstrakcyjne obrazy. Pojawił się natomiast cykl holopejzaży Kosmosu, gór i mórz. Najśmieszniejszy w tym wszystkim jest jednak sam Sigfrid. Jego manekin mówi do mnie z rogu pokoju, gdzie siedzi trzymając w rękach ołówek i spoglądając na mnie spoza ciemnych okularów.

— Przerobiłeś tu wszystko — mówię. — Dlaczego?

W jego głosie brzmi mimowolny uśmiech, chociaż twarz kukły niczego nie wyraża. — Pomyślałem sobie, że chętnie powitasz jakąś zmianę.

Wchodzę głębiej do pokoju i znowu się zatrzymuję. — Zabrałeś materac?

— Nie jest nam potrzebny. Bob. Jak widzisz, mam za to nową, dość tradycyjną kozetkę.

— Hm.

— Spróbuj się może położyć — zachęca mnie. — Zobacz, jak się na niej czujesz.

— Hm. — Układam się jednak bardzo ostrożnie. Czuję się dziwnie i nie podoba mi się to wszystko, prawdopodobnie dlatego, że to pomieszczenie jest dla mnie ostoją rzeczowości, a każda zmiana napawa mnie niepokojem. — Na macie były paski — skarżę się.

— Na kozetce też są. Trzeba je tylko wyciągnąć z boków. Sprawdź... o, właśnie. Lepiej tak. Bob?

— Nie.

— Wydaje mi się. Rob — mówi spokojnie — że to mnie powinieneś zostawić decyzję, czy z określonych względów terapeutycznych nie są wskazane pewne zmiany.

Podnoszę się.

— I jeszcze jedno, Sigfrid! Zdecyduj się do cholery, jak będziesz się do mnie zwracać. Nie nazywam się ani Rob, ani Robbie ani też Bob. Mam na imię Robinette.

— Wiem, Robbie.

— Znowu zaczynasz!

Milczy przez moment i po chwili mówi jedwabistym głosem: — Pozwól, że to ja zdecyduję, jak mam cię nazywać, Robbie.

— Hm. — Mam w zanadrzu cały arsenał tych nic nie znaczących dźwięków. Chętnie nawet ograniczyłbym się tylko do nich w czasie naszych spotkań. Za to chciałbym, żeby mówił Sigfrid. Chciałbym się dowiedzieć, dlaczego zwraca się do mnie różnie, w zależności od

sytuacji, chciałbym wiedzieć, co z tego, co mu opowiadam, uważa za istotne. Chciałbym wiedzieć, co tak naprawdę o mnie myśli. . . oczywiście, jeśli kawałek brzęczącej blachy i plastiku może w ogóle myśleć.

A ja wiem, o czym on nie ma pojęcia, że moja przyjaciółka S. Laworowna obiecała mi pomóc zrobić Sigfridowi malutki kawał. Nie mogę się już tego doczekać.

— Czy chciałbyś mi coś powiedzieć. Rob?

— Nie.

Milczy. Ja zaś czuję wrogość i niechęć do rozmowy. Być może częściowo dlatego, że tak bardzo chciałbym spłatać Sigfridowi figła, a częściowo również dlatego, że wszystko tu pozmieniał. Robili mi coś podobnego, kiedy miałem moje psychotyczne kłopoty w Wyoming. O Boże! Czasami potrafili przygotować na spotkanie hologram mojej matki. Wyglądem ją przypominała, ale ani zapachem ani dotykiem, zresztą w ogóle nie można jej było dotknąć — była tylko światłem. Kiedy indziej wprowadzali mnie do ciemnego pokoju i coś ciepłego i miękkiego przytulało mnie i szeptało mi do ucha. Nie podobały mi się te zwariowane pomysły — aż takiego fioła nie miałem.

Sigfrid ciągle czeka, ale wiem, że nie będzie czekał w nieskończoność. Za chwilę zacznę mi zadawać pytania, pewnie na temat moich snów.

RAPORT LOTU

Pojazd 1-8. Wyprawa 013D6. Załoga: F. Ito.

Czas lotu 41 dni 2 godziny. Pozycja niezidentyfikowana. Odczyty instrumentów zniszczone.

Transkrypcja taśmy pilota brzmi następująco: „Ciężenie powierzchniowe planety zdaje się przekraczać 2,5, ale podejmę jednak próbę lądowania. Obserwacje i odczyty radarowe nie przenikają chmur pyłu i pary. Nie wygląda to zbyt zachęcająco, ale to już mój jedyny lot. Ustawiam automatyczny powrót na dziesiąty dzień. Jeśli do tej pory nie powrócę z lądownikiem kapsuła prawdopodobnie dotrze na Gateway sama. Bardzo chciałbym się dowiedzieć, co oznaczają plamy i rozbłyski na słońcu”.

Pilota nie było na pokładzie. Brak jakichkolwiek artefaktów czy próbek. Lądownika nie odnaleziono. Statek uszkodzony.

— Czy śniło ci się coś. Bob, od czasu naszego ostatniego spotkania?

Ziewam. Jest to mało zajmujący temat.

— Chyba nie. W każdym bądź razie nic ważnego.

— Chciałbym się jednak dowiedzieć co. Choćby kawałek.

— Jesteś naprawdę nieznośny.

— Bardzo mi przykro, że tak uważasz, Rob.

— Wydaje mi się, że nie pamiętam nawet kawałka.

— Proszę cię, spróbuj.

— No dobra, psiakrew! — Sadowię się wygodnie na kozetce. Jedyne sen, jaki mi przychodzi na myśl, zupełnie jest banalny i wiem, że nie ma w nim niczego istotnego ani odnoszącego się do jakichkolwiek urazów z przeszłości. Gdybym mu to jednak powiedział, pewnie by się zeżłościł. Zaczynam więc posłusznie: — Siedziałem w jednym z wagonów pociągu. Było ich

wiele i można było przechodzić z jednego do drugiego. Jechało w nich pełno znanych mi ludzi. Na przykład kobieta o matczynym wyglądzie, która dużo kasłała. I jeszcze jedna, ale ta wyglądała troszkę dziwnie. Myślałem z początku, że to mężczyzna. Była ubrana w jakiś kombinezon, trudno więc było stwierdzić jej płeć, miała też bardzo męskie, krzaczaste brwi. Ale byłem pewien, że to kobieta.

— Czy rozmawiałeś z którąś z nich. Bob?

— Proszę, żebyś mi nie przerywał, gubię wtedy wątek.

— Przepraszam, Rob.

Kontynuuję opowieść.

— Odszedłem od nich, nie, nie wdawałem się w rozmowę. Przeszedłem do następnego wagonu. Był ostatni, przyłączony do reszty pociągu czymś w rodzaju — bo ja wiem, jak to określić — czymś w rodzaju metalowej sprężyny, która się rozciągała.

Przerywam na chwilę, głównie dlatego, że mnie to znudziło. Mam prawie ochotę przeproszać go za taki głupi, niestosowny sen. — Mówiłeś, że ten metalowy łącznik był rozciągliwy — podpowiada mi Sigfrid.

— Właśnie. Więc oczywiście wagon, w którym się znajdowałem, odsuwał się od poprzednich coraz dalej i dalej. Widziałem tylko ich tylne światło, które miało jakby kształt jej twarzy patrzącej na mnie. Ona... — zaczynam się gubić, próbuję się więc cofnąć: — Według mnie, czułem wtedy, że będzie mi trudno do niej wrócić, tak jakby ona... Przepraszam cię, Sigfrid, nie pamiętam już, co się stało w tamtym momencie. Potem obudziłem się i... jestem z siebie dumny: jak najszybciej wszystko zapisałem, dokładnie tak, jak mi radziłeś.

— Cieszę się, Bob — stwierdza Sigfrid z powagą. Czeka, żebym mówił dalej.

Poruszam się niespokojnie.

— Materac był wygodniejszy — narzekam.

— Bardzo mi przykro. A więc je rozpoznałeś?

— Kogo?

— Te kobiety z pociągu, od których odjeżdżałeś coraz dalej.

— Ach, o to ci chodzi. Ale ja je rozpoznałem we śnie, w rzeczywistości nie mam zielonego pojęcia, kto to był.

— Czy przypominały ci kogoś znajomego?

— Ani trochę. Sam się już nad tym zastanawiałem.

Sigfrid odpowiada dopiero po chwili, zdążyłem już się zorientować, że daje mi w ten sposób szansę na zmianę odpowiedzi, która mu się nie podoba. — Mówiłeś, że jedna z tych kobiet była w typie matczynym i kasłała...

— Tak, ale ja jej nie znam. Może rzeczywiście była do kogoś podobna, tylko sam wiesz, jak to jest — w snach zawsze tak się człowiekowi wydaje.

— Czy znałeś jakąś kobietę — pyta cierpliwie — która miała matczyny wygląd i kasłała? Odpowiadam głośnym śmiechem.

— Drogi przyjacielu Sigfridzie! Zapewniam cię, że kobiety, które znam, zupełnie nie są w tym typie, i wszystkie mają przynajmniej Wyższy Serwis Medyczny. Mało prawdopodobne, żeby kasłały.

— Rozumiem. Czy jesteś pewien, Robbie?

— Przestań się czepiać — mówię ze złością, bo na tej cholernej kozetce trudno mi się wygodnie ułożyć, a poza tym muszę iść do toalety, zaś sytuacja zdaje się przedłużać w nieskończoność.

— W porządku. — Po chwili zaczyna od czegoś innego, tak jak się zresztą spodziewałem, dziobie jak gołąb każdy okruszek, który mu rzucam pod nos, jeden za drugim. — A co z tą drugą kobietą o krzaczastych brwiach?

— Jak to co?

— Czy znałeś kiedyś dziewczynę o takich brwiach?

— O Boże! Spałem z kilkoma setkami dziewczyn. Miały najprzeróżniejsze brwi.

— Nie przychodzi ci na myśl nikt konkretny?

— Na poczekaniu nie.

— Proszę cię. Bob, postaraj się wysilić swą pamięć.

Łatwiej jest mu ustąpić niż się sprzeczać, wysilam więc pamięć. — Dobra, zobaczymy. Ida Mae? Nie. Sue-Ann? Nie. S. Laworowna? Nie. Gretchen? Nie, mówiąc szczerze, Sigfrid, Gretchen była tak jasną blondynką, że nie wiem, czy ona w ogóle miała brwi.

— To są twoje ostatnie znajomości. A może ktoś, kogo znałeś dawniej?

— Dawno temu? — sięgam pamięcią najdalej jak tylko potrafię — jeszcze do kopalni żywności i Sylwii. — Wiesz co? — wybucham śmiechem. — To zabawne, ale prawie nie pamiętam, jak wyglądała Sylwia. Chwileczkę, nie. Teraz sobie przypominam. Wyskubywała prawie całe brwi, a potem je malowała. Tak, bo raz w łóżku bawiliśmy się rysując sobie na ciałach obrazki jej ołówkiem do brwi.

Słyszę wręcz jak wzdycha.

— A wagony? — dziobie następny okruszek — czy mógłbyś je jakoś opisać?

— Wyglądały jak normalne wagony kolejowe. Były długie i wąskie. Jechały dość szybko przez tunel.

— Długie i wąskie, i jechały przez tunel, tak. Bob?

Tego już za wiele. Wyraźnie widać, do czego ten sukinsyn zmierza!

— Daj spokój, Sigfrid! Nie ze mną te numery. Nie będziesz mi wmawiał jakichś staromodnych symboli fallicznych.

— Nawet nie mam zamiaru. Bob.

— Przyczepiłeś się do tego cholernego snu. A zapewniam cię, że nic w nim nie ma. Pociąg był po prostu pociągiem. Nie wiem, kim były te kobiety, i słuchaj, skoro już o tym mowa: wcale mi się nie podoba ta pieprzona kozetka. Za te pieniądze, które dostajesz z mego ubezpieczenia, możesz sobie pozwolić na coś lepszego.

Teraz mnie naprawdę zdenerwował. Wraca bez przerwy do tego snu, a ja za pieniądze towarzystwa ubezpieczeniowego jestem zdecydowany dostać, co mi się należy. Kiedy wychodziłem, musiał mi więc przyrzec, że przed następną wizytą przemebluje gabinet.

Tego dnia wychodząc od Sigfrida czuję się całkiem z siebie zadowolony. Rzeczywiście, bardzo mi pomaga. Być może dlatego, że nabieram odwagi, by stawić mu czoła, może do tego właśnie zmierzają te wszystkie głupoty, sam nie wiem. Ale jedno jest pewne — niektóre z jego pomysłów są zupełnie idiotyczne.

Rozdział czternasty

Wyrzekałem się z upręży starając się uchylić przed kolanem Klary i wpadłem na łokieć Sama Kahane. — Przepraszam — rzucił nie oglądając się nawet, by zobaczyć, kogo przeprosza. Jego dłoń ciągle spoczywała na dźwigni startu, choć już od dziesięciu minut byliśmy w drodze. Wpatrywał się w migające kolory na pulpicie i odwracał wzrok tylko po to, by spojrzeć w górę na monitor.

Usiadłem odczuwając silne mdłości. Po wielu tygodniach przyzwyczailem się w końcu do prawie całkowitego braku przyciągania na Gateway. Stale zmieniająca się siła ciężenia w kapsule okazała się jednak czymś innym. Nie była zbyt silna, ale zmieniała się prawie co minutę i moje ucho wewnętrzne mocno z tego powodu cierpiało.

Przejechałem się w kierunku strefy kuchennej nie spuszczać oka z toalety. Tkwił tam jeszcze Ham Tayeh. Jeśli nie wyjdzie za chwilę, moje położenie stanie się krytyczne. Klara roześmiała się i wyciągnąwszy rękę nad uprężą objęła mnie. — Biedny Bobby — powiedziała. — A to dopiero początek.

Wziąłem proszek i niebacznie zapaliwszy papierosa musiałem skoncentrować się, żeby nie zwymiotować. Sam nie wiem, na ile to była rzeczywiście choroba lokomocyjna, ale dużo było w tym również strachu. Jest coś przerażającego w świadomości, że od natychmiastowej, paskudnej śmierci dzieli człowieka jedynie cienka metalowa łupina zrobiona pół miliona lat temu przez jakieś dziwne, nieznanne istoty. Także w świadomości, że bezwolnie leci się tam, gdzie może być wyjątkowo nieprzyjemnie.

Podpełzłem z powrotem do moich pasów, zgasilem papierosa, zamknąłem oczy i zająłem się spędzaniem czasu.

A miało go upłynąć jeszcze bardzo dużo. Przeciętna podróż trwa jakieś czterdzieści pięć dni w jedną stronę. Odległość nie ma tu jednak tak dużego znaczenia, jakby się mogło wydawać. Dziesięć lat świetlnych czy dziesięć tysięcy, owszem, ma to pewien wpływ, ale nie bezpośrednio. Statki podobno bez przerwy przyspieszają i ciągle zwiększają szybkość przyspieszania. Przyrost ten nie jest liniowy ani nawet wykładniczy w żaden znany nam sposób. Bardzo szybko, w ciągu mniej niż godziny, osiąga się prędkość światła. Potem, zdaje się, mija sporo czasu, zanim się ją wyraźnie przekroczy. Później z kolei, statek rzeczywiście mocno przyspiesza.

Podobno można się o tym przekonać oglądając gwiazdy na górnym ekranie — podobno nawigacyjnym. W ciągu pierwszej godziny zaczynają zmieniać kolor i pływać po ekranie. Moment przekroczenia prędkości światła można rozpoznać po tym, że skupiają się na środku ekranu znajdującego się podczas lotu z przodu statku.

W rzeczywistości gwiazdy nie zmieniły położenia. Statek dogania po prostu światło emitowane z tyłu lub z boku. Fotony uderzające we wzniernik z przodu pojazdu zostały wysłane dzień, tydzień lub sto lat temu. Po paru dniach nie są już nawet podobne do gwiazd. Jest to

po prostu szara, upstrzona płaszczyzna. Wygląda trochę jak trzymany pod światło holofilm, tyle że z holofilmu można za pomocą lampy uzyskać właściwy obraz. A w tym, co widać na ekranie Heechów, nikt nigdy nie zobaczył niczego poza szarą ziarniną.

Kiedy w końcu dostałem się do toalety, pałaca potrzeba nie była już tak gwałtowna, a kiedy wyszedłem, Klara siedziała sama w kapsule oglądając gwiazdy za pomocą kamery teodolitycznej. Obróciła się, by spojrzeć na mnie. — Jesteś już trochę mniej zielony — powiedziała z aprobatą.

— Wyżyję. Gdzie chłopcy?

— A gdzie mogą być? W lądowniku. Dred uważa, że powinniśmy się podzielić, żebyśmy mogli mieć lądownik dla siebie, gdy oni będą na górze i na odwrot.

— Hm. — To brzmiało całkiem interesująco, rzeczywiście zastanawiałem się, jak rozwiążemy sprawy intymne. — Okay. Co mam do roboty?

Przechyliła się i pocałowała mnie roztargniona. — Staraj się nie przeszkadzać. Wiesz co? Wygląda na to, że lecimy prosto w kierunku północnego bieguna Galaktyki.

Przyjąłem tę informację ze świadomością całej głębi mej ignorancji. — Czy to dobrze? — spytałem.

— Skąd mogę wiedzieć? — uśmiechnęła się. Położyłem się na plecach i

GŁOSZENIA DROBNE

BĘDĘ masować twoich siedem punktów, jeśli odczytasz mi Gibran. Nagość niekonieczna. 86-004.

ZAINWESTUJ swoje dochody w najszybciej rozwijające się kondominium w Afryce Zachodniej. Ulgi podatkowe. Sprawdzony rekordowy wzrost. Nasz oficjalny przedstawiciel znajduje się na Gateway, by ci wszystko wyjaśnić. Darmowy wykład z taśmy, bufet w Błękitnym Piekiełku, środa 15.00. „Dahomej to uzdrowisko jutra”.

CZY JEST ktoś z Aberdeen? Porozmawiajmy. 87-396.

TWÓJ PORTRET — pastele — oleje — inne techniki. 150 dol. Również inne tematy. 86-569.

patrzyłem na nią. Jeśli bała się tak jak ja, a prawie nie miałem co do tego wątpliwości, to z pewnością nie dawała tego po sobie poznać.

Zacząłem się zastanawiać, co znajduje się w kierunku północnego bieguna Galaktyki i, co ważniejsze, kiedy tam dotrzemy.

Najkrótsza znana podróż do innego systemu gwiazdnego trwała 18 dni. Była to Gwiazda Barnarda — wyprawa okazała się jednak niewypałem. Niczego tam nie znaleziono. Najdłuższa, to znaczy przynajmniej najdłuższa, o jakiej wiadomo — a kto wie, ile statków wiozących martwe ciała poszukiwaczy ciągle jeszcze wraca, na przykład z M-31 w Andromedzie — trwała 175 dni w jedną stronę. Wrócili, ale nieżywi. Nie wiadomo nawet, dokąd dotarli. Nie można było niczego wywnioskować z przywiezionych zdjęć, a poszukiwacze naturalnie sami już nie mogli na to odpowiedzieć.

Sam początek lotu jest przerażający, nawet dla weterana. Wiadomo, że statek przyśpiesza. Nie wiadomo za to, jak długo będzie to trwało. Można jednak stwierdzić, kiedy statek włącza hamowanie. Przede wszystkim zaczyna wtedy delikatnie migotać znajdująca się w każdym

statku Heechów złotawa spirala. Nikt nie wie dlaczego. Zmianę tę można również wyczuć bez żadnej obserwacji, ponieważ pseudograwitacja, która do tej pory pchała człowieka w tył statku, teraz zaczyna pchać go do przodu. I dół staje się górą.

Dlaczego Heechowie po prostu nie odwracali statku w połowie podróży? Mogliby wtedy wykorzystać ten sam układ napędowy zarówno do przyśpieszania, jak i hamowania. Nie wiem. Tylko Heechowie mogliby na to odpowiedzieć.

Może dlatego, że cała ich aparatura obserwacyjna była, jak się wydaje, umieszczona na dziobie. A może dlatego, że właśnie dziób jest zawsze dobrze opancerzony, nawet w małych statkach, przeciwko, jak sądzę, uderzeniom molekuł gazu i pyłu. Większe statki — niektóre Trójki i prawie wszystkie Piątki, są jednak całe opancerzone. Ale i one się nie odwracają.

Kiedy zatem migoce spirala i włącza się napęd wsteczny, wiadomo, że minęła jedna czwarta czasu samej podróży. Nie musi to być oczywiście ćwiartka czasu całej wyprawy. Natomiast długość pobytu w miejscu przeznaczenia to całkiem odrębna sprawa. Decyzję co do tego podejmuje się samemu. Wiadomo w każdym razie, że minęła ćwiartka podróży na automatycznych sterach.

Mnoży się więc wtedy przez cztery liczbę dni, które już minęły i jeśli wynik jest mniejszy niż liczba dni, na które starczy ci żywności, wiesz przynajmniej, że nie czeka cię głodowa śmierć. Różnica między tymi dwiema liczbami oznacza czas, jaki możesz spędzić w miejscu przeznaczenia.

Podstawowe zapasy żywności, wody i powietrza starczą na dwieście pięćdziesiąt dni. Można jednak bez większego trudu rozciągnąć je na trzysta — człowiek wraca wtedy po prostu chudszy i w nienajlepszym stanie. Kiedy mija więc sześćdziesiąt lub sześćdziesiąt pięć dni podróży bez odwrócenia ciągu, wiadomo, że mogą być kłopoty. Zaczyna się wtedy nieco mniej jeść. Kiedy mija tak osiemdziesiąt lub dziewięćdziesiąt dni, problem rozwiązuje się sam, bo nie ma już wyboru, wiadomo, że umrzesz, zanim dotrzesz z powrotem. Mógłbyś spróbować zmiany kursu. Ale to tylko inny rodzaj śmierci, sądząc przynajmniej z tego, co mówią ci, którzy przeżyli.

Przypuszczalnie Heechowie potrafili dowolnie zmieniać trasę lotu, ale jak to robili, pozostanie jednym z tych zasadniczych pytań bez odpowiedzi, jak na przykład, dlaczego wszystko tak skrętnie uprzętało? Albo — jak wyglądali? Albo — dokąd się wynieśli?

Kiedy byłem mały, na jarmarkach sprzedawano dowcipną książeczkę zatytułowaną „Wszystko, co wiemy o Heechach”. Miała sto dwadzieścia osiem stron, a wszystkie puste.

Jeśli Sam, Dred i Mohamad byli pedałami, a nie miałem powodu w to wątpić, przez pierwsze dni nie obnosili się z tym. Zajmowali się tym, co ich interesowało: czytali, w słuchawkach na uszach słuchali muzyki, grali w szachy, a kiedy udało im się namówić Klarę i mnie — w chińskiego pokera. Nie graliśmy na pieniądze, ale o zwolnienie z wachty (po paru dniach Klara stwierdziła, że prawdziwie wygrany był ten, który przegrał, bo miał więcej zajęć, które wypełniało czas). Traktowali nas życzliwie, choć stanowiliśmy heteroseksualną mniejszość spośród homoseksualnej większości dominującej na statku. Oddawali nam ładownik dokładnie na połowę czasu, mimo że stanowiliśmy zaledwie czterdzieści procent załogi.

Jakoś się dogadywaliśmy. Całe szczęście. Przez cały czas każde z nas musiało żyć w cieniu i smrodzie pozostałych.

Wnętrze statku, nawet Piątki, jest niewiele większe od niedużej kuchni. Trochę dodatkowej przestrzeni znaleźć można w ładowniku wielkości sporej szafy, ale przynajmniej na początku jest on zwykle wyładowany zapasami i sprzętem. Od całej kubatury, wynoszącej

około czterdzieści dwa — trzy metry sześciennie, należy jeszcze odjąć miejsce zajmowane przez to wszystko, co wchodzi do środka oprócz mnie, ciebie i innych poszukiwaczy.

W tau-przestrzeni przyspieszenie odbywa się powoli i stopniowo. W zasadzie nie jest to nawet przyspieszenie, lecz raczej opór atomów twego ciała, jaki stawiają przy przekraczaniu prędkości światła. Można je równie dobrze uznać za tarcie, jak za grawitację. Odczuwa się je trochę jak ciężenie, człowiek ma wrażenie, że waży ze dwa kilo.

Oznacza to, że odpocząć można jedynie na czymś, każdy członek załogi posiada więc składaną uprzęż, która po otwarciu otula go do snu, lub może uformować coś w rodzaju krzesła. Oprócz tego każdy posiada swoją cząstkę przestrzeni przeznaczoną na szafki z taśmami, dyskami i ubraniami, którego potrzeba zresztą zbyt wiele, na przybory toaletowe, zdjęcia osób bliskich drogich (jeśli takie się ma) i na pozostałe rzeczy, które w ramach swojej normy ciężaru i masy (75 kilogramów, 0,3m₃) postanowił zabrać. Jak widać, już to chociażby zajmuje dosyć miejsca.

Do tego trzeba jeszcze dodać pierwotne wyposażenie statku, z którego trzy czwarte i tak nie przyda się na nic. Choćbyś nawet potrzebował, nie wiedziałbyś, jak tego użyć. Dlatego urządzenia te należy zostawić w spokoju. Nie można jednak żadnego z nich usunąć, ponieważ aparatura Heechów stanowi integralną całość. Jeśli amputuje się jeden fragment — reszta obumiera.

Gdybyśmy wiedzieli, jak goić takie rany, zapewne można by się było pozbyć częściowo tych rupieci, a statek i tak by działał. Jednak nie wiemy, wszystko więc pozostaje na swoim miejscu: romboidalna złota skrzynka, która wybucha przy próbie otwarcia, krucha spirala ze złotawej rurki, jarząca się od czasu do czasu, a jeszcze częściej nagrzewająca się nieznośnie (nikt nie wie, dlaczego) i tak dalej. Wszystko musi zostać na miejscu i człowiek co chwila się o to obja.

Do tego zaś trzeba jeszcze dodać wyposażenie ludzi: szczelnie dopasowane skafandry, po jednym dla każdego, sprzęt fotograficzny, urządzenia sanitarne, przybory kuchenne, pojemniki na odpadki. Poza tym zestawy analityczne, broń, wiertła, pudełka na próbki, czyli cały ekwipunek, który zabiera się na powierzchnię planety, jeśli człowiek szczęśliwie znajdzie taką, na której można wylądować.

W efekcie miejsca pozostaje niewiele. Przypomina to trochę życie przez wiele tygodni pod maską bardzo dużej ciężarówki, której silnik jest włączony, wraz z czterema pozostałymi ludźmi rywalizujesz o odrobinę przestrzeni.

Po dwóch dniach rozwinęło się we mnie nieuzasadnione uprzedzenie wobec Hama Tayeha. Był za duży — zajmował znacznie więcej miejsca, niż mu się należało.

Tak naprawdę, to Ham był niższy ode mnie, choć więcej ważył. Mnie nie przeszkadzało oczywiście, ile przestrzeni sam zajmuje. Przeszkadzało mi natomiast, gdy ktoś mi zawadzał. Sam Kahane miał lepsze wymiary — nie więcej niż metr sześćdziesiąt — i czarną, sztywną brodę oraz szorstkie zmierzwiowane włosy, które pokrywały cały jego brzuch powyżej cache-sexe, pierś, a także całą powierzchnię pleców. Nie uważałem jednak, że Sam narusza moją przestrzeń życiową, dopóki w jedzeniu nie znalazłem długiego, czarnego włosa z jego brody. Ham przynajmniej nie był prawie wcale owłosiony, miał miękką, złotawą skórę, dzięki której wyglądał jak eunuch z haremu króla Jordanii (czy jordańscy królowie trzymali eunuchów w haremach? I czy w ogóle mieli haremy? Ham chyba nie miał o tym zbyt wielkiego pojęcia — jego rodzice już od trzech pokoleń mieszkali w New Jersey).

Łapałem się czasem nawet na tym, że porównywałem Klarę z Sheri, która była co najmniej dwa numery mniejsza. Zaś Dred Frauenglass, trzeci z grupy Sama, był delikatnym, szczupłym, młodym mężczyzną, niezbyt rozmownym i na oko zajmującym mniej miejsca niż ktokolwiek z pozostałych.

Byłem jedynym nieopierzeńcem i wszyscy po kolei tłumaczyli mi te nieliczne zadania, które musieliśmy wykonywać. Trzeba prowadzić regularne zapisy fotograficzne i spektrometryczne, oraz nagrywać odczyty z pulpitu kontrolnego, na którym stale następują minimalne zmiany w odcieniach i natężeniach barw (Ciągłe jeszcze się głowią nad tymi kolorami mając nadzieję kiedyś zrozumieć ich znaczenie). Trzeba też fotografować i analizować widma gwiazd w tau-przestrzeni. Wszystko to razem zajmuje może dwie roboczogodziny dziennie. Na pracę przy przygotowywaniu posiłków i sprzątaniu poświęca się następne dwie.

Tak zużywa się w pięć osób jakieś cztery roboczogodziny dziennie, czyli w sumie pozostaje do zagospodarowania około osiemdziesięciu.

Nieprawda, nie to jest najważniejsze. W rzeczywistości wszyscy czekają na hamowanie.

Trzy dni, cztery, tydzień, zacząłem uświadamiać sobie wzrastające nacięcie, w którym nie uczestniczyłem. Po dwóch tygodniach wiedziałem już, jak to jest, bo i mnie się ono udzieliło. Wszyscy na to czekaliśmy. Przed pójściem spać zawsze spoglądaliśmy na spiralę, by sprawdzić, czy jakimś cudem się nie rozjarzyła. Pierwszą myślą po przebudzeniu było: czy sufit stał się już podłogą? W trzecim tygodniu zrobiliśmy się bardzo rozdrażnieni. Najwyraźniej objawiało się to u Hama, pulchnego, złotoskórego Hama o twarzy wesołka.

— Może zagramy w pokera. Bob?

— Nie, dziękuję.

— No, chodź. Potrzebujemy czwartego (w chińskim pokerze rozdaje się całą talię, po trzynaście kart dla każdego. Inaczej nie da się grać).

— Nie mam ochoty.

— A niech cię cholera! — wykrzykuje z nagłą wściekłością. — Nie dość, że jesteś gównem wart jako członek załogi, jeszcze na dodatek nie chcesz grać!

Potem ponuro tasował karty pół godziny za każdym razem, tak jakby zręczność w tej czynności była dla niego sprawą życia i śmierci. I gdyby się dobrze zastanowić — pewnie była. Spróbujcie sobie to sami wyobrazić. Jesteście na przykład w Piątce i po siedemdziesięciu pięciu dniach jeszcze nie nastąpił obrót. Od razu wiadomo, że zapasy nie wystarczą dla pięciu ludzi dłużej niż trzysta dni.

Ale mogą wystarczyć dla czwórki.

Albo trójki. Albo dwójki. Albo dla jednego.

W tym momencie jasne jest, że przynajmniej jedna osoba nie wróci żywa, większość załóg w takiej sytuacji rozdaje karty. Ten, kto przegrywa, uprzejmie podrzyna sobie gardło. Jeśli przegrywający nie jest zbyt grzeczny, pozostała czwórka daje mu lekcję dobrych manier.

Wiele statków, które wyruszyły jako Piątki, wróciło jako Trójki. Niektóre powróciły jako Jedyńki.

Staraliśmy się więc, by czas mijał. Nie przychodziło to jednak łatwo, a na pewno nie od razu.

Seks był chwilowo niezastąpionym lekarstwem. Godzinami leżeliśmy oboje z Klarą, przysypiając na moment, by chwilę potem zbudzić się i zacząć kochać się od nowa. Podejrzewam, że tamci robili to samo. Wkrótce lądownik zaczął cuchnąć jak chłopięca przebieralnia. Potem zaś wszyscy już szukaliśmy samotności. Oczywiście na statku nie było dosyć miejsca na sa-

motność dla wszystkich na raz, ale robiliśmy, co tylko można. Za ogólną zgodą zaczęliśmy pojedynczo spędzać godzinę czy dwie w ładowniku. Kiedy ja tam schodziłem, chłopcy jakoś tolerowali Klarę. Kiedy przychodziła kolej Klary — grałem z nimi w karty. Gdy zaś wychodził jeden z nich — pozostali dwaj dotrzymywali nam towarzystwa. Nie wiem, co inni robili w samotności, ja głównie wpatrywałem się w Kosmos. Dosłownie — patrzyłem przez wizjer na kompletną ciemność. Nie można było niczego zobaczyć, ale czerń była lepsza niż wnętrze statku, którego miałem już absolutnie dość.

Po pewnym czasie każdy z nas znalazł sobie ulubione zajęcie. Ja słuchałem taśm, Dred oglądał pornodyski, Ham otwierał składaną klawiaturę i grał w słuchawkach muzykę elektroniczną (mimo słuchawek muzykę czasem dało się słyszeć, i zaczęło mnie mdlić od Bacha, Palestriny i Mozarta). Sam Kahane usadzał nas jak w szkole i żeby zrobić mu przyjemność, spędzaliśmy wiele czasu na rozważaniach o naturze gwiazd neutronowych, czarnych dziur i galaktyk Seyferta, chyba że przerabialiśmy po raz kolejny analizy, które należy przeprowadzać przed wylądowaniem na jakiejś nowej planecie. Głównym pożytkiem z tych zajęć było to, że udawało nam się przez całe pół godziny nie czuć do siebie nienawiści. W pozostałych chwilach — niestety — nie mogliśmy na siebie patrzeć. Nie wytrzymywałem tego ciągłego tasowania kart przez Hama. Dred odczuwał nieuzasadnioną wrogość wobec moich nielicznych papierosów. Pachy Sama były czymś strasznym, nawet w fetorze zgnilizny wypełniającej kapsułę, wobec którego najgorsze powietrze na Gateway zdawało się olejkim różanym. A Klara? — Klara miała także swoje przyzwyczajenia. Lubiła szparagi. Zabrała ze sobą cztery kilo suszonych warzyw, żeby mieć jakąś odmianę i jakieś zajęcie, i chociaż zawsze dzieliła się ze mną, a czasami nawet zapraszała pozostałych, to szparagi jadła sama. Szparagi powodują osobliwą woń moczu. Niezbyt to romantyczne dowiadywać się z zapachu we wspólnej toalecie, co jadła twoja ukochana.

UWAGI O NARODZINACH GWIAZD

Dr Asmenion: Przypuszczam, że większość z was bardziej interesuje się premiami naukowymi niż samą astrofizyką. Nie ma się jednak za bardzo czym przejmować. Prawie cała robotę odwała za was instrumenty badawcze. Wy natomiast prowadzicie regularne obserwacje, a jeśli natraficie na coś ciekawego, zostanie to właściwie ocenione po waszym powrocie.

Pytanie: Czy mam szukać czegoś szczególnego?

Dr Asmenion: Oczywiście. Na przykład jeden poszukiwacz zgarnął kiedyś pół miliona, gdy znalazłszy się w pobliżu Mgławicy Oriona stwierdził, że pewne partie chmury gazowej wykazują wyższą temperaturę niż reszta. Doszedł do wniosku, że oto właśnie powstaje nowa gwiazda. Gęstniejący gaz zaczynał zwiększać swą temperaturę. Uznał, iż w ciągu następnych dziesięciu tysięcy lat w tym właśnie miejscu powstanie prawdopodobnie wyraźny układ słoneczny, toteż wykonał specjalny wykres tej części nieba. Dostał więc za to premię. Teraz Korporacja wysyła tam co roku statek, by zrobić nowe pomiary. Płacą sto tysięcy premii, z czego połowę otrzymuje ów poszukiwacz. Jeśli chcecie, mogę podać współrzędne podobnych miejsc, jak na przykład Mgławicy Trójdzielnej. Może to nie będzie warte pół miliona, ale zawsze coś.

A była mimo wszystko moją ukochaną — naprawdę.

W ciągu tych niekończących się godzin spędzonych w ładowniku nie tylko kochaliśmy się, ale również rozmawialiśmy. Niczyich myśli nie znałem ani trochę tak dobrze, jak myśli Klary. Musiałem ją kochać. Nie mogłem nic na to poradzić, i nie mogłem przestać.

Nigdy nie przestanę.

* * *

Dwudziestego trzeciego dnia grałem na elektronicznym pianinie Hama, kiedy nagle zrobiło mi się niedobrze. Wahająca się grawitacja, której już wcale nie zauważałem, nagle zaczęła rosnać.

Spojrzałem w górę i napotkałem wzrok Klary. Uśmiechała się bojaźliwie, prawie na granicy łez. Wskazała palcem, a tam w zwojach szklanej spirali, niczym małe migocące rybki, goniły się złotawe iskierki.

Objęliśmy się i trwaliśmy tak chichocząc, podczas gdy przestrzeń dokoła nas obracała się i podłoga stawała się sufitem. Dotarliśmy do połowy drogi. Została nam nawet jeszcze rezerwa czasowa.

Rozdział piętnasty

Gabinet Sigfrida, jak wszystkie inne, znajduje się oczywiście pod Kloszem. Nie może w nim być za ciepło ani za zimno. Ale czasami mi się wydaje, że jest gorąco. — O Boże! — mówię mu wtedy — jaki tu upał! Chyba wysiadła ci klimatyzacja.

— Nie mam klimatyzacji, Robbie — odpowiada cierpliwie. — Wracając zaś do twojej matki. . .

— Pies z nią — mówię. — Z twoją zresztą też. . .

Następuje chwila milczenia. Wiem, jakie myśli obiegają jego obwody i czuję, że będę żałował mojej porywczej reakcji. Dodaję więc szybko: — Ten upał naprawdę źle na mnie działa.

— To tobie jest tu gorąco — poprawia mnie.

— Co takiego?

— Moje czujniki wykazują, że temperatura twego ciała podwyższa się prawie o stopień, gdy rozmawiamy o pewnych sprawach — to znaczy o twojej matce, o kobiecie imieniem Gelle-Klara Moynlin, o twojej pierwszej wyprawie, trzeciej, Danie Miecznikowie i o wydalaniu.

— Znakomicie! — wyję z nagłą wściekłością. — To znaczy, że mnie szpiegujesz?

— Dobrze wiesz, że rejestruję twoje sygnały zewnętrzne — stwierdza z wyrzutem. — Nic w tym złego. W końcu nawet przyjaciel potrafi zauważyć, że się rumienisz, jąkasz, czy zaciskasz pięści.

— Ach, tak!

— Właśnie tak. Rob. Mówię ci o tym, ponieważ wydaje mi się, że powinieneś zdawać sobie sprawę z tego, iż tematy te wywołują u ciebie silne emocje. Może chciałbyś porozmawiać, dlaczego tak się dzieje?

— Nie! Chciałbym raczej porozmawiać o tobie, Sigfrid! Co jeszcze przede mną ukrywasz? Liczysz moje erekcje? Założyłeś podsłuch w moim łóżku? Nagrywasz moje rozmowy?

— Nie, Bob, nie robię niczego takiego.

— Chciałbym wierzyć, że to prawda. Potrafię sprawdzić, czy nie kłamiesz.

Chwila milczenia.

— Wydaje mi się, że nie bardzo rozumiem, o co ci chodzi.

— Nie musisz — drwię sobie. — Jesteś po prostu maszyną. — Wystarczy, że ja rozumiem. Jest mi bardzo potrzebna ta niewielka tajemnica, którą chowam przed Sigfridem. W kieszeni mam skrawek papieru; pewnego wieczoru pełnego wina, trawki, wspaniałego seksu dała mi ją S. Laworowna. Już niedługo wyciągnę tę kartkę i wtedy zobaczymy, kto tu rządzi. Naprawdę podoba mi się ta gra z Sigfridem. Wywołuje mój gniew. A kiedy jestem rozgniewany, zapominam o tej wielkiej ranie, która boli, ból bowiem nie ustaje i nie wiem, jak położyć mu kres.

Rozdział szesnasty

Po czterdziestu sześciu dniach podróży nadświetlną kapsuła zwolniła do prędkości bliskiej zeru, krążyliśmy po orbicie, a wszystkie silniki wyłączyły się.

Śmierdzieliśmy potwornie i mieliśmy już siebie nawzajem dość. Mimo to tłoczyliśmy się przy zerowej grawitacji ramie przy ramieniu wokół wizjera, jak kochankowie wpatrywaliśmy się w znajdujące się przed nami słońce. Było większe i bardziej pomarańczowe niż Sol, większe, lub znajdowało się bliżej niż jedna jednostka astronomiczna. Nie obieγαłiśmy jednak tej gwiazdy. Krążyliśmy dookoła gigantycznej gazowej planety z jednym dużym księżycem, wielkości połowy ziemskiego.

Ani Klara, ani chłopcy nie wiwatowali i nie cieszyli się, odczekałem więc odpowiednią chwilę i spytałem: — Co się stało?

— Wątpię, żebyśmy mogli na czymś takim lądować — rzuciła Klara mimochodem. Nie wydawała się zawiedziona. Miałem wrażenie, że ją to nic nie obchodziło.

Gdzieś z brody Sama Kahane wydarło się długie, ciche westchnienie: — Przede wszystkim musimy zrobić jakieś czyste spektra. Bob i ja zajmijmy się tym. Reszta niech szuka oznak bytności Heechów.

— Marne szanse — powiedział ktoś inny tak cicho, że nie potrafiłem rozróżnić kto. Mogła to być nawet Klara. Chciałem zapytać o coś jeszcze, ale czułem, że jeśli spytam, dlaczego nie są zadowoleni, odpowiedź pójdzie mi w pięty. Wcisnąłem się więc za Samem do lądownika, gdzie przeszkadzając sobie nawzajem wciągnęliśmy skafandry, sprawdziliśmy systemy równowagi biologicznej i telekomunikacyjnej, zapięliśmy się hermetycznie. Sam pokazał mi, żebym poszedł do śluzy. Usłyszałem pompy wysysające powietrze, po czym resztki gazu wchodzące z otwartego luku wypchnęły mnie w przestrzeń.

Na chwilę sparaliżował mnie zwierzęcy strach — znajdowałem się zupełnie sam w miejscu, gdzie nigdy jeszcze nie była żadna ludzka istota, na dodatek przerażony, że zapomniałem zaczepić linę. Ale nie musiałem o tym pamiętać — magnetyczny zatrask zasunął się sam. Dopłynąłem do końca liny, ostro zawróciłem i powoli zacząłem cofać się w kierunku statku. Zanim do niego dotarłem. Sam był już na zewnątrz i wirował w moim kierunku. Zdołaliśmy się pochwycić i zaczęliśmy ustawiać aparat.

Sam pokazał coś między olbrzymim spodkowanym dyskiem gazowego giganta i jaskrawo rażącym pomarańczowym słońcem. Przesłoniłem oczy rękawicą i w końcu zobaczyłem, o co mu chodzi — M-31 w Andromedzie. Oczywiście, biorąc pod uwagę nasze położenie, nie mogło to być w konstelacji Andromedy. Nie widać tu było niczego, co by przypominało ją, lub inną znaną mi konstelację. M-31 jest jednak tak duża i jasna, że kiedy smog nie jest zbyt gęsty, nawet z powierzchni Ziemi widać tę wirującą, obłą mgławicę gwiazd. Jest to najjaśniejsza z galaktyk zewnętrznych i można ją dość łatwo dostrzec z każdego miejsca, do którego docierają statki Heechów. Przy niewielkim powiększeniu wyraźnie widać jej spiralny

kształt, a żeby upewnić się, że to właśnie ona, wystarczy popatrzeć na mniejsze galaktyki na osi wzroku.

Podczas, gdy ja celowałem na M-31, Sam ustawiał przyrządy w kierunku obłoków Magellana, lub raczej tego, co na obłoki Magellana wyglądało (twierdził, że rozpoznaje S Doradusa). Rozpoczęliśmy zdjęcia teodolityczne. Po to to wszystko, by uczeni z Korporacji mogli przeprowadzić triangulację i ustalić, gdzie byliśmy. Nie wiadomo wprawdzie, po co im to, ale rzeczywiście to robią. Zależy im na tym tak bardzo, że bez pełnego zestawu i zdjęć nie ma szans na otrzymanie jakiegokolwiek premii naukowej. Wydawałoby się, że równie dobrze mogą się również zorientować, gdzie jesteśmy, ze zdjęć robionych przez okno podczas lotu nadświetlnego. Okazuje się jednak, że nic z tego. Potrafią odczytać zasadniczy kierunek, lecz już po paru latach świetlnych jest im coraz trudniej identyfikować gwiazdy, poza tym nie wiadomo, czy trasa biegnie po prostej, czy nie, niektórzy utrzymują, iż prowadzi ona raczej po jakichś zmarszczkach w zakrzywionej przestrzeni.

Mądrale z Korporacji wykorzystują wszystko, co tylko do nich dotrze, łącznie z tym, ile i w którą stronę obróciły się Obłoki Magellana. Wiecie po co? Ponieważ w ten sposób mogą ocenić, o ile lat świetlnych jesteście od nich oddaleni, a zatem jak daleko zabrnęliśmy w Galaktykę. Obłoki wykonują jeden obrót na około osiemdziesiąt milionów lat. Dokładne odczyty mogą wykazać zmiany jednej z części w ciągu dwóch lub trzech milionów, to znaczy różnice rzędu mniej więcej stu pięćdziesięciu lat świetlnych.

Dzięki zajęciom w grupie Sama zaczęły mnie interesować takie rzeczy. I robiąc zdjęcia oraz usiłując odgadnąć, jak Gateway je zinterpretuje, prawie zapomniałem o przerażeniu. I prawie, choć nie całkiem, przestałem się martwić o losy wyprawy, która przedsięwzięta w takim zrywie odwagi zaczynała się okazywać niewypałem.

I okazała się. Jak tylko wróciliśmy do statku, Ham wyrwał Samowi taśmy z przeglądem przestrzeni naokoło i puścił je przez skaner. Pierwszym utrwalonym na nich obiektem okazała się też właśnie wielka planeta. W żadnym przedziale widma elektromagnetycznego nie pojawiło się promieniowanie artefaktów.

Zaczął więc szukać innych planet. Trwało to długo, nawet jak na automatyczny skaner, pewnie i tak pominęliśmy co najmniej dziesięć. (Nie miało to w sumie znaczenia, skoro ich nie wyłapaliśmy, znajdowały się za daleko). Ham brał sygnaty kluczowe ze spektrogramu promieniowania gwiazdy głównej, a następnie nastawiał skaner na wyszukanie ich odbicia. Urządzenie wyłapało pięć obiektów. Dwa z nich okazały się gwiazdami o podobnym widmie, pozostałe trzy były rzeczywiście planetami, lecz również nie wykazywały żadnego śladu artefaktów. Poza tym były niewielkie i odległe.

W związku z tym pozostał jedynie duży księżyc gazowego giganta.

— Sprawdź go — polecił Sam.

— Nie wygląda zbyt zachęcająco — mruknął Mohamad.

— Nie pytam cię o zdanie, rób to, co każę. Sprawdź go.

— Odczytaj głośno, proszę — dodała Klara.

Ham popatrzył na nią zdziwiony, być może z powodu tego „proszę”, ale zrobił, co chciała. Wcisnął przycisk.

— Sygnaty dla kodowanego promieniowania elektromagnetycznego... — Sinusoida powoli wpłynęła na ekran skanera, przez moment wiła się i rozciągnęła w całkowicie nieruchomą kreskę.

— Brak — powiedział Ham. — Czasowo-zmienne anomalie temperaturowe.

Było to coś nowego.
— Co to? — spytałem.
— Na przykład, kiedy się coś ociepla po zachodzie słońca — odpowiedziała Klara z niecierpliwością. — No więc?

OGŁOSZENIA DROBNE

UCZĘ TECHNIKI NAGRAŃ lub gram na przyjęciach. 87-429.

ZBLIŻA SIĘ BOŻE NARODZENIE! Pamiętaj o swoich bliskich w domu i prześlij im Oryginalny Nowy Model Gateway lub Gateway-2 z plastyku Heechów. Unieś go, a przed twymi oczami ukażą się cudownie wirujące płatki śniegu z połyskliwego pyłu pochodzącego wprost z Planety Peggy. Ręcznie grawerowane bransolety dla młodych poszukiwaczy i inne upominki. Pfon 88-542.

CZY MASZ siostrę, córkę lub znajomą na Ziemi? Chciałbym podjąć korespondencję w celach matrymonialnych. 86-032.

Ta linia też była prosta.

— Nic z tego — rzekł Ham. — Wysokoalbedowy metal przypowierzchniowy?

Powolna falista linia i znowu potem nic.

— Hm. . . — mruknął Ham. — Nie ma potrzeby sprawdzać pozostałych sygnałów. Nie będzie na przykład metanu, bo nie ma atmosfery, i tak dalej. Co robimy, szefie?

Sam już otwierał usta, kiedy Klara go uprzedziła.

— Przepraszam odezwała się przez zęby. — Kto ma być tym szefem?

— Zamknij się — powiedział Ham niecierpliwie. — No więc co, Sam?

Kahane posłał Klarze nikły, rozgrzeszający uśmiech. — Masz coś do powiedzenia, to proszę bardzo — zachęcił ją. — Jeśli o mnie chodzi, uważam, że powinniśmy wejść na orbitę księżycy.

— To tylko bezsensowna strata paliwa — warknęła Klara.

— Masz lepszy pomysł?

— Co to znaczy „lepszy”? A zresztą, po co?

— Nie zbadaliśmy dokładnie księżycy — powiedział spokojnie Sam. — Obraca się dość powoli. Moglibyśmy wziąć lądownik i rozejrzeć się dokładnie. Może po drugiej stronie jest całe miasteczko Heechów.

— Marne szanse — mruknęła Klara cicho, wyjaśniając tym samym, kto wypowiedział te słowa poprzednio. Chłopcy nie zwracali na nią uwagi. Wszyscy trzej schodzili już do lądownika zostawiając nas samych w kapsule.

Klara zniknęła w toalecie. Zapaliłem papierosa, jednego z ostatnich, jakie miałem, i powoli wydmuchiwałem pióropusz dymu w obłok, który już unosił się nieruchomo w zamartym powietrzu. Kapsuła lekko drżała, widziałem na ekranie, jak odległy brązowy dysk księżycy przesuwają się ku górze, a w chwilę później zobaczyłem sunący w jego kierunku małeńki, jaskrawy wodorowy płomień lądownika. Zastanawiałem się, co bym zrobił, gdyby zabrakło im paliwa, rozbili się lub gdyby mieli jakąś awarię. W podobnej sytuacji musiałbym ich tam zostawić na zawsze. A zastanawiałem się, czy starczyłoby mi odwagi, by zrobić to, co zrobić powinienem.

Byłoby to okropne, bezsensowne marnotrawienie ludzkich istnień.

Co myśmy tu robili? Czyżbyśmy przebyli setki czy tysiące lat świetlnych po to, by serca nam pękły z rozpaczy?

Złapałem się na tym, że trzymam się za pierś, jakby nie była to tylko metafora. Splunąłem na peta i zgaszonego włożyłem do torby na odpadki. Drobnutkie grudki popiołu unosiły się w powietrzu tam, gdzie je nieopatrznie strząsałem, ale nie miałem ochoty za nimi gonić. Przyglądałem się, jak ogromny, cętkowany półksiężyc planety pojawia się w rogu ekranu, podziwiałem go jak dzieło sztuki, żółtawa zieleń po stronie dziennej, bezkształtna czerń po drugiej stronie terminatora. W świetle paru jasnych gwiazd, które przeblyskiwały przez cieńsze warstwy zewnętrzne atmosfery można się było zorientować, gdzie się ona zaczyna, większa jej część była jednak tak gęsta, że nic przez nią nie przebijało. Oczywiście, nie było mowy o lądowaniu. Nawet jeśli powierzchnia planety była twarda, skrywały ją takie ilości gęstego gazu, że nigdy byśmy się spod niego nie wydostali. W Korporacji mówi się o konstrukcji specjalnego lądownika docierającego do planet typu Jupitera, być może zrobią go pewnego dnia, ale dla nas to i tak za późno.

Klara ciągle jeszcze była w toalecie.

Rozciągnąłem uprząż w poprzek kabiny, wsunąłem się do środka, oparłem głowę i zasnąłem.

Cztery dni później wrócili. Z niczym.

Dred i Ham Tayeh byli posępni, brudni i wściekli, Sam Kahane wyglądał na zadowolonego. Nie dałem się jednak na o nabrać, gdyby znaleźli coś ciekawego, przekazaliby wiadomość przez radio. Chciałem się mimo wszystko czegoś dowiedzieć.

— No i co, Sam? — spytałem.

— Kompletnie zero — odpowiedział. — Skała, ani śladu czegoś, po co warto by się pofatygować. Ale mam pomysł.

Klara stanęła obok mnie, patrząc z zainteresowaniem na Sama. Ja przyglądałem się dwóm pozostałym. Wyglądali, jakby znali pomysł Sama i jakby nie bardzo im się podobał.

— Ta gwiazda jest podwójna — powiedział.

— Skąd wiesz? — zapytałem.

— Sprawdziłem na skanerze. Widzieliście to wschodzące niebieskie чудо? — Rozejrzał się, potem uśmiechnął. — Nie wiem wprawdzie, gdzie się teraz znajduje, ale było niedaleko planety, kiedy robiliśmy zdjęcia. Nastawiłem na nią skaner. Odczyt wydał mi się nieprawdopodobny. Musi to być drugi składnik gwiazdy podwójnej, który znajduje się nie dalej niż pół roku świetlnego.

— Równie dobrze może to być jakiś wędrowiec — zauważył Ham Tayeh. — Mówiłem ci, taki, który przypadkiem się tam znalazł.

Kahane wzruszył ramionami.

— No i co. To w końcu niedaleko.

— Czy są jakieś planety? — wtrąciła się Klara.

— Nie wiem — przyznał. — Ale poczekaj, chyba coś jest tutaj.

Popatrzyliśmy na ekran. Nie było wątpliwości, o której gwiazdzie mówił Kahane. Była jaśniejsza niż widziany z Ziemi Syriusz, miała jasność co najmniej minus dwa.

— To ciekawe — powiedziała Klara spokojnie. — Wolałabym się mylić, ale chyba wiem, o co ci chodzi, Sam. Pół roku świetlnego to co najmniej dwa lata podróży z maksymalną szybkością lądownika, zakładając, że wystarczy nam paliwa. A wiemy, że nie wystarczy.

— Tak — ciągnął Sam — ale myślałem, że gdybyśmy skorzystali z głównego napędu statku...

— Przestańcie! — Mnie samego zaskoczył mój własny krzyk. Drżałem cały, nie mogłem się opanować. Przez moment wydawało mi się, że z przerażenia, chwilę później, że z wściekłości. Podejrzewam, że gdybym w tym momencie miał w ręku broń, zastrzeliłbym Sama bez wahania.

Klara dotknęła mego ramienia, by mnie uspokoić.

— Sam — powiedziała, bardzo łagodnie, jak na nią. — Rozumiem, co czujesz. — Kahane wrócił z pustymi rękoma z pięciu kolejnych wypraw. — Na pewno coś takiego dałoby się zrobić.

Patrzył na nią z zaskoczeniem, a jednocześnie podejrzliwie i nieufnie.

— Naprawdę?

— Wydaje mi się, że gdyby zamiast ziemskich patałachów w tym statku siedzieli Heechowie, wiedzieliby co zrobić. Przylecieliby tutaj, rozejrzeli się i powiedzieli: „Popatrzcie, nasi przyjaciele”, może zresztą nie „przyjaciele”, ale w każdym razie coś, co ich tu sprowadziło, a więc: „nasi przyjaciele pewnie wyjechali. Nie ma ich w domu. Może, cholera, są w ogródku?”. Nacisnęliby kilka guziczków i wystrzeliliby prosto do tej niebieskiej gwiazdy. — Przerwała na chwilę i popatrzyła na Sama wciąż trzymając mnie za rękę. — Tylko, że my nie jesteśmy Heechami.

— Chryste, Klaro! Wiem o tym. Musi na to być jednak jakiś sposób!

Skinęła głową.

— Oczywiście, ale my go nie znamy. Wiemy jedynie, że po zmianie kursu żaden statek nie zdołał szczęśliwie wrócić. Pamiętaj, ani jeden.

Nie odpowiedział; wpatrywał się jedynie w wielką, niebieską gwiazdę na ekranie.

— Przegłosujmy to — rzekł.

Głosowanie oczywiście dało cztery do jednego przeciw zmianie ustawienia i aż do momentu przekroczenia prędkości światła Ham Tayeh stał bez przerwy między Samem a pulpitem sterowniczym.

Podróż z powrotem na Gateway nie była dłuższa niż w tamtą stronę, ciągnęła się jednak niemiłosiernie.

Rozdział siedemnasty

Zdaje mi się, że klimatyzacja Sigfrida znowu nawaliła, ale nic już nie mówię. Stwierdziłby tylko, że temperatura wynosi dokładnie 22,5°C, tak jak zawsze, i spytałby, dlaczego uczuciem gorąca usiłuje wyrazić mój ból wewnętrzny. A ja mam już dosyć takich tekstów.

— Mówiąc szczerze — stwierdzam głośno — nie mogę cię już znieść.

— Bardzo mi przykro. Rob. Byłbym ci jednak wdzięczny, gdybyś mi powiedział coś więcej o swoim śnie.

— A, cholera. — Poluźniam nieco przytrzymujące mnie paski, bo cisną. W ten sposób odłączam również niektóre z urządzeń kontrolnych Sigfrida, ale wyjątkowo nie zwraca mi na to uwagi. — To całkiem nudny sen. Jesteśmy w statku. Dolatujemy do planety, która wpatruje się we mnie, niczym ludzka twarz. Nie widzę oczu, bo zasłaniają je brwi, ale z jakiegoś powodu wiem, że ta twarz płacze i to przeze mnie.

— Czy ją rozpoznajesz?

— Nie. To twarz jakiejś kobiety.

— Wiesz, dlaczego płacze?

— Raczej nie, ale to przeze mnie. Jestem tego pewien.

Chwila milczenia.

— Czy mógłbyś zapiąć z powrotem paski? — mówi.

Przestaję nad sobą panować.

— Czyżbyś się bał — w moim głosie brzmi drwina — że nagle wstanę i rzucę się na ciebie?

— Oczywiście, że nie. Ale będę ci wdzięczny, jeśli zrobisz to, o co proszę.

Zaczynam zapinać je powoli i niechętnie.

— Zastanawiam się tylko, co mi po wdzięczności programu komputerowego.

Nie odpowiada, chce mnie przetrzymać. Pozwalam mu wygrać i mówię:

— W porządku, już jestem w kaftanie bezpieczeństwa. Jakie to wstrząsy zamierzasz mi zaaplikować, że aż trzeba mnie związać?

— To pewnie nic takiego, Robbie — mówi. — Zastanawiam się właśnie, dlaczego czujesz się winny, że ta dziewczyna z planety płakała.

— Ba, żebym to wiedział — odpowiadam i naprawdę tak to czuję.

— Znam parę faktów, z powodu których masz wyrzuty sumienia — mówi. — Jeden z nich to śmierć twojej matki.

— Chyba tak, w jakiś idiotyczny sposób — przyznaję mu rację.

— Myślę też, że czujesz się winny wobec twojej dziewczyny, Gelle-Klary Moynlin.

Poruszam się nerwowo.

— Gorąco tu jak cholera — skarżę się.

— Czy wydaje ci się, że któraś z tych osób coś ci zarzucała?

— Skąd mam, kurwa, wiedzieć?

— A może pamiętasz, że coś takiego mówiły?

— Nie! — Rozmowa staje się zbyt osobista, więc chcąc ją utrzymać na płaszczyźnie obojętnej stwierdzam: — Zgoda, że mam pewną tendencję do obarczania się odpowiedzialnością. Jestem chyba dość klasycznym przypadkiem, nie? Można go odszukać na stronie 277 każdego podręcznika.

Rozbawia mnie pozwalając przez chwilę trwać w tym bezosobowym tonie. — Lecz prawdopodobnie na tejże stronie — stwierdza — mówi się również o tym, że odpowiedzialność narzuca sam podmiot. Sam więc ją stwarzasz, Robbie.

— Bez wątpienia.

— Nie musisz przecież wbrew swojej woli poczuwać się do jakiegokolwiek odpowiedzialności.

— Oczywiście, ale ja chcę.

— Czy przychodzi ci do głowy — pyta prawie natychmiast — dlaczego tak się dzieje? Dlaczego chcesz mieć poczucie, że jeśli cokolwiek jest źle, to z twojej winy?

— A, psiarew! — rzucam z niesmakiem. — Twoje przewody znowu nawalają. To nie jest tak. Chodzi o coś więcej. . . posłuchaj. Kiedy zasiadam do uczyty życia, jestem tak zajęty zastanawianiem się, jak spojrzeć na rachunek, co pomyślą inni, gdy go zapłacę, i czy mam przy sobie dosyć pieniędzy, że nie starcza mi sił na jedzenie.

— Niezbyt mi się podobają te twoje literackie popisy — mówi łagodnie.

— Bardzo mi przykro. — Nieprawda, wcale nie jest mi przykro. Doprowadza mnie do szału.

— Wracając zaś do twojego porównania: dlaczego nie posłuchasz, co mówią inni ludzie? Może mówią o tobie coś miłego albo coś ważnego?

Muszę się powstrzymać, żeby nie zrzucić pasków, nie zdzielić w twarz szczerzącego zęby manekina i nie wyjść z tego bagna raz na zawsze. Czeka, a mnie się wszystko w głowie kotłuje, w końcu wybucha: — Mam ich słuchać? Sigfrid, ty stary, głupi gracie, przecież ja nic innego nie robię. Chcę, żeby mi mówili, że mnie kochają. Nawet mogą mi mówić, że mnie nienawidzą, cokolwiek, ale niech to powiedzą, sami z głębi serca, szczerze. Tak jestem zasłuchany w głos serca, że nawet nie słyszę, gdy ktoś mnie prosi o sól.

Milczenie. Chyba dłużej nie wytrzymam.

— Potrafisz to wszystko tak pięknie wyrazić, Robbie — po chwili mówi z podziwem — ale ja najchętniej. . .

— Przestań! — ryczę, naprawdę już wściekły, zrzucam paski i siadam, by spojrzeć mu w twarz. — I przestań nazywać mnie Robbie! Mówisz tak do mnie, kiedy według ciebie zachowuję się jak dziecko. Ale teraz nie jestem dzieckiem!

— Tak w zasadzie, to nie masz ra. . .

— Już ci mówiłem, żebyś przestał! — Zeskakuję z materaca i łapię swoją torbę. Wyciągam z niej skrawek papieru, który dała mi S. Laworowna po tych wszystkich drinkach i łóżku. — Sigfrid — warczę — zniosłem już wiele. Teraz twoja kolej.

Rozdział osiemnasty

Weszliśmy w przestrzeń normalną i poczuliśmy zapłon odrzutu lądownika. Statek wirował, a Gateway, ciężka, gruszkowata, zwęglona plama otoczona niebieską poświatą przesuwiała się skośnie w dół ekranu. Wszyscy czworo siedzieliśmy i czekaliśmy jeszcze prawie godzinę, aż zgrzytliwy wstrząs da nam znać, że statek wylądował.

Klara westchnęła. Ham powoli zaczął wypinać się z uprzęży. Dred uporczywie wpatrywał się w wizjer, choć widać na nim było jedynie Syriusza i Oriona. Patrząc na tych troje w kapsule zdałem sobie sprawę, że dla pracowników obsługi przylotów będziemy stanowili równie nieprzyjemny widok, jaki dawno temu dla mnie, jeszcze jako nieopierzeńca, przedstawiali niektórzy co gorzej wyglądający po powrocie poszukiwacze. Delikatnie dotknąłem nosa. Bardzo bolał, a nade wszystko śmierdział. Od wewnątrz, dokładnie obok mojego organu powonienia, nie było więc sposobu, by się od tego smrodu uwolnić.

Słyszeliśmy, jak otwarły się włazy i pracownicy obsługi weszli do środka. Potem dotarły do nas zdziwione kilkujęzyczne uwagi na widok Sama Kahane, którego wsadziliśmy do lądownika. Klara poruszyła się. — Chyba możemy wysiadać — mruknęła sama do siebie i skierowała się do wjazdu, który na powrót znajdował się nad naszymi głowami.

Jeden z członków załogi krążownika zajrzał do środka. — Żyjecie jeszcze? — Potem przyjrzał się nam dokładniej i nie powiedział już ani słowa. Była to wyczerpująca podróż, szczególnie ostatnie dwa tygodnie. Jeden za drugim wygramoliliśmy się na zewnątrz mijając Sama Kahane, który ciągle wisiał w kaftanie bezpieczeństwa zaimprovizowanym przez Dreda ze skafandra.

UWAGI O KARŁACH I GIGANTACH

Dr Asmenion: Wszyscy powinniście wiedzieć, jak wygląda wykres Hertzsprung-Russella. W przypadku znalezienia się w skupisku sferycznym lub w jakiegokolwiek innej gromadzie gwiazd, warto sporządzić ów wykres, a także pilnie szukać niezwykłych klas widmowych. Nie dostaniecie oczywiście ani grosza za klasy F, G, K, mamy już bowiem wszystkie potrzebne pomiary. Jeśli natomiast znajdziecie się przypadkiem na orbicie białego karła, lub bardzo starego czerwonego giganta, zróbcie wszystkie możliwe odczyty. Polecam wam również obserwację klas O lub B, nawet jeśli nie jest to słońce, wokół którego krążycie, Gdybyście się niespodziewanie znaleźli w opancerzonej Piątce na bliskiej orbicie wokół jaskrawo świecącej gwiazdy klasy O, dane przywiezione na Gateway dadzą wam kilkaset tysięcy.

Pytanie: Dlaczego?

Dr Asmenion: Co dlaczego?

Pytanie: Dlaczego premia będzie tylko wtedy, gdy polecimy opancerzoną Piątką?

Dr Asmenion: W innym przypadku po prostu nie wrócicie.

Otoczony własnymi ekskrementami i resztkami jedzenia wpatrywał się w nas swoim spokojnym, błędnym wzrokiem. Dwóch ludzi z obsługi odwiązywało go, by przygotować do wyniesienia na zewnątrz. Na szczęście nie odzywał się.

— Cześć! — rzekł Brazylijczyk, który okazał się Francy Hereirą. — Chyba poszło kiepsko, co?

— No — odpowiedziałem — przynajmniej wróciliśmy. Ale Kahane jest w nie najlepszej formie. Poza tym wracamy z niczym.

Pokiwał współczująco głową i powiedział coś, chyba po hiszpańsku, do Wenusjanki z patrolu, niewysokiej, pulchnej kobiety o ciemnych oczach. Poklepała mnie w ramię i zaprowadziła do niewielkiej kabiny, gdzie pokazała mi, bym zdjął ubranie. Zawsze mi się wydawało, że osobistą kontrolę mężczyzn robią mężczyźni, a kobiet — kobiety, ale w końcu nie ma to chyba większego znaczenia. Zbadała każdy szew w moim ubraniu, zarówno optycznie, jak i za pomocą dozymetru. Potem zajrzała mi pod pachy i wsadziła coś w odbył. Otworzyła szeroko usta, sugerując, że i ja mam to zrobić, zajrzała do środka i cofnęła się zasłaniając twarz dłonią.

— Czfój nosz bardzo szmierdzi — powiedziała. — Czo sze ształo?

— To od uderzenia — rzekłem. — Tamten facet. Sam Kahane, oszalał i chciał zmienić kurs.

Pokiwała głową z niedowierzaniem i zajrzała mi do wypchanego gazą nosa. Jednym palcem delikatnie dotknęła nozdrza.

— Czo to?

— Tam w środku? Musieliśmy go zapchać, mocno krwawił.

Westchnęła.

— Czeba by wyczągnącz — zastanawiała się, potem wzruszyła ramionami. — Nie. Ubieraj sze.

Więc na powrót się ubrałem i wróciłem do sali przylotów, ale to jeszcze nie był koniec. Czekano mnie przesłuchanie, jak zresztą w zasadzie wszystkich z wyjątkiem Sama, którego już zabrano do Szpitala Końcowego.

Wydawałoby się, że niewiele mogliśmy powiedzieć na temat naszej wyprawy. Pełna dokumentacja, na którą składały się wszystkie odczyty i obserwacje, powstawała w trakcie podróży. Lecz Korporacja miała inny system pracy. Wyciągali z nas każdy fakt, każde wspomnienie, potem każde wrażenie subiektywne, ulotne podejrzenie. Odprawa trwała bite dwie godziny, w czasie których zarówno ja, jak i pozostali staraliśmy się dokładnie odpowiedzieć na wszystkie pytania. Tutaj również widać, jak Korporacja ma człowieka w rękę. Komisja kwalifikacyjna może przyznać premię za cokolwiek, poczynawszy od zaobserwowania czegoś nowego w sposobie żarzenia się spirali, aż do wymyślenia nowej metody usuwania zużytych podpasek bez spuszczenia ich w toalecie. Mówi się, że chcą w ten sposób po prostu dać parę groszy załogom, które po trudnej wyprawie powróciły bez większych sukcesów. Bez wątplenia, do takich należeliśmy i my. Za wszelką cenę chcieliśmy dać im jakąś okazję do szczodrego gestu.

Wśród przepytujących nas był Dane Miecznikow — dziwne to, ale i miłe zarazem (na Gateway, w powietrzu znacznie mniej smrodliwym, zaczynałem czuć się bardziej po ludzku). On również wrócił z pustymi rękoma. Dotarł na orbitę wokół gwiazdy, która najprawdopodobniej stała się Novą w ciągu ostatnich pięćdziesięciu tysięcy lat. Być może, była tam kiedyś planeta, ale teraz istniała ona jedynie w pamięci układu naprowadzającego Heechów. Nie pozostało z niej nawet tyle, by uzasadnić premię naukową. Powrócił więc na Gateway.

— Dziwi mnie, że pracujesz — powiedziałem w wolnej chwili.

Nie obraził się. Jak na Miecznikowa, osobę z natury bardzo zasadniczą, zachowywał się wyjątkowo pogodnie. — Tu nie chodzi o pieniądze. Człowiek się zawsze czegoś uczy.

— Czego?

— Na przykład, jak zwiększyć swoje szanse. Wyruszam znowu, ale tym razem będą większe. Jest coś nowego.

Siedzący obok mnie i rozmawiający ze swoim przesłuchującym Dred podskoczył i po chwili pochylił się w naszym kierunku. — Co takiego? zapytał.

Miecznikow był ostrożny.

— Można lepiej odczytać linie widma — powiedział ogólnikowo. — Ale wracając do żywności: mówiłeś, że jej część pod koniec dziwnie smakowała.

Zanim stamtąd wyszedłem, zmusiłem go, by obiecał, że opowie, o co mu chodziło.

— Odezwę się do was — powiedział do Klary i do mnie. — Może jutro.

Powróciliśmy więc do domu.

Rozdział dziewiętnasty

Czuję się tak silny i jednocześnie tak przerażony, że nie bardzo wiem, jak sobie z tym poradzę. S. Laworowna napisała na karteczce słowa komendy, która przemieni Bezwzględny Pogromcę — Sigfrida von Psychy w potulnego kotka. Nie muszę patrzeć na kartkę — znam te słowa na pamięć. Mimo to powoli i ostrożnie odczytuję je.

— Uwaga, Sigfrid, to polecenie nadrzędne. „Kategoria Alfa Alfa Margaret Trurnan Daniel Merkury Wenus Mars Ziemia sześć sześć zero sześć. Wprowadź pasywną procedurę wyjściową”.

Patrzę na niego. Nic się nie dzieje.

— Sigfrid, czy dobrze to powiedziałem? Przyjmujesz polecenie?

— Oczywiście, Bob. — Wzdrygam się, bo jego głos jest zupełnie taki sam, jak przedtem. Sam nie wiem, czego oczekiwałem. Być może wyobrażałem sobie, że hologram dobrego tatusia zniknie, a zapali się napis: „Wykonuję. Słucham poleceń”?

Cały drzę. Nie zastanawiam się nawet dlaczego, jest to wręcz seksualne podniecenie. — No więc, Sigfrid, stary gracie, znaczy to, że mam cię w garści!

— Oznacza to — odpowiada z cierpliwością karykatura dobrego papy — że możesz mi wydawać polecenia. Bob. Polecenia ograniczone oczywiście do procedury wyjściowej.

— To znaczy? — jestem zaskoczony.

— Nie możesz zmienić mojego zasadniczego programu. Na to potrzebowalbyś innej formuły.

— W porządku — odpowiadam. — A zatem pierwsze polecenie: podaj ten drugi rozkaz.

OGŁOSZENIA DROBNE

BEZBOLESNE ZABIEGI DENTYSTYCZNE, prywatna praktyka. Pełne wyposażenie. Wszelki zakres. Referencje. 87-579.

NIEPALĄCY NERWUSI w twojej załodze? Jestem wyłącznym przedstawicielem „Nikotynowego Pogromcy” na Gateway. Kaptur do palenia nie pozbawi cię twojej przyjemności, współtowarzyszom wyprawy zapewni natomiast czyste powietrze. Pfon 87-196 (pokazy).

— Nie mogę. Bob.

— Chyba musisz.

— To nie znaczy, że odmawiam wykonania polecenia. Ja go po prostu nie znam.

— Gówno! — wrzeszczę. — Jak możesz nań reagować, jeśli go nie znasz?

— Po prostu odpowiadam, czy mówiąc inaczej — ciągle jest ojcowski, ciągle cierpliwy — każdy fragment polecenia pobudza kolejną sekwencję instrukcji. Mówiąc technicznie, każde gniazdo kluczowe przechodzi do kolejnego gniazda, które otwiera następny segment.

— Cholera — zastanawiam się przez chwilę. — To co ja właściwie mogę ci polecić?

— Możesz spowodować odtworzenie którejkolwiek ze zgromadzonych przeze mnie informacji. Na twoje polecenie mogę uczynić to w dowolny sposób, jaki leży w granicach moich możliwości.

— Sposób? — Spoglądam na zegarek i ze złością zdaje sobie sprawę z tego, że cała ta zabawa będzie się musiała niedługo skończyć. Pozostało mi tylko dziesięć minut. — Czy znaczy to, że mógłbym nakazać ci, byś do mnie mówił po francusku?

— *Qui, Robert, d'accord. Que voulez-vous?*

— Lub po rosyjsku... na przykład... — próbuję na chybił trafił — *bassoprofondo* jak w Bolszom?

Dobiega mnie głos jak ze studni:

— *Da, gospodin.*

— I powiesz mi o mnie wszystko, co zechcę?

— *Da, gospodin.*

— Po angielsku, do cholery!

— Tak.

— Lub o innych twoich klientach?

— Tak.

Hm, to może być zabawne.

— A kim są ci szczęściarze, drogi Sigfridzie? Pokaż ich listę. — Przez mój głos zdaje się przebijać nutka lubieżności.

— W poniedziałek, godzina dziewiąta — rozpoczyna sumiennie — Jan Iliewski. Dziesiąta, Mario Laterani, jedenasta, Julie Loudon Martin, dwunasta... .

— Powiedz coś o niej — przerywam.

Julie Loudon Martin została skierowana przez Szpital Kings County General, gdzie została poddana, bez hospitalizacji, sześciomiesięcznemu leczeniu terapią awersyjną i aktywatorami wewnętrznej odporności w ramach kuracji antyalkoholowej. Ma w swej karcie dwie próby samobójstwa, które nastąpiły po depresji poporodowej pięćdziesiąt trzy lata temu. Jest moją pacjentką od... .

— Chwileczkę — przerywam, dodawszy pięćdziesiąt trzy lata do prawdopodobnego wieku macierzyństwa — obawiam się, że Julie nie interesuje mnie za bardzo. Czy mógłbyś mi uzmysłowić, jak wygląda?

— Mogę wyświetlać holobrazy.

— Proszę bardzo! — Natychmiast następuje szybki błysk, pojawia się barwna plama i widzę tę drobną czarną kobietę leżącą na materacu — moim materacu! — w kącie pokoju. Powoli i bez większego zainteresowania mówi do kogoś niewidocznego. Nie słyszę co, ale z drugiej strony nie bardzo mnie to interesuje.

— Dalej — rozkazuję — i kiedy wymieniasz pacjentów, pokazuj, jak wyglądają.

— Dwunasta, Lorne Schofield — stareńki mężczyzna o szponiastych palcach zniekształconych przez artretyzm, trzymający się za głowę. — Trzynasta, Frances Astritt — mała dziewczynka, jeszcze przed pokwitaniem. — Czternasta... .

Pozwalam mu odczytać cały poniedziałek i połowę wtorku. Nigdy nie zdawałem sobie sprawy z tego, że tak długo pracuje, ale w końcu, jako maszyna, nie męczy się. Jedna czy dwie pacjentki wydały mi się interesujące, ale nie było wśród nich nikogo, kto byłby wart poznania bardziej niż Yvette, Donna, S. Laworowna, czy inne. — Możesz przestać — mówię i zastanawiam się przez chwilę.

Nie jest to taka fajna zabawa, jak sobie wyobrażałem. Poza tym mój czas dobiega końca.

— Mogę sobie chyba na coś takiego pozwolić, kiedy mi tylko przyjdzie ochota — stwierdzam. — A teraz porozmawiajmy o mnie.

— O co chciałbyś zapytać?

— O to, co zawsze przede mną ukrywasz. O diagnozę, prognozę, ogólne uwagi na temat mojego przypadku. Jaki w ogóle jestem, według ciebie?

— Pacjent Robinette Stetley Broadhead — zaczyna natychmiast — wykazuje umiarkowane symptomy depresji, rekompensowane aktywnym stylem życia. Potrzeba pomocy psychiatrycznej wynika z depresji i dezorientacji. Pacjent objawia poczucie winy i na poziomie świadomości momentami zdradza afazję spowodowaną kilkoma epizodami powracającymi jako symbole senne. Wykazuje względnie słaby pociąg seksualny. Jego stosunki z kobietami są przeważnie nieudane, choć orientacja psychoseksualna jest w osiemdziesięciu procentach heteroseksualna.

— A gówno prawda. . . — zaczynam reagując z opóźnieniem na „słaby pociąg seksualny i nieudane stosunki”. Nie mam jednak ochoty na dyskusje. A poza tym Sigfrid mówi w tym momencie z własnej inicjatywy:

— Muszę cię poinformować. Bob, że twój czas już prawie dobiegł końca. Powinieneś chyba udać się do pokoju wypoczynkowego.

— Bzdura. Nie mam po czym przychodzić do siebie. — Ale ma rację. — W porządku — mówię. — Wróć do normalnej procedury. Skasuj polecenie. Czy wystarczy? Już skasowane?

— Tak, Robbie.

— Znowu to samo! — wrzeszczę. — Zdecyduj się, kurwa mać, jak mnie zamierzasz nazywać?

— Zwracam się do ciebie w formie odpowiedniej do stanu twego umysłu lub do stanu, który pragnę u ciebie wywołać.

— A teraz chciałbyś, żebym był dzieckiem? Nieważne. Słuchaj! — mówię wstając. — Czy pamiętasz wszystko, o czym mówiliśmy w czasie procedury wyjściowej?

— Oczywiście, Robbie. — I potem dodaje sam z siebie, co jest zaskakujące, bo czas mój dobiegł końca dziesięć lub dwadzieścia sekund temu: — Czy jesteś zadowolony, Robbie?

— Co?

— Czy stwierdziłeś ku swemu zadowoleniu, że jestem tylko maszyną? Że możesz mieć nade mną kontrolę, kiedy tylko zechcesz?

Zaskoczył mnie.

— Czy właśnie o to mi chodziło? — pytam zdziwiony. Po chwili dodaje: — W porządku, chyba o to. Więc jesteś maszyną, Sigfrid, mogę mieć nad tobą kontrolę.

— Zawsze przecież o tym wiedzieliśmy, prawda? — rzuca za mną, kiedy wychodzę. — Ale czy nie obawiasz się, że to właśnie ciebie trzeba kontrolować?

Rozdział dwudziesty

Kiedy spędza się całe tygodnie blisko drugiej osoby, tak blisko, że się słyszy każdą czkawkę, zna się każdy zapach i zadrapanie na skórze, kończy się to albo nienawiścią, albo takim zaplątaniem się w siebie, że trudno te więzy zrzucić. W przypadku Klary i moim było jedno i drugie. Nasz romansik przekształcił się w związek syjamskich bliźniąt. Nie było w nim żadnej miłości, zabrakło na nią miejsca. A jednak znałem każdą cząstkę Klary, każdy por skóry, każdą myśl, znałem ją dużo lepiej niż moją matkę. A znałem w taki sam sposób — poczynając od łona. Klara otaczała mnie całkowicie.

I tak jak z yin i yang ona też była otoczona przeze mnie, nakreślaliśmy sobie nawzajem świat i chwilami miałem rozpaczliwą potrzebę — a pewien jestem, że ona również — oderwania się od siebie i odetchnięcia na nowo świeżym powietrzem.

Po powrocie, brudni i wycieńczeni, automatycznie ruszyliśmy w kierunku pokoi Klary. Tam była oddzielna łazienka, tam było dosyć miejsca, wszystko było gotowe i padliśmy na łóżko jak stare małżeństwo po tygodniowej wakacyjnej włóczędze. Tyle, że my nie byliśmy starym małżeństwem. Nie miałem do niej żadnego prawa. Klara postarała się mi o tym przypomnieć następnego dnia przy śniadaniu ostentacyjnie płacąc rachunek (wściekle drogie przywiezione z Ziemi kanadyjskie jaja na bekonie, świeży ananas, płatki zbożowe, prawdziwa śmietanka, cappuccino). Zademonstrowałem odruch warunkowy, którego oczekiwała. — Nie musisz tego robić — powiedziałem. — I tak zdaję sobie sprawę, że masz więcej pieniędzy, niż ja.

— I chciałbyś wiedzieć ile — odpowiedziała, uśmiechając się słodko.

Jeśli chodzi o ścisłość, wiedziałem. Powiedział mi to Shicky. Miała na koncie 700 tysięcy dolarów i jakieś drobne. Wystarczyłoby to na powrót na Wenus i na spokojne życie, gdyby chciała, choć trudno mi zrozumieć, dlaczego w ogóle ktoś chce tam żyć. Może właśnie dlatego została na Gateway, choć nie musiała. Tunele są wszędzie jednakowe. — Powinnaś w końcu wyjść na świat — mówię, dokańczając swoją myśl na głos. — Nie można na zawsze pozostać w łonie matki.

Była zaskoczona, lecz rozbawiona.

— Kochany Bobie — powiedziała wyciągając z mojej kieszeni papierosa i pozwalając mi go zapalić — powinieneś zostawić w spokoju swoją zmarłą matkę. Jest mi bardzo trudno ciągle pamiętać o tym, że mam cię odpychać, byś mógł przeze mnie ją adorować.

Zauważyłem, że mówiliśmy o różnych sprawach, choć z drugiej strony może i nie. Głównym celem nie było przekazanie myśli, lecz zadanie bólu.

— Klaro — powiedziałem uprzejmie — wiesz, że cię kocham. Martwi mnie, że skończyłaś czterdziestkę nie przeżywszy prawdziwie trwałego związku z mężczyzną.

Zachichotała.

— Koteczku — odpowiedziała — chciałam właśnie o tym porozmawiać. O twoim nosie. — Skrzywiła się. — Wczoraj w nocy, mimo że byłam tak zmęczona, myślałam, że się porzygam, dopóki się nie obróciłeś. Może gdybyś się przeszedł do szpitala, to wyciągnęliby ci to świństwo.

Niestety, nawet ja to czułem. Nie wiem dokładnie, co jest w zgniłym opatrunku chirurgicznym, ale trudno to znieść. Obiecałem więc, że pójde do szpitala i potem, by jej zrobić na złość, nie dokończyłem porcji świeżego ananasa za sto dolarów. Ona z kolei, by mnie ukarać, zaczęła ze złością przesuwac moje rzeczy w szafce robiac w ten sposob miejsce na zawartość swego nesesera. Siłą rzeczy musiałem więc powiedziec: — Nie rób tego, dziecino. Mimo że cię tak bardzo kocham, chyba na trochę wrócę do swego pokoju.

Wyciągnęła rękę i poklepała mnie po ramieniu.

— Będzie mi tu pusto — powiedziała, gasząc papierosa. — Przyzwyczaiałam się, że mam cię rano obok siebie. Z drugiej jednak strony...

— Wstąpię po rzeczy w drodze do szpitala — przerwałem. Rozmowa ta nie sprawiała mi zbyt przyjemności, więc nie chciałem jej już przedłużać, póki można takie utarczki damsko-męskie uzasadnić napięciem przedmestrualnym. Podoba mi się ta teoria, ale wiedziałem niestety, że w tym przypadku nie ma zastosowania do Klary. Pozostaje również otwarty problem, jak wytłumaczyć moje zachowanie.

W szpitalu musiałem czekać ponad godzinę, a potem bardzo bolało.

UWAGI O WYBUCHACH

Dr Asmenion: Oczywiście dobre pomiary Novej lub Supernovej wartę są kupę forsy. To znaczy pomiary samego procesu. Zdjęcia wykonane później nikogo już nie interesują, i pamiętajcie, żeby zawsze szukać naszego słońca, jak już je znajdziecie, zróbcie wszystkie możliwe odczyty, we wszystkich częstotliwościach, w najbliższym otoczeniu z odchyleniem do pięciu stopni z każdej strony. Oczywiście, przy maksymalnym powiększeniu.

Pytanie: A po co?

Dr Asmenion: Może znajdziecie się przypadkiem po drugiej stronie słońca, gdzieś w okolicy gwiazdy Tycho czy Mgławicy Kraba, czyli pozostałości Supernovej z roku 1054 w Gwiazdozbiórze Byka. I może uda wam się zrobić zdjęcie takiej gwiazdy przed wybuchem. Za coś takiego daliby wam od ręki z pięćdziesiąt czy sto tysięcy.

Krwawiłem jak zarzynane prosię, poplamilem koszulę i spodnie, a kiedy wyciągali z nosa tę niekończącą się gazę, którą Ham Tayeh wepchnął, by zatamować krwotok, odczuwałem to, jakby wyrwali ze mnie kawały żywego mięsa. Wrzeszczałem. Niewysoka starsza Japonka, która tego dnia pełniła dyżur w ambulatorium, ledwie to wytrzymała. — Zamknij się, proszę! — powiedziała. — Zachowujesz się jak ten pomylenieć, który wrócił niedawno temu, a potem się zabił.

Kazałem się jej odsunąć, ręką przytrzymałem nos, żeby zatamować krew. Czułem, że dzieje się coś niedobrego. — Jak się nazywał?

Odepchnęła moją rękę i dotknęła nosa. — Nie wiem, ale zaraz, zaraz... Ty też jesteś chyba z tego pechowego statku?

— Właśnie chcę sprawdzić. Czy nazywał się Sam Kahane?

Stała się nagle bardziej ludzka.

— Tak mi przykro, kochanie — powiedziała. — Chyba tak się nazywał. Chcieli mu dać zastrzyk, żeby się uspokoił, a on wyrwał lekarzowi igłę i... no, zadźgał się na śmierć.

To rzeczywiście była wiadomość dnia.

W końcu udało jej się skauteryzować mój nos.

— Wsadzę tylko niewielki opatrunek — powiedziała. — Jutro sam go sobie wyjmiesz. Tylko powoli. Jeśli będziesz krwawił, pędem przylatuj.

Kiedy mnie puściła, wyglądałem jak niedoszła ofiara kata. Doczłapałem do pokoju Klary, by się przebrać. Lecz na tym nie kończyły się nieprzyjemności tego dnia. — Cholerne Bliźnięta — warknęła na mnie. — Następnym razem, jeśli polecę, to z Bykiem, na przykład z takim Miecznikowem.

— Co się stało?

— Przyznali nam dwanaście tysięcy pięćset premii — na pięcioro. Boże! Przecież ja mojej służącej daję większe napiwki.

— Skąd wiesz? — zdążyłem już podzielić dwanaście i pół tysiąca przez pięć, lecz w tym samym ułamku sekundy przeleciało mi przez myśl, czy w zaistniałej sytuacji nie podzielię tej sumy na cztery.

— Dzwonili dziesięć minut temu. O Boże! Najbardziej kurewska wyprawa, jaką kiedykolwiek odbyłam i mam z niej tyle, że wystarczy zaledwie na jeden zielony żeton w kasynie. — Popatrzyła na moją koszulę i złagodniała nieco. — No, to nie twoja wina, Bob, ale Bliźnięta nigdy nie potrafią podjąć decyzji. Powinam o tym dobrze wiedzieć. Poczekaj, poszukam jakiegoś czystego ubrania.

Pozwoliłem jej to zrobić, ale i tak nie zostałem. Zebrałem swoje rzeczy i poszedłem w kierunku zlotni, zostawiłem je potem w recepcji, gdzie poprosiłem z powrotem o mój pokój i gdzie skorzystałem z piezofonu. Wspominając o Miecznikowie przypomniała mi o czymś, co miałem już wcześniej zrobić.

Miecznikow pomarudził, ale w końcu zgodził się spotkać ze mną w sali wykładowej. Przyszedłem tam przed nim. Zatrzymał się na progu, rozejrzał i zapytał: — A gdzie jest ta, jak jej tam...?

— Klara Moylin? Jest u siebie. — Związła, prawdziwa, wymijająca... modelowa odpowiedź.

— Hm. — Wskazującym palcem pogładził spotykające się pod podbródkiem bokobrody. — No to chodź. — Prowadząc mnie rzucił przez ramię: — Myślę, że ona by więcej skorzystała niż ty.

— Z pewnością. Dane.

— Hm. — Zawahał się u wypukłości w podłodze, która stanowiła wejście do jednego ze statków instruktazowych, potem wzruszył ramionami, otworzył włącz i wgramolił się do środka.

Wchodząc za nim pomyślałem, że był wyjątkowo otwarty i życzliwy. Kucnął przed monitorem selektora lotów ustawiając cyfry. W rękę trzymał przenośny czytnik danych podłączony do głównego komputera Korporacji. Wiedziałem, że włącza jedno ze znanych ustawień, więc nie zdziwiło mnie, że kolory pojawiły się prawie natychmiast. Stuknął kciukiem w dostrajacz i spoglądając na mnie przez ramię czekał, aż cały ekran utonie w przeraźliwej różowości.

— W porządku — powiedział. — Dobre, jasne ustawienie. Teraz spójrz na dolną część spektrum.

Chodziło o wąskie, od czerwieni do fioletu, pasmo tęczy po prawej stronie ekranu. Fiolet był na samym dole i kolory przechodziły jeden w drugi, od czasu do czasu przerywane jedynie jaskrawym pasmem lub czernią. Wyglądało dokładnie jak to, co astronomowie nazywają liniami Fraunhofera, kiedy tylko spektroskop może im pomóc ustalić, z czego zbudowana jest jakaś gwiazda lub planeta. Ale to nie były linie Fraunhofera, tamte wykazują, jakie pierwiastki występują w źródle promieniowania (lub w obiekcie, jaki zaplątał się między to źródło, a obserwatora). Bóg jeden wie, co te linie wskazywały.

Bóg — i być może Dane Miecznikow. Prawie się uśmiechał był zadziwiająco rozmowny. — Widzisz to pasmo trzech czarnych linii na niebieskim? — spytał. — Prawdopodobnie związane jest z ryzykiem misji. W każdym razie odczyty komputera wskazują, że jeśli jest tu sześć lub więcej smug — statek nie wraca.

Słuchałem go z pełną uwagą.

— Boże! — westchnąłem, myśląc o wszystkich ludziach, którzy nie żyją, ponieważ o tym nie wiedzieli. — Dlaczego o takich rzeczach nie mówi się nam w szkole?

— Nie bądź idiotą, Broadhead — odpowiedział z dużą cierpliwością jak na niego. — To wszystko są najnowsze odkrycia. A i tak dużo w tym domysłów. Poza tym zależność między liczbą linii poniżej sześciu, a bezpieczeństwem wyprawy nie jest tak oczywista. Niestety, to nie tak, że się dodaje poszczególne linie za kolejne stopnie niebezpieczeństwa. Można by się spodziewać, że przy pięciopasmowych ustawieniach będzie wysoki procent strat, zaś przy braku smug — pełne bezpieczeństwo. Tylko, że nie ma tak dobrze. Najbezpieczniejsze są wyprawy przy jednej lub dwóch liniach. Przy trzech też nie jest źle, choć zdarzają się i straty. Przy zerowej liczbie statystyka jest podobna, jak przy trzech.

Po raz pierwszy pomyślałem, że naukowcy Korporacji rzeczywiście zasługują na pieniądze, które dostają. — Dlaczego zatem nie latamy tylko do miejsc bezpiecznych?

— Wcale nie jesteśmy do końca przekonani, że są one rzeczywiście bezpieczne — nadal cierpliwie jak na siebie odpowiadał Miecznikow. Jego ton był dużo bardziej stanowczy niż słowa. — Poza tym gdy masz opancerzony statek, powinieneś łatwiej poradzić sobie z niebezpieczeństwem. Skończ już z tymi głupimi pytaniami, Broadhead.

— Przepraszam. — Zaczynało mi być niewygodnie, gdy tak klęczałem za nim i zaglądałem mu przez ramię, kiedy obrócił się, by na mnie popatrzeć, jego bokobrody wręcz przejechały mi po nosie. Nie chciałem jednak zmieniać pozycji.

— Popatrz tutaj, na kolor żółty. — Wskazał na pięć jasnych linii. — Ten odczyt wydaje się mieć związek z powodzeniem wyprawy. Bóg raczy wiedzieć, co one wyznaczają, lub raczej, co Heechowie tym wyznaczali, jeśli jednak chodzi o finansowe korzyści, istnieje dość wyraźna zależność między liczbą linii tej częstotliwości, a sumą pieniędzy, jakie otrzymują załogi.

— O rany!

Kontynuował nie zwracając na mnie uwagi.

— Oczywiście, Heechowie nie wymyślili tego, by liczyć twoje lub moje dochody. Muszą to być pomiary czegoś innego, tylko czego? Może gęstości zaludnienia w tym regionie lub poziomu rozwoju technicznego. Może to po prostu przewodnik Michelina i mówi nam jedynie o tym, że w danej okolicy znajdowała się restauracja z pięcioma gwiazdkami. W każdym razie coś w tym jest. Loty przy pięciu żółtych smugach mają przeciętnie pięćdziesiąt razy wyższe zyski niż te z dwoma paskami, a dziesięć razy wyższe niż większość innych wypraw.

Ponownie odwrócił się i jego twarz znalazła się dosłownie parę centymetrów ode mnie, a jego oczy wpatrywały się w moje.

— Czy chcesz zobaczyć inne ustawienia? — spytał tonem, który wymagał zaprzeczenia, więc zaprzeczyłem. — Okay — skończył na tym.

Wstałem i cofnąłem się, żeby mieć trochę więcej miejsca. — Tylko jedno pytanie. Z pewnością masz jakiś powód, że mówisz mi o tym wszystkim, zanim stanie się to powszechnie wiadome. Jaki to powód?

— Tak — odpowiedział. — Chciałbym, żeby ta, jak jej tam... znalazła się w mojej załodze, jeśli polecę Trójką lub Piątką.

— Klara Moynlin.

— No właśnie. Jest odporna, nie zajmuje zbyt wiele miejsca i potrafi dogadać się z ludźmi lepiej niż ja. Ja mam z tym czasem kłopoty — wyjaśnił. — Oczywiście, tylko w przypadku, jeśli polecę Trójką lub Piątką. A nie mam na to zbyt wielkiej ochoty. Tak naprawdę, to chciałbym znaleźć Jedynekę. Jeśli jednak nie będzie wolnej Jedyнки z dobrym ustawieniem, będę potrzebował ludzi, na których mogę polegać, którzy mi nie wejdą na głowę, znają się na rzeczy, potrafią pokierować statkiem, i tak dalej. Też możesz lecieć, jeśli chcesz.

Kiedy wróciłem do swego pokoju, pojawił się Shicky, zanim jeszcze zabrałem się do rozpakowywania rzeczy. Wyraźnie cieszył się z naszego spotkania. — Bardzo mi przykro, że wasza wyprawa była nieudana — powiedział ze swoją niewyczerpaną delikatnością i serdecznością. — Bardzo mi również przykro z powodu waszego przyjaciela Kahane. — Przyniósł mi termos herbaty i ulokował się na szafce naprzeciw mego hamaka, tak jak za pierwszym razem.

Fatalna podróż już prawie wywietrzała mi z pamięci, umysł zaprzętały mi teraz wizje kokosów, jakie miała mi przynieść rozmowa z Miecznikowem. Nie mogłem się powstrzymać, by o tym nie porozmawiać, opowiedziałem więc Shicky'emu wszystko, co usłyszałem od Dane'a.

Słuchał, jak dziecko słucha bajki, a jego czarne oczy błyszczały. — To naprawdę ciekawe — zauważył. — Słyszałem już plotki, że mają coś ogłosić. Wyobraź sobie tylko, że moglibyśmy wyruszyć bez strachu, że zginiemy, lub... — zawahał się trzepocząc gazą skrzydeł.

— To wcale nie jest niezawodne, Shicky — powiedziałem.

— Tak, oczywiście, ale chyba przynasz, że to i tak jest krok naprzód. — Przerwał i przyglądał mi się, jak pociągam łyk prawie pozbawionej aromatu japońskiej herbaty. — Bob — zaczął — jeśli ruszysz na taką wyprawę i będziecie potrzebowali dodatkowego człowieka... To prawda, że w lądowniku nie byłoby ze mnie zbyt wiele pożytku, ale na orbicie mogę robić to wszystko, co inni.

— Oczywiście, Shicky — starałem się załatwić sprawę taktownie. — Czy wiedzą o tym w Korporacji?

— Zgodziliby się, żebym poleciał jako członek załogi na miejscu, którego nikt nie zechce.

— Aha. Wolałem jednak nie mówić, że nie bardzo miałbym ochotę na lot, na który nikt inny nie reflektuje. Shicky wiedział o tym. Znał już Gateway bardzo dobrze. Krążyły plotki, że miał kiedyś odłożony niezły kapitalik, wystarczający na Pełny Serwis Medyczny i tak dalej. Ale albo go oddał, albo stracił i tak żył jako kaleka. Wiem, że mnie rozumiał, ale ja byłem daleki od zrozumienia Shikitei Bakina.

Odsunął się, gdy rozkładałem rzeczy, plotkowaliśmy o wspólnych znajomych. Statek Sheri nie powrócił. Oczywiście, nie był to, jak na razie, powód do zmartwienia. Spokojnie mógł jeszcze nie wracać kilka dobrych tygodni i nie byłoby to nic strasznego. Para Kongijczyków mieszkająca za skrzyżowaniem powróciła tymczasem z ogromnym ładunkiem modlitewnych wachlarzy, które odnaleźli na dotychczas nieznannej planecie Heechów obiegającej gwiazdę F-2 na skraju spiralnej odnogi Oriona. Dostali milion na troje, zabrali więc swoją część z powrotem do Mungbere. Zaś Forehandowie...

Louise Forehand zadrżała do mnie w momencie, kiedy o nich rozmawialiśmy.

— Usłyszałam wasze głosy — powiedziała zbliżając się, by mnie ucałować. — Przykro mi, że wam się nie powiodło.

— Bywa i tak.

— W każdym razie — cieszę się, że wróciłeś. Mnie też nie poszło lepiej. Trafiłam na idiotyczną małą gwiazdkę, w pobliżu nie było żadnej planety. Nie mam pojęcia, dlaczego Heechowie w ogóle mieli ten kurs. — Uśmiechnęła się i z czułością pogładziła mnie po karku. — Chciałabym dziś wydać przyjęcie na cześć waszego powrotu. A może ty i Klara...

— To wspaniały pomysł — odpowiedziałem. Nie mówiła więcej o Klarze. Nie było wątpliwości, że plotka już się rozeszła, poczta pantoflowa na Gateway działa dzień i noc. Po paru minutach wyszła.

— Miła z niej kobieta — rzekłem do Shicky'ego oglądając się za nią. — W ogóle miła rodzina. Czy coś ją gnębi?

— Owszem. Jej córka Lois powinna już dawno wrócić. Ostatnio mieli sporo trosk.

Spojrzałem na niego.

— Nie — powiedział — nie chodzi ani o Willę, ani ojca. Są na wyprawie, ale jeszcze nie spóźnieni. Chodzi o syna.

— Wiem, Henryka. Nazywali go Hat.

— Zmarł tuż przed ich przyjazdem tutaj. A teraz Lois. — Pochylił głowę, podfrunął i w locie podniósł termos z herbatą. — Muszę iść do pracy.

— Jak idzie sadzenie bluszczu?

— Już się tym nie zajmuję — odpowiedział ponuro. — Emma uważała, że nie nadaję się na kierownika.

— Tak? A co teraz robisz?

— Dbam o to, by Gateway wyglądała atrakcyjnie — odrzekł. — Chyba można mnie nazwać „śmieciarzem”.

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Gateway była bardzo zaśmiecona, mała siła przyciągania powodowała, że wyrzucony skrawek papieru czy lekkiego jak piórko plastiku mógł pofrunąć dokądkolwiek. Zamiecenie podłogi było niemożliwe. Pierwsze pociągnięcie szczotką wprawiało wszystko w ruch. Widziałem sprzątaczy goniących z maleńkimi ręcznymi odkurzacami za kawałkiem gazety i grudkami tytoniowego popiołu, nawet sam się zastanawiałem, czy się tym nie zająć. Nie podobało mi się jednak, że robił to Shicky.

— Nic się nie martw, Bob — jak on wspaniale czytał w moich myślach! — ja naprawdę lubię tę robotę. Ale proszę cię, jeżeli będziecie potrzebowali kogoś do załogi — pamiętaj o mnie.

Odebrałem premię i opłaciłem utrzymanie na trzy tygodnie naprzód. Kupiłem sobie parę potrzebnych rzeczy: nowe ubranie i parę taśm z muzyką, która miała zagłuszyć w mojej pamięci Mozarta i Palestrina. W ten sposób zostało mi jakieś dwieście dolarów.

Dwieście dolarów to prawie tyle co nic. Mogło starczyć na dwadzieścia drinków w Błękitnym Piekiełku, na jeden żeton przy stole do gry w oko, lub, być może, na kilka solidnych obiadów gdzieś poza kantyną.

Miałem więc trzy rzeczy do wyboru. Znaleźć inną pracę i tym samym ugrzęznąć tu na amen, wyruszyć na kolejną wyprawę w ciągu trzech tygodni albo dać za wygraną i wrócić do domu. Żadna z tych możliwości mnie nie pociągała. Lecz zakładając, że nie będę wydawał zbyt dużo pieniędzy, mogłem odłożyć decyzję na później — o całe dwadzieścia dni. Postanowiłem przestać palić i nie jadać w restauracjach, tym sposobem mogłem zredukować moje wydatki do maksimum dziesięciu dolarów dziennie. Zatem moja gotówka skończyłaby się wraz z opłaconym utrzymaniem.

Zadzwoiłem do Klary. W piezofonie jej twarz i głos były powściągliwe, lecz przyjazne, więc ja również rozmawiałem z nią powściągliwie i serdecznie. Nie wspominałem o przyjęciu, a ponieważ ona nie wyraziła ochoty, by spotkać się ze mną wieczorem, tak to zostawiliśmy: w martwym punkcie. Mnie to nie przeszkadzało, nie potrzebowałem Klary. Na przyjęciu poznałem inną dziewczynę, Doreen Mackenzie. Trudno w zasadzie nazywać ją dziewczyną, miała spokojnie dziewięć lat więcej niż ja i odbyła już pięć wypraw. Bardzo mnie w niej podniecało to, że raz jej się rzeczywiście udało. Zabrała ze sobą do Atlanty półtora miliona i wydała wszystko chcąc kupić sobie karierę piosenkarki piezowizyjnej. Płaciła za utwory, menadżera, reklamy, ogłoszenia, próbne nagrania, wszystko — i kiedy jej się nie powiodło, wróciła na Gateway, by spróbować raz jeszcze. Poza tym była bardzo, bardzo ładna.

Lecz po dwóch dniach poznawania Doreen znowu zadzwoniłem do Klary. — Czekam — powiedziała podniecona. Byłem u niej w dziesięć minut, po piętnastu znaleźliśmy się w łóżku. Kłopot z poznawaniem Doreen polegał na tym, że ją całą poznałem. Była fajna i strasznie zapalona, ale nie była Klarą Moynlin.

Kiedy leżeliśmy razem w hamaku — spoceni, odprężeni i zmęczeni — Klara ziewnęła, potargała moje włosy, odchyliła głowę i popatrzyła na mnie. — Cholera — powiedziała sennym głosem. — Chyba to tak wygląda, gdy się jest zakochanym.

Chciałem być miły.

— Dzięki temu życie toczy się naprzód. Nie, nie dzięki „temu”, dzięki tobie.

Potrząsnęła ze smutkiem głową.

— Czasami nie mogę cię już znieść — odpowiedziała. — Strzelcy nie potrafią dogadać się z Bliźniętami. Ja jestem znakiem ognia — a ty... jak wszystkie Bliźnięta jesteś bardzo niezdecydowany.

— Wolałbym, żebyś ciągle nie wracała do tych bzdur — odpowiedziałem.

Nie obraziła się.

— Chodźmy gdzieś coś zjeść.

Zsunąłem się z hamaka i stanąłem odczuwając potrzebę rozmowy bez kontaktu fizycznego. — Droga Klaro — zacząłem — nie mogę być na twoim utrzymaniu, bo prędzej czy później zaczniesz się wściekać, a nawet jeśli nie — to ja, spodziewając się czegoś takiego, będę wściekły na ciebie. Po prostu nie mam pieniędzy. Jeśli chcesz jadać poza kantyną — rób to sama. Nie będę cię też opalał, nie będę pił twojego alkoholu i grał twoimi żetonami. Masz ochotę coś zjeść — proszę bardzo, idź, spotkamy się później. Może pójdziemy na spacer.

— Bliźnięta nigdy nie wiedzą, jak postępować z forsą — westchnęła — ale potrafią zachować się w łóżku.

Ubraliśmy się i wyszliśmy coś zjeść, ale w kantine Korporacji, gdzie trzeba czekać z tacą w kolejce, a potem jeść na stojąco. Jedzenie jest nienajgorsze, jeśli się człowiek nie zastanawia zbyt, na czym je wyhodowano. Cena też jest przystępna — za darmo. Mówią, że jeśli człowiek je wszystkie posiłki w stołówce, zaspokaja swe zapotrzebowanie kaloryczne w ponad stu procentach. Trzeba jednak jeść wszystkiego po trochu. Białko jednokomórkowe i białko roślinne są niepełnowartościowe, jeśli spożywa się je oddzielnie. Nie wystarczy więc sama galaretka z soi lub budyń bakteryjny. Należy jeść jedno i drugie.

Poza tym bezpłatne jedzenie Korporacji powoduje wydzielanie potwornej ilości metanu, który z kolei składa się na to, co wszyscy dawni mieszkańcy Gateway wspominają jako charakterystyczny tutejszy zaduch.

Potem, nie rozmawiając zbyt wiele, zjechaliśmy w kierunku niższych poziomów. Podejrzewam, że obydwójce zastanawialiśmy się, dokąd idziemy. Nie tylko dosłownie.

— Masz ochotę na zwiedzanie? — spytała Klara.

Wziąłem ją za rękę i powoli, zamyśleni, ruszyliśmy przed siebie. Zwiedzanie to świetna zabawa. Niektóre tunele, już od lat nie używane i zarośnięte bluszczem, były nawet ciekawe. Poza nimi rozciągały się nagie pustkowia,

Anglikański Kościół Gateway
Wielebny Theo Durleigh, kapelan
Komunia 10:30 w niedziele

Wieczorne nabożeństwa w zależności od zapotrzebowania

Eric Manier, który z dniem 1 grudnia zakończył swą pracę kościelną, pozostawia po sobie niezatarte wspomnienie w naszej społeczności kościoła Wszystkich Świętych. Zaciągnęliśmy wobec niego, który poświęcił nam swe wszechstronne umiejętności, dług nie do spłacenia. Eric Manier urodził się 51 lat temu w Elstree, Hertfordshire. Ukończył Uniwersytet Londyński z tytułem bakałarza praw, a następnie specjalizował się jako adwokat. Później pracował przez kilka lat w przedsiębiorstwie pozyskiwania gazu naturalnego w Perth. Choć pogrążeni w smutku tym rozstaniem, jesteśmy szczęśliwi, że nareszcie zrealizuje swe najskrytsze marzenia i powróci do swego ukochanego Hertfordshire, gdzie zamierza poświęcić się działalności społecznej, medytacji transcedentalnej, oraz studiom nad śpiewem gregoriańskim, Wybory nowego kościelnego będą miały miejsce w pierwszą niedzielę, w którą zbierze się wymagane kworum dziewięciu parafian.

gdzie nawet nie posadzono bluszczu. Zwykle tunele wypełniało światło ze ścian, na których ciągle jeszcze niebieskawo błyszcząca warstwa metalu Heechów. Kiedyś — nie ostatnio, ale jakieś sześć czy siedem lat temu — znaleziono w nich artefakty, można więc było w każdej chwili natknąć się na coś, za co dają premię.

Ale nie bardzo mogłem zdobyć się choć na odrobinę zapachu. Cóż w tym zabawnego, jeśli i tak nie ma się nic innego do roboty? — Czemu nie? — powiedziałem, lecz parę minut później, gdy zobaczyłem, gdzie jesteśmy, zaproponowałem: — Chodźmy na chwilę do muzeum.

— Bardzo dobrze — ożywiła się. — Czy wiesz, że zrobili już okrągłą salę? Mówił mi o tym Miecznikow. Uruchomili ją, gdy byliśmy na wyprawie.

Zmieniliśmy więc trasę, zjechaliśmy dwa poziomy i wyszliśmy obok muzeum. „Okrągłą salą” nazwano niemal kuliste pomieszczenie tuż za nim. Było ono bardzo duże — miało ponad dziesięć metrów średnicy, może więcej. By wszystko dobrze obejrzeć, musieliśmy przymocować sobie wiszące obok wejścia skrzydła podobne do tych, jakich używał Shicky. Klara ani ja nigdy przedtem nie mieliśmy czegoś takiego na sobie, ale poszło nam łatwo. Na Gateway wszystko waży tak niewiele, że najprościej i najwygodniej byłoby się poruszać latając, gdyby oczywiście wewnątrz asteroidu starczyło na to miejsca.

Wlecieliśmy więc do kuli i znaleźliśmy się w środku wszechświata. Ściany sali pokrywały sześciokątne płytki, każdą z nich wyświetlano z niewidocznego dla nas źródła, prawdopodobnie cyfrowo na ciekłe kryształy.

— Jak tu ładnie! — zawołała Klara.

Otaczała nas, nazwijmy to, globorama tego, co dotychczas odkryły pionierskie statki. Gwiazdy, mgławice, planety, satelity... Czasem niektóre płytki pokazywały własny obraz, czyli znajdowało się tam — niech się chwilę zastanowię — jakieś 128 odrębnych scen. Pstryk — wszystkie się zmieniają, znowu pstryk — i zaczynają się zmieniać: część pokazuje to samo, inne — zupełnie co innego. Kolejny pstryk — i jedna cała półkula rozświetla się mozaikowym obrazem galaktyki M-31 widzianej... nie wiadomo skąd.

— Słuchaj — powiedziałem mocno przejęty — to naprawdę bomba! — I rzeczywiście. Czuję się, jakbym uczestniczył we wszystkich wyprawach, jakie kiedykolwiek miały miejsce, ale bez wysiłku i uporczywego strachu.

Nie było nikogo oprócz nas, nie rozumiem dlaczego. To było takie ładne. Można by się raczej spodziewać dużej kolejki. Po jednej stronie zaczęły ukazywać się zdjęcia odnalezionych artefaktów — różnokolorowe wachlarze modlitewne, urządzenia do powlekania ścian, wnętrza statków, jakieś tunele, Klara wykrzykiwała, że widziała część z nich na Wenus, choć nie wiem, jak je rozpoznała. Potem znowu zaczęto wyświetlać zdjęcia Kosmosu. Niektóre z nich wydawały mi się znajome. W jednym szybkim sześciu czy ośmiopłytkowym ujęciu rozpoznałem Plejady, obraz znikł, a na jego miejscu ukazała się widziana z Kosmosu Gateway-2. Jej boki błyszczały odbitym światłem jasnych, młodych gwiazd z sąsiedztwa. Zobaczyłem coś, co mogło być Mgławicą Końskiego Łba, był też pierzasty toroid gazu i pyłu, prawdopodobnie Mgławica Pierścienia w konstelacji Liry lub tak zwany Francuski Obwarzanek odkryty parę orbit temu na niebie planety, na której napotkano ślady niedostępnych, znajdujących się pod zamrażniętym morzem tuneli Heechów.

Zostaliśmy tam jakieś pół godziny, dopóki nie zorientowaliśmy się, że chyba oglądamy na powrót te same zdjęcia, pofrunęliśmy wtedy w kierunku wejścia, odwiesiliśmy skrzydła i zrobiliśmy przerwę na papierosa w szerokim tunelu na zewnątrz muzeum.

Minęły nas dwie kobiety, które były chyba z ekipy porządkowej Korporacji, niosły zwinęte, przypinane skrzydła.

— Cześć, Klaro — pozdrowiła nas jedna z nich. — Byliście w środku?

Klara skinęła głową.

— Piękne! — powiedziała.

— Korzystajcie, dopóki można — wtrąciła druga. — W przyszłym tygodniu trzeba będzie za to płacić sto dolarów. Jutro instalujemy w sali piezofony z pogadankami, a uroczyste otwarcie odbędzie się przed najbliższym napływem turystów.

— Warto tyle zapłacić — odpowiedziała Klara i spojrzała na mnie.

Zdałem sobie sprawę, że mimo wszystko paliłem jej papierosa. Nie bardzo mnie było stać na płacenie pięciu dolarów za paczkę, ale postanowiłem kupić choć jedną z tego, co przeznaczyłem sobie na ten dzień, i dopilnować, żeby wzięła ode mnie tyle, ile ja od niej.

— Chcesz jeszcze pochodzić? — spytała.

— Może potem — odpowiedziałem. Zastanawiałem się, ilu ludzi zginęło, by zrobić te śliczne obrazki, które oglądaliśmy. Raz jeszcze, prędzej czy później, będę musiał się poddać morderczej loterii statku Heechów, lub w ogóle dać za wygraną. Ciekaw byłem, czy to, o czym opowiedział mi Miecznikow, rzeczywiście cokolwiek zmieni. Wszyscy już o tym mówili, Korporacja zaplanowała podanie tego do ogólnej wiadomości przez piezofon następnego dnia.

— A, właśnie — przypomniałem sobie. — Mówiłaś, zdaje się, że widziałaś się z Miecznikowem?

— Ciekawa byłam, kiedy o to spytasz — odpowiedziała. — Owszem. Zadzwoił do mnie i powiedział, że pokazywał ci ten materiał o kodzie kolorów. Zesłałam więc i wysłuchałam tego samego. Co o tym myślisz, Bob?

Zgasilem papierosa.

— Podejrzewam, że wszyscy z Gateway rzucą się na dobre loty, to wszystko.

— Ale może Dane coś rzeczywiście wie. Pracuje przecież dla Korporacji.

— Na pewno wie. — Wyciągnąłem się i położyłem na plecach, kołyszając się przy małym ciężeniu. Zastanawiałem się. — To wcale nie jest taki równy chłop. Być może, da nam znać, jeśli trafi się coś dobrego, rozumiesz, coś ekstra, o czym wie. Ale nie za darmo.

Klara uśmiechnęła się.

— No to mi powie.

— Co to znaczy?

— Czasami dzwoni, żeby się ze mną umówić.

— Do diabła! — byłem już mocno zdenerwowany. Nie tylko zresztą z powodu Klary, czy Dane'a. Raczej z powodu pieniędzy. Byłem zły, że jeśli w przyszłym tygodniu zechcę raz jeszcze zajrzeć do okrągłej sali, będzie mnie to kosztowało połowę moich oszczędności. Denerwowała mnie ponura, niewyraźna wizja majacząca w niedalekiej przyszłości, gdy znów będę musiał podjąć decyzję, by zrobić to, co mnie cholernie przerażało. — Nie ufałbym temu skurwysynowi!

— Daj spokój, Bob. Dane nie jest znowu taki zły — powiedziała zapalając następnego papierosa i tak zostawiając paczkę, bym w razie czego mógł po nią sięgnąć. — Pod względem seksualnym może być nawet interesujący. Jest w nim coś nieokrzesanego, gwałtownego, brutalnego, jak zawsze u Byków. A poza tym ty jesteś dla niego równie atrakcyjny jak ja.

— O czym ty mówisz?

Wyglądała na rzeczywiście zaskoczoną.

— Myślałam, że wiesz, on działa na dwie strony.

— Nie dał nigdy tego po sobie poznać. . . — Przerwałem jednak przypominając sobie, jak blisko stał, gdy ze mną rozmawiał, i jak niezręcznie czułem się w jego obecności.

— Może nie jesteś w jego typie — uśmiechnęła się. Tylko, że nie był to przyjemny uśmiech. Wychodząca z muzeum para chińskich robotników spojrzała na nas z zaciekawieniem, a potem uprzejmie odwróciła wzrok.

— Chodźmy stąd — powiedziałem.

Poszliśmy więc do Błękitnego Piekietka i oczywiście uparłem się, by zapłacić za siebie. Czterdzieści osiem dolarów przepłynęło mi przez gardło w ciągu jednej godziny. I wcale nie

było to takie fajne. Wylądowaliśmy znowu u niej i znowu w łóżku. To również nie było takie fajne. Kłótnia ciągle wisiała w powietrzu, gdy skończyliśmy. A czas uciekał.

Są ludzie, którzy nie umieją przekroczyć pewnej bariery w rozwoju emocjonalnym. Potrafią tylko bardzo krótko żyć z partnerem w sposób nieskrępowany i pełen oddania. Coś w środku nie pozwala im jednak na szczęście. Im lepiej mają, tym większą czują potrzebę, by to zniszczyć.

Kiedy razem z Klarą wtoczyłem się po Gateway, zacząłem podejrzewać, że ja też jestem taki. A że Klara jest taka, tego byłem pewien. Nigdy nie potrafiła wytrzymać z żadnym mężczyzną dłużej niż kilka miesięcy, sama mi to powiedziała. Ja już prawie zbliżałem się do jej rekordu. I to ją irytowało.

W dużej mierze Klara była znacznie bardziej dojrzała i odpowiedzialna niż ja. Choćby to, jak dostała się na Gateway. Ona nie wygrała na loterii, by zapłacić za bilet. Pieniądze uszłała przez wiele lat mozolnej pracy i oszczędzania. Była pilotem o pełnych kwalifikacjach, z licencją przewodnika i tytułem inżyniera. Żyła jak robotnik, choć mogła sobie pozwolić na trzypokojowe mieszkanie w tunelach Heechów na Wenus, wakacje na Ziemi i Wyższy Serwis Medyczny. Wiedziała znacznie więcej niż ja o uprawie żywności na substratach węglowodorowych, mimo tych wszystkich lat, które przeżyłem w Wyoming (Zainwestowała w kopalnię żywności na Wenus, a nigdy w życiu nie włożyła złamanego grosza w coś, czego by w pełni nie rozumiała). Na wyprawie była starsza stopniem. Miecznikow ją właśnie chciał do swego statku — jeśli w ogóle kogokolwiek — a nie mnie. Ona była przecież moją instruktorką!

Ale gdy chodzi o nas dwoje, była równie nierozsądna i zawzięta jak ja — z Sylwią, Deeną, Janice, Lizą, Ester lub z jakąkolwiek inną dziewczyną z moich krótkotrwałych romansów, które od czasów Sylwii zawsze kończyły się źle. Według niej dlatego, że była spod znaku Strzelca, a ja Bliźniąt. Strzelcy są przewidujący, kochają wolność. My, biedne Bliźnięta, jesteśmy okropnie zawikłane i niezdecydowane.

— Nic dziwnego — powiedziała z powagą pewnego ranka podczas śniadania w jej pokoju (zgodziłem się tylko na parę łyków kawy) — że nie możesz się zdecydować na kolejną wyprawę. To nie tylko fizyczny strach, drogi Robinette. Część twojej bliźniaczej natury pragnie triumfu. Druga pragnie klęski. Ciekawe, której z nich pozwolisz zwyciężyć?

— Odpieprz się, kochanie — dałem jej wymijającą odpowiedź. Roześmiała się i jakoś przeżyliśmy kolejny dzień. Ale dopięła swego.

Korporacja ogłosiła oficjalnie to, czego oczekiwano, i rozpoczęło się ogromne zamieszanie pełne dyskusji, planów, domysłów i interpretacji. Były to bardzo gorące chwile. Korporacja wybrała z zapasów komputerowych dwadzieścia lotów o niskim zagrożeniu i wysokim wskaźniku przewidywanych zysków. Ludzie zgłosili się, wsiedli na statki i wyruszyli w ciągu tygodnia.

Ja nie polecałem żadnym z nich, Klara też nie, i staraliśmy się na ten temat nie rozmawiać.

Dziwne, ale Dane Miecznikow też nie polecał. Coś wiedział, albo przynajmniej tak twierdził. Może zresztą tylko nie mówił, że nie wie, kiedy go spytałem, popatrzył na mnie jedynie tym swoim groźnym, pogardliwym wzrokiem i nic nie odpowiedział. Nawet Shicky'emu prawie udało się załapać. W ostatniej jednak chwili ubiegł go ten młody Fin, który nigdy nie znalazł kogoś, z kim mógłby się porozumieć. W załodze było czterech Saudyjczyków i wszyscy chcieli być razem, więc wzięli go na piątego. Nie wyruszyła również Louise Forehand, ponieważ czekała zgodnie z umową na powrót kogoś z rodziny. W kantynie Korporacji można było zjeść bez kolejki i na całym naszym korytarzu były wolne pokoje.

— Chyba się wybiorę do psychiatry — powiedziała pewnego wieczoru Klara.

Podskoczyłem. To była niespodzianka. Nawet gorzej — zdrada. Klara wiedziała o moim psychotycznym kłopotcie i co myślę o psychoterapii.

Powstrzymałem się od pierwszych dziesięciu uwag, jakie mi przyszły do głowy — taktycznej: „Bardzo się cieszę, najwyższa pora” hipokrytycznej: „Bardzo się cieszę; chciałbym ci pomóc, tylko powiedz jak”, czy też strategicznej: „Bardzo się cieszę; gdyby mnie na to było stać, też bym się pewnie wybrał”. Zrezygnowałem też z jedynej prawdziwej odpowiedzi, która brzmiałaby następująco: „Rozumiem, że ta decyzja jest formą potępienia mnie za to, że robię ci zamęt w głowie”. W ogóle nie powiedziałem nic i po chwili rzekła:

— Potrzebuję pomocy. Bob. Czuję się zagubiona.

Wzruszyła mnie tym i sięgnąłem po jej dłoń. Pozostawiła ją bezwładną w moim uścisku, ani go nie oddając, ani nie próbując się wyrwać. — Mój profesor od psychologii uważał, że to pierwszy krok, gdy zdajesz sobie sprawę z tego, że masz problem. Ja wiem o tym od dłuższego czasu. Drugi krok — to podjąć decyzję, czy chcesz ten problem mieć nadal, czy też chcesz coś zrobić, by się go pozbyć. Zdecydowałam się na to drugie.

— Dokąd pójdziesz? — zadałem ostrożne pytanie.

— Nie wiem jeszcze. Terapia grupowa nie daje chyba dobrych efektów. Na Głównym Komputerze Korporacji pracuje podobno maszyna psychoanalityczna. To byłoby najtańsze.

— Tanie to nic nie warte — odpowiedziałem. — W młodości spędziłem dwa lata z tymi maszynami. Też miałem ze sobą trochę problemów.

— I od tamtej pory funkcjonujesz już przez dwadzieścia lat — zauważyła słusznie. — Chyba się na to zdecyduje, przynajmniej na razie.

Pogłaskałem ją po dłoni.

— Cokolwiek zrobisz, będziesz miała rację — powiedziałem łagodnie. — Ja też miałem przez cały czas wrażenie, że lepiej by nam było, gdyby udało ci się nieco zapomnieć o tych kompleksach z dzieciństwa. Wszyscy pewnie jesteśmy tacy sami, ale wolałbym, żebyś złościła się na mnie za to, iż jestem taki a nie inny, a nie widząc we mnie swojego ojca czy coś.

Odsunęła się i spojrzała na mnie. Nawet w nikłym blasku metalu Heechów widać było zdziwienie na jej twarzy.

— O czym ty mówisz?

— Jak to? O twoich kłopotach. Musiało cię dużo kosztować przyznanie się przed sobą, że potrzebujesz pomocy.

— Owszem — odpowiedziała. — Tylko ty, zdaje się, nie rozumiesz, na czym ten problem polega. Samo bycie z tobą nie jest problemem. Ty sam możesz być problemem. Już sama nie wiem. Martwi mnie przede wszystkim mój brak zdecydowania. Nie mogę podjąć żadnej decyzji. Tak długo odkładałam ten następny lot, no i poza tym, tylko się nie obrażaj... to, że wybrałam mężczyznę spod znaku Bliźniąt na towarzysza wyprawy...

— Nie znoszę tych astrologicznych bzdur!

— Ty naprawdę masz powikłaną osobowość, dobrze o tym wiesz. A ja już zaczynam na tobie polegać. Nie chcę tak żyć.

Od pewnego czasu obydwojemu nam odechciało się spać, były dwa wyjścia z tej sytuacji. Mogliśmy zacząć wypominać sobie: „A przecież mówiłeś, że mnie kochasz!”, a potem urządzić scenę w stylu „Nie zniosę tego dłużej!”, która zakończyłaby się na powrót w łóżku albo definitywnym rozstaniem, moglibyśmy również zrobić coś, co pozwoliłoby nam zapomnieć

o tym wszystkim. Klara rozumowała najwyraźniej podobnie jak ja, bo wysunąwszy się z haka zaczęła się ubierać.

— Chodźmy do kasyna — powiedziała z promiennym uśmiechem. — Czuje, że dzisiaj będę miała szczęście.

Żadne statki nie stały na Gateway, zabrakło więc turystów. Poszukiwaczy było też niewiele, ponieważ w ostatnich tygodniach sporo ich wyruszyło. Prawie połowa stołów była nieczynna, pokryto je zielonymi pokrowcami. Klara jednak znalazła miejsce, wzięła stosik studolarowych żetonów, a rozdający karty pozwolił mi usiąść przy niej, mimo że nie grałem. — Mówiłam ci, że dzisiaj będę miała szczęście — powiedziała, gdy po dziesięciu minutach zgarnęła ponad dwa tysiące.

— Nieźle ci idzie — zachęciłem ją do dalszej gry, choć ja się bawiłem średnio. Wstałem, by się trochę pokręcić po lokalu. Dane Miecznikow pieczołowicie karmił pięciodolarówkami automat, lecz nie przejawiał zbytnej ochoty do rozmowy. Nikt nie grał w bakarata. Powiedziałem Klarze, że skoczę do Błękitnego Piekiełka na kawę (pięć dolarów, ale w czasach takiego właśnie zastoju potrafili dolewać za darmo). Posłała mi uśmiech nie spuszczać ani na chwilę wzroku z kart.

W Błękitnym Piekiełku Louise Forehand popijała raketówkę z wodą. W zasadzie nie była to prawdziwa raketówka, ale po prostu staroświecka

RAPORT LOTU

Pojazd A3-7. Wyprawa 022D55. Załoga S. Rigney, E. Tsien, M. Sindler.

Czas lotu 18 dni 0 godzin. Osiągnięty cel w pobliżu Ksi Pegaza A.

Resumé: „Wyszliśmy z nadświetlnej na bliskiej orbicie wokół planety w odległości ok. 9 j.a. od słońca. W pobliżu równika odkryliśmy promieniowanie Heechów, mimo że planeta pokryta jest śniegiem. Rigney i Mary Sindler wylądowali tam i z pewnymi trudnościami, ponieważ miejsce to jest górzyste, dotarli do wolnego od śniegu ciepłego obszaru, na którym znajdowała się metaliczna kopuła. Wewnątrz natrafiono na liczne artefakty Heechów, jak na przykład dwa puste lądowiki, sprzęty domowe o nieznanym przeznaczeniu i spiralę grzejną. Udało nam się przetransportować na statek większość mniejszych przedmiotów. Nie powiodło się natomiast całkowite zatrzymanie procesu grzania się spirali, zmniejszyliśmy jedynie natężenie i umieściliśmy ją w lądowniku. Mimo to Mary i Tsien w czasie lotu powrotnego odwodnili się i zapadli na śpiączkę.

Ocena Korporacji: Spirala grzejna poddana została analizie i zrekonstruowana. Załozce przyznano nagrodę 3 mln dolarów. Nagroda 25 000 dol. za każdy kilogram przedmiotów, łącznie 675 000 dol. zaliczone na poczet przyszłego wykorzystania, o ile nastąpi.

biała whisky wyprodukowana z tego, co w tym tygodniu obrodziło w zbiornikach hydroponicznych. Uśmiechnęła się przyjaźnie, więc się do niej przysiadłem.

Nagle zdałem sobie sprawę, że cały czas jest sama. W zasadzie nie miała po temu powodów. Była — choć trudno to nawet określić — jakby jedyną nie agresywną, nie wymagającą i nigdy nie robiącą mi wyrzutów osobą na Gateway. Wszyscy pozostali albo domagali się ode mnie tego, czego nie chciałem dać, albo nie chcieli wziąć tego, co im ofiarowywałem. Louise była zupełnie inna. Była dobre dziesięć lat starsza ode mnie i naprawdę bardzo ładna. Tak jak

ja nosiła jedynie standardowe krótkie kombinezony Korporacji produkowane w trzech mało atrakcyjnych kolorach. Ale przerabiała je na dwuczęściowy komplet z obcisłymi szortami, luźną, wyciętą górą i odsłoniętym brzuchem. Zorientowałem się, że przygląda mi się, jak ją taksuję, i nagle poczułem się nieswojo.

— Fajnie wyglądasz — powiedziałem.

— Dziękuję. To tylko standardowe — pochwaliła się uśmiechem. — Nigdy nie było mnie stać na nic lepszego.

— Odkąd cię znam, zawsze ci to wystarczało — odpowiedziałem szczerze, ona zaś zmieniła temat.

— Podobno wraca jakiś statek — stwierdziła. — Mówią, że wyruszył dawno temu.

Wiedziałem, co to dla niej znaczy i rozumiałem, dlaczego siedzi w Piekiełku, zamiast dawno spać. Wiedziałem też, że martwi się o córkę, ale nie pozwala, by ją to obezwładniało.

Miała idealny stosunek do zawodu poszukiwacza. Bała się wyruszyć, co jest zupełnie zrozumiałe. Ale nie dopuszczała, by strach ją paraliżował, ogromnie to w niej podziwiałem. Teraz, tak jak się umówili, nadal czekała na kogoś z rodziny, by wyruszyć ponownie, w ten sposób wracający zawsze zastawał na Gateway jednego z członków rodziny.

Opowiedziała mi trochę o ich życiu, jeżeli to można nazwać życiem. Mieszkali w pułapkach na turystów, czyli w wenusjańskim Wrzecionie, żyli z tego, co wyciskali z krążowników. Pieniądzy do wzięcia było sporo, ale konkurencja silna. Jak się dowiedziałem, Forehandom udało się nawet pewnego razu założyć klub nocny — z muzyką, danciem, występami. Zda się, że było im wtedy nienajgorzej, przynajmniej jak na wenusjańskie warunki. Lecz przez większość roku przebywało niewielu turystów i wówczas rzucało się na nich mnóstwo innych sępów walczących choćby o ochłapy, tak że nie dla wszystkich starczało. Sess i syn (ten, który zmarł) próbowali pracować jako przewodnicy. Mieli stary aerolot, kupili go po wypadku i odremontowali. Ale nie było z tego dużej forsy. Dziewczyny imiały się wszystkich możliwych zajęć. Byłem wręcz pewien, że przynajmniej Louise przez pewien czas była dziwką, choć też wiele z tego nie wyciągała. Stoczyli się już prawie na dno, zanim udało im się dostać na Gateway.

Nie pierwszy raz tak się męczyli. Musieli się już zdrowo namordować, by najpierw wy dostać się z Ziemi, gdy zrobiło się tam tak źle, że Wenus wyglądała na mniej beznadziejną alternatywę. Mieli w sobie więcej niż ktokolwiek inny odwagi i woli, by rzucić wszystko i polecieć.

— Jak wam się udało zapłacić za podróż dla wszystkich? — spytałem.

— Na Wenus — powiedziała Louise kończąc drinka i patrząc na zegarek — dotarliśmy najtaniej, jak można. Wielkim transportowcem wraz z dwustu dwudziestoma innymi imigrantami. Spaliśmy w zapiętych szelkach, wystawaliśmy w kolejce po to, by spędzić dwie minuty w toalecie, jedliśmy prasowany suchy prowiant i piliśmy wodę z zamkniętego obiegu. Jak na czterdzieści tysięcy za osobę, były to cholernie ciężkie warunki. Na szczęście jeszcze wtedy nie mieliśmy dzieci z wyjątkiem Hata, a on był jeszcze mały, więc za niego płaciło się tylko ćwierć biletu.

— Hat to twój syn? Co... .

— Umarł — odrzekła.

Czekałem na coś jeszcze, ale powiedziała tylko:

— Powinni mieć już łączność radiową z tym statkiem.

— Podaliby wiadomość przez piezofon.

Skinęła głową i przez chwilę wyglądała na zmartwioną. Korporacja zazwyczaj informuje o zbliżeniu się statków. Jeśli łączności brak — wiadomo — zmarłym trudno ją nawiązać. Więc starając się odegnać jej smutne myśli opowiedziałem o postanowieniu Klary. Wysłuchała mnie i kładąc mi rękę na dłoni spytała:

— Nie złość się na mnie, Bob, ale czy ty sam nie myślałeś kiedyś o tym, by porozmawiać z psychiatrą?

— Nie stać mnie na to.

— Nawet na grupę? Na Poziomie Zakochanych jest zespół terapii Janova. Czasem ich słychać. Widziałam też ogłoszenia innych grup — analiza transakcyjna, Est, odwzorowywanie. Oczywiście wiele z nich może już nie istnieć, bo członkowie wylecieli.

Jednakże uwagę skupiała nie na mnie. Z naszego miejsca widać było wejście do kasyna, jeden z krupierów z zaciekawieniem rozmawiał z członkiem załogi chińskiego krążownika. Louise patrzyła w ich stronę.

— Coś się dzieje — powiedziałem. — Miałem jeszcze dodać: „Chodźmy zobaczyć”, ale ona już wstała i szła w kierunku kasyna.

Grę przerwano. Wszyscy skupili się wokół stolika do gry w oko. Dane Miecznikow siedział na zwolnionym przeze mnie miejscu obok Klary mając przed sobą kilka dwudziestopięciodolarowych żetonów. Pośrodku, na stołku rozdającego karty rozsiadł się Shicky. — Nie — mówił, gdy podchodziłem — nie znam nazwisk, ale to Piątka.

— Czy jeszcze żyją? — spytał ktoś.

— O ile wiem, to tak. Cześć! — uprzejmie skinął głową w naszym kierunku. — Już słyszeliście, jak widzę.

— Właściwie to nie — powiedziała Louise, mimowolnie sięgając po moją rękę. — Tyle tylko, że wrócił jakiś statek. Ale nie znasz nazwisk?

Dane Miecznikow odwrócił głowę obrzucając ją wściekłym spojrzeniem. — Kogo obchodzi nazwiska? — warknął. — Najważniejsze, że to nikt z nas. A poza tym to duży statek. — Podniósł się. Jeszcze wyraźniej było widać, jak bardzo jest zły, zapomniał nawet zabrać ze stołu żetony. — Idę tam — oświadczył. — Chciałbym zobaczyć, jak wygląda życiowy sukces.

Ludzie z krążowników otoczyli lądowisko, ale jednym ze strażników był Francy Hereira. Wokół zlotni tłoczyła się jakaś setka ludzi, a stawał im czoła jedynie Hereira i dwie dziewczyny z amerykańskiego krążownika. Miecznikow rzucił się ku wylotowi szybu usiłując coś zobaczyć, zanim jedna z dziewcząt zdążyła go przegonić. Widzieliśmy, jak rozmawia z jakimś pięciobransoletkowym poszukiwaczem. W międzyczasie wyłapywaliśmy strzępy plotek.

— ...omal nie zginęli. Zabrakło im wody. ...

— ...Są tylko wycieńczeni. Nic im nie będzie. ...

— ...Dziesięć milionów dolarów premii, co do grosza, no i jeszcze procenty!

Klara wzięła Louise pod rękę i pociągnęła ją do przodu. Przepchałem się za nimi. — Czy wiadomo, czyj to statek? — spytała.

Hereira posłał jej nikły uśmiech i skinął głową w moim kierunku.

— Jeszcze nie — powiedział. — Właśnie to sprawdzają.

— Co znaleźli? — krzyknął ktoś z tyłu.

— O ile wiem, nowe artefakty.

— Ale to była Piątka? — spytała Klara.

Hereira przytaknął, potem zajrzał w dół.

— Dosyć już, przyjaciele — powiedział. — Teraz proszę się cofnąć. Zaraz zaczną ich wyprowadzać.

Cofnęliśmy się odrobinę, ale było to i tak bez znaczenia, nie wyprowadzano ich na naszym poziomie. Pierwszy wyjechał jakiś ważniak z Korporacji, którego nazwiska nie mogłem sobie przypomnieć, później chiński strażnik, potem sanitariusze pomagający mężczyźnie w szpitalnym kitlu. Skądś znałem jego twarz, ale nie pamiętałem, jak się nazywa, widziałem go na jakimś pożegnalnym przyjęciu, może zresztą na niejednym. Był to niewysoki, starszy Murzyn, który latał już dwa lub trzy razy, ale bez sukcesów. Teraz miał oczy otwarte, nawet wyraziste, lecz wyglądał na krańcowo wycieńczonego. Obojętnie popatrzył na tłum zebranych wokół wejścia do zlotni, a potem zniknął z oczu.

Odwróciłem się i zobaczyłem, że Louise miała przymknięte oczy i cicho płakała. Klara otoczyła ją ramieniem. Przesuwając się wraz z tłumem dotarłem do nich i spojrzałem na Klarę pytająco.

— To Piątka — odpowiedziała cicho. — Jej córka była w Trójce.

Wiedziałem, że Louise to usłyszała, więc pogłaskałem ją i rzekłem, że bardzo mi przykro. I wtedy uchylił się otwór szybu i spojrzałem w dół.

Udało mi się w mgnieniu oka zauważyć, jak wygląda dziesięć czy dwadzieścia milionów dolarów. Była to sterta sześciokątnych skrzynek z metalu Heechów, nie szerszych niż pół metra i całkiem niskich. Potem usłyszałem, jak Franczy Hereira prosi, żebym się cofnął. Odsunąłem się więc od szybu i wtedy wyłoniła się następna osoba w szpitalnym uniformie. Nie zauważyła mnie, miała zamknięte oczy. Ale ja ją poznałem. To była Sheri.

Rozdział dwudziesty pierwszy

— Czuję się jak idiota, Sigfrid — mówię.

— Co mógłbym zrobić, żebyś się poczuł swobodniej?

— Wypchaj się! — O Boże! Wymalował cały pokój w obrazki dla dzieci. Ale najgorszy w tym wszystkim jest on sam. Tym razem wypróbuję na mnie rolę matki. Siedzi obok na materacu — duża, wypchana lalka o ludzkich rozmiarach, ciepła, miękka, uszyta z czegoś, co przypomina wypełniony gąbką ręcznik. Bardzo to przyjemne, ale... — Wiesz co? Nie chcę, żebyś mnie traktował jak dziecko — mówię stłumionym głosem, ponieważ wtulam twarz w materiał.

— Rozpręż się, Robbie. Wszystko jest w porządku.

— Jak cholera.

Przerywa na chwilę.

— Miałeś mi opowiedzieć o swoim śnie — przypomina.

— Ach, tak.

— Nie usłyszałem.

— Tak naprawdę, to nie chcę o tym rozmawiać. Ale — dodaję szybko odsuwając twarz od materiału — nie szkodzi, mogę opowiedzieć. To było jakoś o Sylwii.

— Co to znaczy „jakoś”?

— Nie wyglądała dokładnie tak jak ona. Raczej jak... bo ja wiem, była chyba starsza. Już naprawdę dawno nie myślałem o Sylwii. Obydwoje byliśmy wtedy dziećmi.

— Mów dalej — odpowiada po chwili.

Przytulam się do niego i mam chyba odpowiednio zadowolony wyraz twarzy, gdy przyglądam się wymalowanym na ścianie zwierzętom i

Ruszajmy dalej, tam, gdzie się skryli.
W bezdenne jaskinie gwiazd!
Ślizgiem tunelu, którym pędzili.
Heechowie, prowadźcie nas!
Pewnego dnia znajdziemy cię.
Mały zgubiony Heechu, szykuj się!

klownom. Nie przypomina to w ogóle żadnej mojej sypialni z dzieciństwa, ale Sigfrid zna mnie już na tyle, że nie muszę tego mówić.

— No i co z tym snem?

— Śniło mi się, że pracowaliśmy w kopalni. Nie była to chyba kopalnia żywności. Z wyglądu przypominała raczej wnętrze Piątki — jednego z rodzajów statków na Gateway. Sylwia znajdowała się w tunelu, który ciągnął się w głąb.

— Tunel się ciągnął?

— Spokojnie, tylko nie próbuj mi tu przypisać jakiejś symboliki. Słyszałem o wyobrażeniach waginalnych i tym podobnych. Kiedy mówię „ciągnął się”, mam na myśli to, że tunel zaczynał się w miejscu, gdzie ja byłem i biegł dalej. — Przerывam na chwilę i wyrzucam z siebie to, co najtrudniejsze: — Potem tunel zapadł się. Sylwia znalazła się w pułapce.

Siadam.

— Jest tylko jedna dziwna sprawa — wyjaśniam. — Coś takiego nie mogło się w rzeczywistości zdarzyć. Tunel robi się po to, by założyć ładunek, który rozłupie ił. Reszta pracy to tylko kopanie. Sylwia nigdy by się nie znalazła w takiej sytuacji.

— Mam wrażenie, Robbie, że nie ma większego znaczenia, czy to się rzeczywiście mogło zdarzyć.

— Pewnie masz rację. A więc Sylwia została odcięta w zawałonym tunelu. Widziałem, jak sterta iłu porusza się. Chociaż to w zasadzie nie był ił. To było coś puszystego, bardziej podobnego do góry skrawków papieru. Miała łopatę i kopała sobie wyjście. Pomyślałem, że wszystko będzie w porządku. Szło jej dobrze. Czekałem na nią. . . tylko, że się nie wydostała.

Sigfrid w swoim wcieleniu pluszowego misia, ciepły i spokojny, spoczywa w moich ramionach. Jest mi przyjemnie. Oczywiście tak naprawdę, to on nie jest w środku kukły. Chyba w ogóle nie ma go nigdzie, może jedynie w centralnym banku danych w Waszyngtonie, w którym zainstalowane są wszystkie duże maszyny. Ja rozmawiam tylko z odległą końcówką, przebraną za niedźwiadka.

— Czy chcesz coś jeszcze dodać, Robbie?

— Chyba nie. W każdym razie na pewno nie o śnie. Ale mam wrażenie, czuję się, jakbym kopnął Klarę w głowę, by nie pozwolić jej wyjść. Tak jakbym się bał, że reszta tunelu zawali się na mnie.

— Co to znaczy, że masz wrażenie?

— No, to, co powiedziałem. Tego nie było we śnie, ale tak się po prostu czułem.

Czeka przez moment.

— Czy zdajesz sobie sprawę z tego — zagaduje inaczej — że powiedziałeś „Klara” zamiast „Sylwia”?

— Naprawdę? Śmieszne. Ciekawe dlaczego.

Znowu czeka i próbuje mnie przycisnąć.

— A co się stało potem?

— Obudziłem się.

Przewracam się na plecy i spoglądam na sufit wyłożony kwadracikami z tkaniny i pokryty błyszczącymi pięcioramiennymi gwiazdkami. — To wszystko — mówię. Potem dodaję od niechcenia: — Czy to nas dokądkolwiek prowadzi?

— Nie wiem. Rob, czy potrafisz odpowiedzieć na to pytanie.

— Gdybyś potrafił — mówię — zmusiłbym cię do tego wcześniej. — Ciągłe mam przy sobie karteczkę od S. Laworowny, w pewnym sensie daje mi ona poczucie bezpieczeństwa, które tak sobie cenię.

— Myślę — stwierdza — że chyba do czegoś nas to może doprowadzić. Uważam, że w twojej pamięci tkwi coś, o czym nie chcesz myśleć, a do czego odnosi się ten sen.

— Czyżby to miało jakiś związek z Sylwią? Przecież to było już tyle lat temu.

— To chyba nie ma większego znaczenia.

— Do diabła! Naprawdę mam już ciebie dość. — Po chwili jednak się reflektuję. — Popatrz, zaczynam się złościć. A to coś znaczy?

— A jak myślisz?

— Gdybym wiedział, nie pytałbym się ciebie. Czyżbym zaczynał przyznawać się do winy? Czy złość się, bo czegoś się domyślasz?

— Proszę cię, nie zastanawiaj się nad tym całym procesem. Powiedz mi tylko, co czujesz?

— Winę — mówię natychmiast, nie uświadamiając sobie, że właśnie to zamierzałem powiedzieć.

— Winę za co?

— Winę za... sam nie wiem. — Podnoszę rękę, by spojrzeć na zegarek. Zostało nam jeszcze dwadzieścia minut. Diabli wiedzą, co się może jeszcze stać przez dwadzieścia minut i zastanawiam się, czy rzeczywiście pragnę jakiegoś wstrząsu. Mam dzisiaj po południu grać w duplikata i jest duża szansa, że przejdę do finału. Jeśli nie nawalę. Jeśli będę umiał się skoncentrować.

— Chyba muszę wyjść dzisiaj wcześniej — mówię.

— Winę za co, Rob?

— Nie bardzo już pamiętam — gładzę go po pluszowej szyi. Chichoczę. — To całkiem fajne, Sigfrid, choć trochę czasu minęło, zanim się przyzwyczaiłem.

— Winę za co, Rob?

— Za zamordowanie jej, idioto! — wrzeszczę w końcu.

— We śnie?

— Nie! W rzeczywistości. Dwa razy.

Zdaję sobie sprawę z tego, że oddycham z trudem i wiem, że czujniki Sigfrida to rejestrują. Usiłuję zapanować nad sobą, by mu nie przyszły do głowy jakieś idiotyczne pomysły. Jeszcze raz, porządkując myśli, przypominam sobie to, co powiedziałem. — Tak naprawdę, to jej nie zamordowałem. Ale próbowałem! Goniłem za nią z nożem!

— W opisie twego przypadku rzeczywiście powiedziane jest, że w czasie kłótni z przyjaciółką miałeś w rękę nóż — Sigfrid wciąż ma głos spokojny i podtrzymujący na duchu. — Nie jest natomiast powiedziane, że „za nią goniłeś”.

— A jak myślisz, dlaczego mnie zamknęli? To istny cud, że nie poderżnąłem jej gardła.

— Czy w ogóle użyłeś noża?

— Skądże. Byłem zbyt wściekły. Rzuciłem go na podłogę, wstałem i zacząłem ją tłuc.

— Czy nie posłużyłbyś się nim, gdybyś rzeczywiście próbował ją zamordować?

— Ach! — Tylko, że brzmi to bardziej jak „hm” — szkoda, że ciebie tam nie było. Może byś ich przekonał, żeby mnie nie zamykali.

To całe spotkanie zaczyna mnie już złościć. Wiem, że robię błąd opowiadając mu o swoich snach. Zawsze je przekręca. Siadam z pogardą rozglądając się po tym idiotycznym wnętrzu, które Sigfrid dla mnie urządził, i postanawiam wygarnąć mu prosto z mostu.

— Sigfrid — mówię — jak na maszynę fajny z ciebie gość i mam pewną intelektualną satysfakcję z tych naszych rozmów. Teraz rozdrapujesz tylko stare, przyschnięte rany i zastanawiam się, dlaczego pozwalam ci to robić.

— Twoje sny pełne są bólu. Bob.

— Więc niech ból pozostanie w snach. Nie chcę wracać do tych cholernych bzdur, którymi karmili mnie w Instytucie. Może rzeczywiście chciałbym się przespać z moją matką. Może naprawdę nienawidzę ojca, bo umarł i mnie osierocił. No i co?

— Rozumiem, że to pytanie retoryczne. Rzeczy takie trzeba jednak nazywać po imieniu.

— Po co? Żeby bolało?

— Żeby wyciągnąć drzazgę, która tkwi w środku.

— Może prościej byłoby to zostawić, tak jak jest? Sam twierdzisz, że nie brak mi kompensacji. Nie mówię, że mi te spotkania nic nie dają. Czasami, owszem, wychodzę stąd i mam głowę pełną nowych pomysłów, a słońce świeci jaśniej, powietrze jest czystsze i wszyscy zdają się do mnie uśmiechać. Ostatnio jednak tak nie było. Myślę, że spotkania nasze były nudne i nieproduktywne, co byś powiedział na to, żeby skończyć z tym wszystkim?

— Uważałbym, tak jak zawsze, że decyzja należy do ciebie.

— Więc może tak zrobię. — Stary drań usiłuje mnie przetrzymać. Wie, że się nie zdecyduję, i chce mi dać czas, bym sam sobie z tego zdał sprawę.

— Dlaczego powiedziałeś, że zamordowałeś ją dwukrotnie? — pyta po chwili.

Spoglądam wpierw na zegarek.

— To chyba było przejęzyczenie. Ale teraz już naprawdę muszę iść.

Mam niewiele do roboty w pokoju rekreacyjnym, ponieważ nie było w zasadzie po czym przychodzić do siebie. Po prostu chciałem się stamtąd wydostać, uciec od niego i jego idiotycznych pytań. Tak się mądrzy i wywyższa, ale cóż w końcu może wiedzieć pluszowy niedźwiadek?

Rozdział dwudziesty drugi

Tego wieczoru wróciłem do siebie i długo nie mogłem zasnąć. A na dodatek Shicky zbudził mnie wcześniej rano, by opowiedzieć, co się działo. Przeżyły tylko trzy osoby i ogłoszono już ich podstawową nagrodę: — siedemnaście milionów pięćset pięćdziesiąt tysięcy. Na poczet tantiem.

To wypłoszyło ze mnie resztki snu.

— Za co? — spytałem.

— Za dwadzieścia trzy kilo artefaktów — odpowiedział. — Wyglądają na zestaw narzędzi. Być może do naprawy statku, bo znaleziono je w ładowniku pozostawionym na jakiejś planecie. W każdym razie — są to jakieś narzędzia.

— Narzędzia — powtórzyłem. Wstałem i pozbyłem się Shicky'ego, myśląc o nich począpałem w kierunku zbiorowego prysznicza. Narzędzia, to było coś! Mogły znaczyć możliwość otwarcia układu napędowego w statku Heechów bez wysadzenia wszystkiego w powietrze, a także odkrycie zasady działania tego układu i powielenie go. Narzędzia mogły oznaczać prawie wszystko, ale z pewnością znaczyły siedemnaście milionów pięćset pięćdziesiąt tysięcy dolarów gotówką, nie licząc procentów, podzielone między trzy osoby.

Jedną z tych osób mogłem być ja.

Niełatwo jest człowiekowi nie myśleć o pięciu milionach osiemset pięćdziesięciu tysiącach dolarów (nie licząc procentów) kiedy wie, że gdyby tylko był nieco bardziej przewidujący w wyborze dziewczyny, miałby tę sumę w kieszeni. Niech będzie to sześć milionów. Za mniej niż połowę mógłbym w moim wieku i przy moim stanie zdrowia całkowicie opłacić Pełny Serwis Medyczny, to znaczy wszystkie badania, leczenie, wymianę

UWAGI O GWIAZDACH NEUTRONOWYCH

Dr Asmenion: Zajmijmy się teraz gwiazda, która zużyła całe swe paliwo i zapada się. Mówiąc „zapada się” rozumiem, że to coś, co na początku ma być może masę i objętość Słońca, kurczy się do kulki o co najwyżej dziesięciokilometrowej średnicy. A to już jest duża gęstość. Wyobraź sobie, Susie, że czubek twojego nosa jest zrobiony z tego, co gwiazdy neutronowe. Ważyłby wtedy więcej niż Gateway.

Pytanie: A może nawet więcej niż ty?

Dr Asmenion: Tylko bez dowcipów. Nauczyciel to istota bardzo wrażliwa. A więc zrobione z bliska badania gwiazdy neutronowej byłyby bardzo ważne, nie radzę się jednak do niej zbliżać w lądowniku. Do czegoś takiego potrzeba opancerzonej Piątki, a i w niej należałoby raczej zachować odległość nie mniejszą niż 0,1 j. a. I trzeba być naprawdę ostrożnym. Zdawać się wam będzie, że dalibyście radę dolecieć bliżej, ale skok grawitacyjny jest bardzo duży. To praktycznie punktowe źródło energii — występuje tu bowiem najostrejszy gradient grawitacji, ostrzejszy oczywiście występuje w czarnej dziurze, ale może Bóg da, że tego nigdy nie doświadczycie.

tkanek i przeszczepy, które udałoby się jeszcze we mnie wepchnąć. . . Przedłużyłyby one mój żywot o co najmniej pięćdziesiąt lat wobec tego, czego się mogę spodziewać bez serwisu. Za pozostałe trzy miliony mógłbym kupić parę domów, kontrakt wykładowcy (największe wzięcie mają właśnie poszukiwacze, którym się powiodło), stały dochód za reklamówki w piezowizji, kobiety, jedzenie, samochody, podróże, kobiety, sławę, kobiety. . . no i oczywiście były jeszcze procenty. Ich wysokość, suma często dość pokaźna, zależała od tego, czego ludziom z Wydziału Badań i Studiów udałoby się dokonać z tymi narzędziami. Znalezisko Sheri to była właśnie Gateway: skarb na krańcu tęczy!

Do szpitala dotarłem dopiero po godzinie, musiałem pokonać trzy segmenty tunelu i pięć poziomów w zlotni. Ciągle zmieniałem postanowienie i zawracałem.

Kiedy w końcu przewyciężyłem zawiść (czy raczej skryłem ją tak, by nie dało jej się zauważyć) i znalazłem się w rejestracji, Sheri spała. — Możesz wejść — powiedziała siostra oddziałowa.

— Nie chciałem jej budzić.

— Chyba ci się nie uda — odpowiedziała. — No, ale nie staraj się za bardzo. Może już zresztą przyjmować gości.

Leżała na dole trzypiętrowego łóżka w dwunastoosobowej sali. Zajęte były jeszcze jakieś trzy czy cztery miejsca, dwa z nich oddzielała zasłona z mlecznego plastiku, przez którą majaczyły jedynie niewyraźne kontury. Nie wiedziałem, kto tam leżał. Sheri zdawała się spokojnie odpoczywać z głową na ramieniu, jej śliczne oczy były zamknięte, a broda z dołeczkiem opierała się na przegubie dłoni. Pozostali dwaj towarzysze wyprawy znajdowali się w tej samej sali, jeden z nich spał, drugi siedział przed holobrazem pierścieni Saturna. Spotkałem go wcześniej może raz czy dwa, był Kubańczykiem, Wenezuelczykiem czy czymś w tym rodzaju, mieszkającym w New Jersey. Pamiętałem jedynie, że ma na imię Manny. Pogadaliśmy przez chwilę i obiecał powiedzieć Sheri, że byłem. Rozmyślając o ich wyprawie wyszedłem do kantyny na kawę.

Dotarli w okolice niewielkiej zimnej planety, opodal pomarańczowo-czerwonego ogarka gwiazdy klasy K-6.1 według tego, co mówił Manny, nie mieli nawet pewności, czy warto było sobie zagracać głowę lądowaniem. Pomiar wykazywał promieniowanie metalu Heechów, ale niewielkie prawie całe dochodziło spod śnieżnej pokrywy dwutlenku węgla. Manny pozostał na orbicie Sheri i jej trzech towarzysze wylądowali na planecie, odnaleźli korytarze Heechów i kiedy z trudem dostali się do środka, okazały się jak zwykle puste. Później wykryli kolejny ślad promieniowania i natknęli się na stary lądownik, który musieli otwierać materiałem wybuchowym. W czasie tej operacji skafandry dwóch poszukiwaczy uległy uszkodzeniu — chyba znaleźli się zbyt blisko wybuchu. Zanim zorientowali się, że coś jest nie tak, było już za późno. Zamarzli. Sheri i jej towarzysz próbowali przetransportować ich do własnego lądownika, było to z pewnością przykre i przerażające, a i tak musieli w końcu dać za wygraną. Mężczyzna wrócił raz jeszcze do opuszczonego lądownika i odnalazł tam zestaw narzędzi, który udało mu się donieść do swojego. Potem odlecieli pozostawiając ciała zamarzniętych. Cała ta eskapada trwała jednak dłużej niż limit czasu, kiedy więc połączyli się z orbitującym statkiem, byli wykończeni. Nie bardzo zrozumiałem, co się stało potem, ale najwidoczniej nie zabezpieczyli zapasów tlenu w lądowniku po drodze sporo go stracili. Całą podróż powrotną odbyli na zmniejszonych racjach tlenowych. Drugi mężczyzna miał się znacznie gorzej niż Sheri. Istniało duże prawdopodobieństwo miejscowych uszkodzeń mózgu i te pięć milionów osiemset pięćdziesiąt tysięcy mogło mu się nie na wiele przydać. Z Sheri podobno miało być wszystko w porządku, była tylko ogromnie wyczerpana.

Nie zazdrościłem im tej wyprawy — zazdrościłem jedynie nagrody.

Podniosłem się i wziąłem sobie następny kubek kawy. Kiedy wyszedłem z nim na korytarz, gdzie pod skrzynką z bluszczem stało kilka ławek, zdałem sobie sprawę, że coś mnie gryzie. Chyba to, że tak im się powiodło i że wyprawa była jednym z większych sukcesów w historii Gateway.

Wcisnąłem kubek z kawą do otworu na śmieci i ruszyłem w kierunku sali wykładowej. Znajdowała się niedaleko, a w środku nie było nikogo. Odpowiadało mi to — nie miałem jeszcze ochoty rozmawiać o tym, co mnie gryzło. Nastawiłem piezofon na odczyt danych i otrzymałem ustawienie wyprawy Sheri, dane były oczywiście ogólnie dostępne. Zszedłem potem do kapsuły treningowej i znowu miałem szczęście, ponieważ tam też nikogo nie było. Wykręciłem to ustawienie na selektorze kursów. Natychmiast uzyskałem odpowiedni kolor i kiedy nacisnąłem dostrajacz, cały ekran stał się jaskrawo różowy, z wyjątkiem tęczy barw wzdłuż jednego boku.

Na niebieskiej części widma znajdowała się tylko jedna ciemna linia.

Oto, pomyślałem, koniec teorii Miecznikowa o bezpiecznych kursach. Stracili 40
 A co z żółtym?

Według Miecznikowa, im więcej jasnych pasków na żółtym, tym wyższa nagroda.

Ale tutaj na żółtym żadnych jasnych pasków nie było. Tylko dwie grube czarne linie „absorpcyjne”. To wszystko.

Wyłączyłem selektor i usiadłem wygodnie. A więc mądre głowy znowu wypuściły i ogłosiły jakąś lipę. To, co uznały za wskaźnik bezpieczeństwa, wcale nie oznaczało, że człowiek może czuć się bezpiecznie, zaś to, co ich zdaniem było zapowiedzią dobrych zysków, nie miało się w żaden sposób do wyprawy, która jako pierwsza od ponad roku wróciła naprawdę bogata.

I znowu wszyscy mają równe szanse. I znowu człowiek będzie się bać.

Przez następne parę dni trzymałem się z dala od ludzi.

Wewnątrz Gateway jest podobno osiemset kilometrów tuneli. Trudno sobie wyobrazić, że jest ich aż tyle, gdy widzi się okruch skalny mający co najwyżej dziesięć kilometrów średnicy. Mimo to wolna przestrzeń stanowi

UWAGI O WACHLARZACH MODLITEWNYCH

Pytanie: Nie powiedziałaś nam nic o wachlarzach modlitewnych, a jest to przecież najczęściej spotykany artefakt.

Profesor Hegramet: A co chciałabyś usłyszeć?

Pytanie: Wiemy jedynie, jak wyglądają. Przypominają zwinięty rożek do lodów z wielobarwnego kryształu. Gdy się go trzyma w rękę i naciska kciukiem, otwiera się jak wachlarz.

Profesor Hegramet: Tyle to i ja wiem. Były one poddawane analizom podobnie jak ogniaste perły i krwiste diamenty. Ale nie potrafię powiedzieć, do czego służyły. Trudno mi wyobrazić sobie, że Heechowie się nimi wachlowali, lub że się modlili, nazwę tę wymyślili handlarze pamiątek. Heechowie pozostawiali je wszędzie, nawet, gdy wszystko inne usuwali, Pewno mieli w tym jakiś cel. Ja nie mam pojęcia jaki, ale jeśli kiedyś uda mi się go odkryć, nie omieszkać wam powiedzieć.

jedynie około dwóch procent asteroidu, na resztę składa się lita skała. Zwiedzałem bardzo wiele z tych tuneli.

Nie znaczy to, że całkowicie się odciąłem od ludzi — po prostu nie szukałem towarzystwa. Czasami spotykałem się z Klarą, spacerowałem też z Shickym, kiedy miał wolne — chociaż go to męczyło. Czasami chodziłem sam, czasem z przypadkowo spotkanymi przyjaciółmi lub wtoczyłem się za grupą turystów. Przewodnicy znali mnie i nie mieli nic przeciwko memu towarzystwu (mimo, że nie miałem bransolety, uczestniczyłem, bądź co bądź, w jednej wyprawie), dopóki nie przyszło im do głowy, że sam chciałbym zostać przewodnikiem. Wtedy przestali być tacy życzliwi.

Mieli rację, rzeczywiście się nad tym zastanawiałem. Prędzej czy później musiałem się na coś zdecydować. Mogłem albo wyruszyć ponownie, albo wrócić do domu. A jeśli chciałem odłożyć na później wybór jednej z tych dwu równie przerażających wizji, powinienem przynajmniej zdobyć pieniądze na pokrycie bieżących wydatków.

Po wyjściu Sheri ze szpitala wydaliśmy dla niej fantastyczne przyjęcie, które było jednocześnie powitaniem, gratulacjami i pożegnaniem, ponieważ następnego dnia odlatywała na Ziemię. Była jeszcze nieco osłabiona, ale radosna, nie bardzo mogła tańczyć, przesiadaliśmy więc na korytarzu ponad pół godziny. Przytulając mnie obiecywała, że będzie za mną tęsknić. Byłem nieźle pijany. Przyszło mi to bez trudu, ponieważ alkohol był za darmo, za wszystko płacili Sheri i jej kubański przyjaciel. Spałem się tak, że w ogóle nie pożegnałem się z Sheri, bo musiałem lecieć do toalety, żeby puścić pawia. Choć byłem schlany, zrozumiałem swoją stratę, była to oryginalna szkocka whisky ze Szkocji „Gleneagle”, a nie jakieś tam miejscowe świństwo, pędzone Bóg raczy wiedzieć z czego.

Kiedy się tego pozbyłem, przejaśniało mi w głowie. Wyszedłem na zewnątrz, oparłem się o ścianę zanurzwszy twarz w bluszczu i ciężko oddychałem. Kiedy w końcu do krwi dostała

mi się dostateczna ilość tlenu, rozpoznałem Francy Hereirę, który stał obok mnie. Zdołałem nawet wykrztusić:

— Cześć!

Uśmiechnął się przepaszająco.

— Ten zapach nieco mi przeszkadza.

— Przykro mi — powiedziałem obruszony, a on wyglądał na zaskoczonego.

— O co ci chodzi? Chciałem powiedzieć, że na krążowniku jest już wystarczająco okropnie, ale za każdym razem, kiedy schodzę na Gateway, zastanawiam się, jak wy to znosicie. A w pokojach — tfu!

— Nic nie szkodzi — powiedziałem wspaniałomyślnie, klepiąc go po ramieniu. — Muszę się pożegnać z Sheri.

— Nie ma jej już. Zmęczyła się i zabrali ją do szpitala.

— Zatem — rzekłem — powiem dobranoc tylko tobie. — Skłoniłem się i ruszyłem chwiejnym krokiem wzdłuż tunelu. Trudno się chodzi po pijanemu przy sile przyciągania bliskiej zera, człowiek tęskni do stukilowego ciężaru, który przytrzymałby go mocno przy ziemi. Z tego, co mi potem opowiedziano, dowiedziałem się, że ściągnąłem ze ściany sporą półkę z bluszczem, a z tego, co czułem następnego ranka, wywnioskowałem, że musiałem uderzyć głową w coś na tyle twardego, że zostawiło to na niej fioletowy siniak wielkości ucha. Zdałem sobie sprawę, że Francy idzie za mną i pomaga mi utrzymać kierunek, a mniej więcej w połowie drogi zorientowałem się, że po mojej drugiej stronie jest jeszcze ktoś. Spojrzałem: była to Klara. Bardzo mgliście pamiętam, jak kładziono mnie do łóżka, a kiedy następnego ranka obudziłem się potwornie skacowany, byłem zaskoczony widząc ją obok siebie.

Wstałem i starając się jak najmniej hałasować ruszyłem w kierunku łazienki czując ogromną potrzebę zwrócenia dalszej porcji alkoholu. Zajął mi to sporo czasu i zakończyłem sprawę kolejnym prysznicem — drugim w ciągu czterech dni, co przy stanie moich finansów było szaloną ekstrawagancją. Poczulem się jednak nieco lepiej i kiedy wróciłem do pokoju. Klara

RAPORT KORPORACJI: ORBITA 37

W tym okresie powróciły 74 statki z ogólną liczbą 216 osób. Za zaginione uznano 20 kolejnych statków z 54 członkami załogi. Ponadto podczas wypraw zginęło lub zmarło na skutek odniesionych obrażeń 19 poszukiwaczy, których statki powróciły. Trzy z nich nie nadają się, ze względu na stopień uszkodzenia, do dalszej eksploatacji.

Raporty lądowań — 19. Na pięciu ze zbadanych planet występuje życie na poziomie mikroskopowym lub wyższym, na jednej zaobserwowano zorganizowane życie roślinne lub zwierzęce, na żadnej nie odnaleziono istot inteligentnych.

Artefakty: Przywieziono kolejne próbki znanych nam urządzeń Heechów. Nie odkryto artefaktów innego pochodzenia ani nowych typów artefaktów.

Próbki: 145 chemicznych lub mineralnych. Żadna z nich nie uzasadnia podjęcia eksploatacji. 31 żywych organicznych. Trzy z nich, uznane za niebezpieczne, zostały porzucone w Kosmosie. Żadna nie posiada wartości uzasadniających eksploatację.

Nagrody naukowe: 8 754 000 dol.

Inne nagrody pieniężne wypłacone w tym czasie (łącznie z procentami): 357 856 000 dol. Nagrody i procenty za nowe odkrycia (wyłączając nagrody naukowe): 0.

Personel stacjonujący lub opuszczający Gateway w tym czasie: 151. Osoby, które zginęły w wypadkach: 75 (w tym dwie podczas ćwiczeń w lądowniku). Osoby medycznie niesprawne pod koniec roku: 84. Straty całkowite — 310.

Nowy personel, który przybył w ww. okresie: 415. Powracający na stanowiska: 66. Ogólny wzrost zatrudnienia: 481. Przyrost personelu netto: 171.

była już na nogach, przyniosła skądś herbatę, prawdopodobnie od Shicky'ego, i czekała na mnie.

— Dziękuję — powiedziałem ze szczerą wdzięcznością. Byłem całkowicie odwodniony.

— Pij po jednym łyeczku, staruszk — poradziła z troską, ale i tak sam dobrze wiedziałem, że nie mogę żołądka do niczego zmuszać. Udało mi się wypić dwa łyki, po czym znowu wyciągnąłem się w hamaku, lecz wtedy byłem już prawie pewien, że wyżyję.

— Nie spodziewałem się ciebie tutaj.

— Byłeś cokolwiek natarczywy — odrzekła. — A nie wychodziło ci najlepiej, choć miałeś ogromną ochotę.

— Bardzo mi przykro.

Wyciągnęła dłoń i ścisnęła moją stopę.

— Nie przejmuj się. Co porabiałeś?

— Jakoś tam było. Bardzo miłe przyjęcie. Ale chyba cię tam nie widziałem.

Potrząsnęła głową.

— Przyszłam późno. A jeśli chodzi o ścisłość — nie byłam zaproszona.

Nie odpowiedziałem, wyczuwałem, że Klara i Sheri nie lubią się zbyt, prawdopodobnie ze względu na mnie. — Nigdy nie interesowały mnie Skorpiony — zaczęła Klara czytając w moich myślach. — Szczególnie takie nie całkiem dojrzałe z obrzydliwą, ogromną szczęką. Nie można się po nich spodziewać ani inteligencji ani dowcipu. — Ale po chwili oddała Sheri sprawiedliwość: — Nie sposób jej jednak odmówić odwagi.

— Nie mam ochoty na sprzeczki — odrzekłem.

— Jakie tam sprzeczki — nachyliła się przytulając moją głowę. Pachniała potem i kobiecością, w innej sytuacji byłoby to całkiem miłe. Ale w tej chwili nie bardzo mi odpowiadało.

— Co się stało z olejkiem pizmowym? — spytałem.

— Słucham?

Nagle dotarło do mnie to, z czego zdawałem sobie sprawę już od dłuższego czasu. — Kiedyś często używałaś tych perfum. To pierwsza rzecz, którą u ciebie zauważyłem. — Przypomniała mi się uwaga Franczy Hereiry o smrodzie na Gateway i uświadomiłem sobie, że już od bardzo dawna nie pamiętam, żeby Klara szczególnie ładnie pachniała.

— Kochanie, czy koniecznie chcesz się ze mną pokłócić?

— Skądże, jestem tylko ciekaw, kiedy przestałaś ich używać?

Wzruszyła ramionami i nic nie odpowiedziała, chyba że za odpowiedź można uznać porzytowaną minę. Mnie to wystarczyło, bo dość często powtarzałem jej, jak bardzo lubię ten zapach. — Jak tam kuracja? — spytałem zmieniając temat.

Niewiele to pomogło.

— Pewnie się fatalnie czujesz — odpowiedziała chłodno Klara. — Chyba już sobie pójdę.

— Ale ja naprawdę jestem ciekaw — nalegałem. — Chciałbym się dowiedzieć, czy coś ci to daje. — Nie wspomniała mi ani słowa o psychiatrze, choć wiedziałem, że się do niego zapisała, mam wrażenie, że na wizyty u niego poświęcała dwie, trzy godziny dziennie. U niego lub u maszyny. Postanowiła przecież skorzystać z usług komputera Korporacji.

— Nienajgorzej — odpowiedziała jakby nieobecna.

— Czy udało ci się już przezwyciężyć fiksację na tle ojca? — spytałem.

— Bob — zapytała — nie przyszło ci kiedyś do głowy, że i tobie przydałaby się pomoc?

— Zabawne; Louise Forehand powiedziała mi dokładnie to samo.

— To wcale nie jest zabawne. Zastanów się nad tym. Do zobaczenia.

Po jej wyjściu odchyliłem głowę do tyłu i zamknąłem oczy. Psychiatra! Na co mi to? Potrzebowałem jedynie takiego sukcesu jak Sheri...

A na to potrzebna mi była tylko... tylko...

Tylko odwaga, by zgłosić się na kolejną wyprawę.

Wyglądało jednak, że odwagi tej miałem bardzo niewiele.

Czas przemykał mi między palcami, a może to ja sam ten czas zabijałem. Pewnego dnia, na przykład, wybrałem się do muzeum. Zainstalowano już pełen zestaw holobrazów przedstawiających znalezisko Sheri. Wyświetlałem je dwa czy trzy razy po to tylko, by zobaczyć jak wygląda siedemnaście milionów pięćset pięćdziesiąt tysięcy. Całość sprawiała wrażenie bezwartościowych rupieci, szczególnie kiedy ukazywał się każdy przedmiot osobno. Było tam jakieś dziesięć wachlarzy modlitewnych, co dowodziło, jak przypuszczam, że Heechowie lubili dołączać przedmioty artystyczne nawet do zestawu kluczy samochodowych — czyli tego, czym mógł być ten zestaw jakby trójkątnych śrubokrętów z elastycznymi końcówkami — kluczy nasadkowych, ale wykonanych z jakiegoś miękkiego materiału, elektrycznych próbników oraz przedmiotów, które nie przypominały niczego, co w życiu widziałem. Rozłożone pojedynczo sprawiała wrażenie przypadkowo zestawionych, ale tak idealnie pasowały do siebie i mieściły się w płaskich wyściełanych pudełkach tworzących cały komplet, że stanowiły przykład mistrzowskiego wykorzystania przestrzeni. Siedemnaście milionów pięćset pięćdziesiąt tysięcy! Gdybym nie rozstał się z Sheri, mógłbym być teraz przy forsie.

Lub na tamtym świecie.

Zatrzymałem się przy mieszkaniu Klary, chwilę się tam pokręciłem, ale nie doczekałem się. To nie była jej pora na wizytę u psychiatry. Z drugiej jednak strony nie byłem już na bieżąco z jej aktualnym rozkładem dnia. Znalazła sobie następne dziecko, któremu matkowała, gdy rodzice nie mieli czasu — małą czarną dziewczynkę, może czteroletnią, która przyjechała na Gateway z matką astrofizyczką i ojcem egzobiologiem. A czy Klara nie poszukała sobie jakiegoś innego jeszcze zajęcia, tego nie wiedziałem.

Powoli ruszyłem w kierunku mego pokoju, Louise Forehand wyjrzała ze swoich drzwi, po czym weszła za mną. — Bob — zapytała z napięciem w głosie — czy coś słyszałeś, że mają ogłosić jakąś wysoką premię za niebezpieczeństwo?

Zrobiłem jej miejsce obok siebie.

— Ja? Nie, skąd miałbym wiedzieć? — Jej blada, muskularna twarz była bardziej zacięta niż zazwyczaj, nie miałem pojęcia dlaczego.

— Myślałam, że może coś słyszałeś, od Dane Miecznikowa na przykład. Wiem, że się znacie, i widziałam, jak w szkole rozmawiał z Klarą. — Nic na to nie odpowiedziałem, bo tak naprawdę nie wiedziałem co. — Krążą plotki, że przygotowuje się dość ryzykowną wyprawę naukową. Chciałabym w niej wziąć udział.

Objąłem ją.

— Co się stało?

— Uznali, że Willa nie żyje. — Zaczęła płakać.

Przytuliłem ją i dałem się jej wypłakać. Pocieszyłem ją, gdybym wiedział jak, ale czy w ogóle był na to jakiś sposób? Po chwili wstałem i poszperałem w szafce w poszukiwaniu skrzeta, którego Klara zostawiła tam parę dni temu. Znalazłem go, zapaliłem i podałem Louise.

Zaciągnęła się długo, głęboko i wypuściła dym dopiero po chwili. — Ona nie żyje. Bob — powiedziała. Nie płakała, była przygnębiona, ale zdążyła się już rozluźnić, co wyraźnie widać było po mięśniach szyi i kręgosłupie.

— Jeszcze może wrócić, Louise.

— Nie. — Potrząsnęła głową. — Korporacja uznała jej statek za zaginiony. Owszem, statek może jeszcze i wróci, ale Willa nie będzie żyła. Ostatnia rację żywności zużyli dwa tygodnie temu. — Zapatrzyła się na chwilę przed siebie, potem westchnęła i uniosła się, by jeszcze raz pociągnąć. — Gdyby tylko Sess był tutaj — powiedziała opadając do tyłu i wyciągając się, wyczuwałem dłonią pulsowanie jej mięśni.

Zauważyłem, że skręt zaczyna działać. Na mnie na pewno. To nie było zwykłe doniczkowe paskudztwo wciśnięte między bluszcz na Gateway. Klarze udało się zdobyć prawdziwą Czerwoną Neapolitańską od jednego z chłopców z krążownika, uprawianą w cieniu winnic Lacrima Cristi na zboczu Wezuwiusza. Louise odwróciła się do mnie i wtuliła brodę w zagięcie mojej szyi. — Ja tak bardzo kocham swoją rodzinę — powiedziała już spokojnie.

OGŁOSZENIA DROBNE

POTRZEBUJĘ twojej odwagi, by wyruszyć po pół miliona plus premię. Nie prosz — rozkazuje! 87-299.

PUBLICZNA AUKCJA przedmiotów osobistego użytku osób, które nie powróciły. Plac Korporacji, Charlie 9, Jutro 13.00-17.00.

TWOJE DŁUGI zostaną spłacone, gdy uzyskasz Jedność. On/Ona jest Heechem i wybacza. Kościół Cudownie Utrzymanego Motocykla. 88.344.

JEDYNI MONOSEKSUALIŚCI — celem wzajemne zrozumienie. Pieszczoty wykluczone. 87-913.

— Myślałam, że się w końcu nam powiedzie. Przecież już najwyższa pora.

— Kochanie — wyszeptałem z twarzą zanurzoną w jej włosach. Jej włosy zaprowadziły do ucha, ucho do warg i tak krok po kroku zatapialiśmy się w miłość delikatnie, spokojnie, nie czując upływu czasu. Powoli odprężaliśmy się. Louise kochała się z dużym wyczuciem, była rozluźniona i otwarta. Po kilku miesiącach nerwowych paroksyzmów Klary czułem się z nią bezpiecznie jak dziecko. Na koniec uśmiechnęła się, pocałowała mnie i odwróciła się. Leżała nieruchomo, spokojnie oddychając. Milczała przez dłuższą chwilę i dopiero kiedy poczułem wilgoć na nadgarstku, zorientowałem się, że znowu płacze.

— Przepraszam cię — powiedziała, gdy próbowałem ją pogłaskać. — Myśmy po prostu nigdy nie mieli szczęścia. Są takie dni, gdy mi to nie przeszkadza, ale kiedy indziej nie mogę już znieść tej myśli. Dzisiaj akurat jest zły dzień.

— Jeszcze się jakoś wszystko ułoży.

— Nie wydaje mi się. Przestałam już w to wierzyć.

— Jakoś tu przecież dotarłaś. Czy to nie jest już szczęściem?

Obróciła się do mnie i spojrzała mi głęboko w oczy.

— Zastanów się — powiedziałem — ilu mężczyzn gotowych jest oddać swoje jądra tylko po to, by się tutaj dostać?

— Bob — zaczęła powoli i przerwała. Chciałem coś powiedzieć, ale zamknęła mi usta dłonią. — Czy wiesz, jak zdobyliśmy pieniądze?

— Oczywiście, Sess sprzedał swój aerolot.

— Sprzedaliśmy dużo więcej. Za aerolot mieliśmy zaledwie sto tysięcy, co nie starczyłoby nawet na jeden bilet. Dostaliśmy pieniądze od Hata.

— Waszego syna? Tego, który zmarł?

— Miał guz na mózgu. Można było zahamować jego rozwój, bo znaleźli go w porę, albo prawie w porę. Operacja pewnie by się udała. Mógłby jeszcze żyć co najmniej dziesięć lat, choć oczywiście w nie najlepszym zdrowiu. Naruszone zostały ośrodki mowy i centrum nerwowe. Ale mógłby przecież teraz żyć. Tylko że — podniosła rękę z mojej piersi i potarła nią po twarzy, choć nie płakała — nie chciał, żeby pieniądze za aerolot poszły na jego Czasowy Serwis Medyczny. Wystarczyłoby ich zaledwie na pokrycie kosztów zabiegu i potem znowu zostalibyśmy bez grosza. Więc po prostu sprzedał się, Bob, wszystko, co miał, nie tylko jądra. Sprzedał się cały. Były to doskonałej jakości narządy dwudziestodwuletniego mężczyzny rasy nordyckiej warte kupę forsy. Zgłosił się do lekarzy, a oni, jak się to mówi? uśpili go. Kawalki Hata tkwią teraz pewnie w kilkunastu osobach. Wszystko poszło na przeszczepy —

nam wyplacono pieniądze. Było tego prawie milion, opłaciliśmy w ten sposób lot na Gateway i jeszcze trochę zostało. Tak więc wygląda to nasze szczęście.

— Bardzo mi przykro — powiedziałem.

— Niepotrzebnie. Po prostu nam się nie wiedzie. Hat nie żyje, Willa też. Bóg raczy wiedzieć, gdzie jest mój mąż i nasze ostatnie żyjące dziecko. A ja jestem tutaj, Bob, i przyznam się, że bardzo często z całego serca chciałabym też umrzeć.

Zostawiłem ją śpiącą w moim łóżku i zszedłem do Parku Centralnego. Wstąpiłem po drodze do Klary, a ponieważ jej nie było, napisałem, gdzie jestem, i spędziłem następną godzinę leżąc na plecach i przyglądając się, jak dojrzewają owoce morwy. Nie było tam nikogo oprócz mnie i paru turystów, którzy pośpiesznie zwiedzali park przed odlotem z Gateway. Nie zwracałem na nich uwagi i nawet nie zauważyłem, kiedy odeszli. Serdecznie współczułem Louise i wszystkim Forehandom, ale jeszcze bardziej współczułem samemu sobie. Oni nie mieli szczęścia — ale to, czego mnie brakowało, bolało jeszcze bardziej: ja nie miałem odwagi sprawdzić, dokąd by mnie moje szczęście zawiodło. Chore społeczeństwa wyłuskują odważnych śmiałków, tak jak wyciska się pestki z winogron. A pestki niewiele mają już wtedy do powiedzenia. Podejrzewam, że podobnie rzecz się miała z żeglarzami Kolumba czy pionierami przedzierającymi się przez terytoria Komanczów, na pewno byli, jak ja, nieprzytomni ze strachu, ale też nie mieli wielkiego wyboru. Tak jak i ja. A Bóg jeden tylko wie, jak strasznie się bałem.

Nagle usłyszałem jakieś głosy — głos dziecka i delikatny powolny śmiech Klary. Usiadłem.

— Cześć, Bob — powiedziała zatrzymując się przede mną i kładąc rękę na kędzierzawej główce malutkiej, czarnej dziewczynki. — To jest Watty.

— Cześć, Watty.

Nawet mnie samemu mój głos wydał się dziwny. Klara przyjrzała mi się dokładnie.

— Co się stało? — spytała.

Odpowiedzi na to pytanie nie można było zamknąć w pojedynczym zdaniu, zdecydowałem się więc na wybór jednej tylko kwestii. — Willę Forehand uznano za martwą.

Klara skinęła głową bez słowa. — Rzuć piłkę — pisnęła Watty. Klara rzuciła piłkę w kierunku dziewczynki, ta złapała ją i odrzuciła, cały czas *adagio* jak wszystko na Gateway.

— Louise jest zdecydowana wyruszyć po premię za ryzyko — powiedziałem. — Wydaje mi się, że chce, żebym ją, to znaczy żebyśmy ją ze sobą zabrali.

— Ach tak?

— Co ty na to? Czy Dane wyjawiał ci już swoje sekrety?

— Nie! Nie widziałam się z Dane'em już od... nawet nie pamiętam kiedy. A poza tym dzisiaj rano wyruszył w Jedyńce.

— Nie zrobił pożegnane przyjęcia — zaprotestowałem zdziwiony. Wyduła wargi.

— Uwaga! Proszę pana! Leci! — zawołała dziewczynka. Rzucona piłka przyfrunęła w moim kierunku jak wypełniony gorącym powietrzem balon, ale mimo to o mały włos się z nią nie rozminąłem. Mój umysł pochłaniało coś innego. Odrzuciłem piłkę koncentrując na niej uwagę.

— Przepraszam cię. Bob — zaczęła Klara po chwili. — Byłam chyba w kiepskim nastroju.

— Hm. — Mój mózg intensywnie pracował.

— Przeżywaliśmy ostatnio trudny okres — powiedziała pojednawczo. — Chciałabym ci to jakoś wynagrodzić. Mam coś dla ciebie.

Rozejrzałem się wokół, a ona wzięła moją dłoń i wsunęła to coś na rękę.

Była to bransoleta ekspedycyjna z metalu Heechów, musiała kosztować co najmniej pięćset dolarów. Nie stać mnie było na coś takiego. Gapiłem się na prezent nie bardzo wiedząc, co powiedzieć.

— Bob?

— Co?

— Zwykle w takich sytuacjach mówi się „dziękuję” — w jej głosie brzmiała nutka niecierpliwości.

— Wypada również — odrzekłem — mówić prawdę. A nie twierdzić, że nie widziałas Dane’a, jeśli spędziłaś z nim wczorajszy wieczór.

— Szpiegujesz mnie! — zachnęła się.

— A ty mnie okłamujesz!

— Nie jestem twoją własnością. Dane też jest człowiekiem, a poza tym dobrym przyjacielem.

— Przyjacielem! — warknąłem. To ostatnia rzecz, jaką można o Miecznikowie powiedzieć. Na samą myśl, że Klara z nim spała, ścisnęło mnie w kroku. Nie podobało mi się to uczucie, bo nie wiedziałem, jak je nazwać. To nie była zwykła złość, czy nawet zazdrość. Było w tym coś dla mnie niezrozumiałego. — Przecież to dzięki mnie go poznałaś! — warknąłem ponownie, zdając sobie sprawę z nielogiczności tego okrzyku.

— Nie daję ci to do mnie żadnego prawa! No dobrze — Klara była zniecierpliwiona. — Może rzeczywiście przespałam się z nim kilka razy. Ale to w niczym nie zmienia mojego stosunku do ciebie.

— Zmienia za to mój do ciebie.

— I ty śmiesz — spojrzała na mnie z niedowierzaniem — mówić coś podobnego, sam śmierdząc jeszcze jakąś tanią kurewką?

To był cios poniżej pasa.

— Nie było w tym nic taniego. Pocieszałem zboląłą kobietę.

Roześmiała się. Był to nieprzyjemny odgłos, złości nie da się ukryć. — Louise Forehand? Czy wiesz, że ona dawała dupy, by dostać się tutaj?

Dziewczynka trzymała teraz piłkę w rękach i przyglądała się nam. Widać było, że ją przestraszyliśmy. — Nie pozwolę ci ze mnie kpić — powiedziałem więc, starając się zapanować nad głosem nie dopuszczając, by zabrzmiał w nim gniew.

— Ach — rzekła z niewypowiedzianym obrzydzeniem i odwróciła się odchodząc. Wyciągnąłem rękę, by ją dotknąć, ale załkała i uderzyła mnie, najmocniej, jak tylko mogła. Jej dłoń trafiła w moje ramię.

I to był błąd.

UWAGI NA TEMAT METALURGII

Pytanie: Słyszałem kiedyś, że metal Heechów został zbadany przez Narodowe Biuro Norm?

Profesor Hegramet: Nieprawda.

Pytanie: Widziałem taki program w piezowizji. . .

Profesor Hegramet: Nie. To, co widziałeś, to sprawozdanie Biura Norm dotyczące szacunku ilościowego metalu Heechów. To nie była analiza, lecz opis. Wytrzymałość na rozciąganie, siła przelomu, temperatura topnienia i tak dalej.

Pytanie: Nie bardzo rozumiem, na czym polega różnica?

Profesor Hegramet: Wiemy dokładnie, jak się ten metal zachowuje. Nie wiemy jednak, czym jest. A jaka jest najciekawsza właściwość metalu Heechów? Teri?

Pytanie: To, że się błyszczy?

Profesor Hegramet: Tak, błyszczy się. Emituje światło, które wystarcza do oświetlenia pomieszczeń i które należy zakrywać, gdy chcemy mieć ciemno, i błyszczy tak już przynajmniej od pół miliona lat. Skąd bierze się ta energia? Biuro twierdzi, że metal ten zawiera pierwiastki transuranowe, które powodują promieniowanie, tylko że nie wiemy dokładnie, co to za pierwiastki. Jest tam również coś, co przypomina izotop miedzi. A miedź przecież nie posiada żadnych stałych izotopów. Jak dotąd. Biuro zatem podaje dokładną częstotliwość niebieskiego światła oraz wszelkie właściwości fizyczne z dokładnością do ósmej czy dziewiątej cyfry po przecinku, ale nie mówi, jak można taki metal wyprodukować.

To zawsze jest błędem, bez względu na racjonalne wytłumaczenie, najważniejsze są sygnały. A ten był niedobry. Wilki nie dobijają się nawzajem, ponieważ mniejszy i słabszy osobnik zawsze poddaje się. Przewraca się wtedy na grzbiet, odsłania gardło i unosząc łapy sygnalizuje, że jest zwyciężony. Po czymś takim zwycięzca nie może już zaatakować. W przeciwnym razie wilki dawno już by wyginęły. Z podobnego powodu mężczyźni nie zabijają kobiet, a przynajmniej nie przez pobicie na śmierć. Nawet jeśli bardzo tego chcą, coś im na to nie pozwala. Jeśli jednak kobieta popełnia błąd посыłając mężczyźnie niewłaściwy sygnał, czyli uderzając go pierwsza. . .

Walnąłem ją cztery czy pięć razy — tak mocno, jak tylko mogłem — w pierś, twarz, brzuch. Upadła na ziemię, łkając. Ukląkłem obok niej, jedną ręką uniosłem jej głowę i absolutnie z zimną krwią uderzyłem jeszcze dwukrotnie. Cała scena, jakby zaaranżowana przez Boga, rozwijała się w sposób nieunikniony. Dyszałem, jakbym biegiem wspiął się na jakąś wysoką górę. W uszach łomotała mi krew, wzrok mąciła czerwona mgiełka.

Usłyszałem w końcu daleki, cichy płacz.

Zobaczyłem wpatrującą się we mnie z otwartymi ustami małą Watty; po jej fioletowoczarnych policzkach spływały łzy. Chciałem do niej podejść, uspokoić ją, ale krzyknęła i uciekła za winoroślą.

Odwrociłem się więc do Klary, która siedziała nie patrząc na mnie, dłonią zakrywała usta. Po chwili oderwała ją i spojrzała na coś, co w niej trzymała, był to ząb.

Nic nie powiedziałem. Nie wiedziałem co i nie bardzo wierzyłem, że coś wymyślę. Odwróciłem się więc i odszedłem.

Nie pamiętam już, co robiłem przez następne kilka godzin.

Nie spałem, choć byłem fizycznie wycieńczony. Przez krótką chwilę siedziałem u siebie w pokoju na szafce. Potem znowu wyszedłem. Pamiętam, że z kimś rozmawiałem. Chyba czarowałem jakiegoś turystę z Wenus, że zawód poszukiwacza jest ryzykowny, choć jednocześnie zajmujący. Pamiętam też, że jadłem coś w kantynie. A przez cały ten czas myślałem tylko o jednym — chciałem zabić Klarę. Od dawna już tłumiliłem tę nagromadzoną furję i nawet jej sobie nie uświadamiałem, dopóki Klara nie pociągnęła za spust.

Nie wiedziałem, czy mi kiedykolwiek wybaczy. Nie byłem pewien, czy powinna, a nawet — czy ja tego chcę. I tak nie mogłem sobie wyobrazić, że kiedykolwiek jeszcze pójdziemy do łóżka. W końcu jednak nabrałem pewności, że pragnę przynajmniej ją przeprosić.

Tyle tylko, że nie było jej w domu. W mieszkaniu zastałem jedynie pulchną młodą Murzynkę, która z pełnym tragizmem wyrazem twarzy powoli układała ubrania. Kiedy spytałem o Klarę, zaczęła płakać. — Wyjechała — zaszlochała.

— Wyjechała?

— Och, wyglądała tak okropnie! Ktoś ją musiał pobić. Przyproceedziła Watty i powiedziała, że nie będzie mogła się nią zajmować. Oddała mi wszystkie swoje ubrania. Ale co ja zrobię z Watty, kiedy będę szła do pracy?

— Dokąd wyjechała?

Kobieta podniosła głowę. — Wróciła na Wenus. Jej statek odleciał godzinę temu.

Nie rozmawiałem już z nikim więcej. Udało mi się jakoś zasnąć we własnym łóżku i to bez niczyjego towarzystwa.

Obudziwszy się spakowałem swoje rzeczy — ubrania, holodyski, szachy, zegarek. Także bransoletę Heechów, którą dostałem od Klary. Sprzedałem je, wybrałem wszystko z konta i zabrałem do kupy całą sumę, która wyniosła 1400 dolarów plus jakieś drobne. Wziąłem pieniądze do kasyna i postawiłem je na numer 31.

Duża, powolna kula wpadła do zielonej przegródki. Zero. Przegrałem.

Zszedłem więc do Kontroli Lotów i zgłosiłem się na najbliższą Jedynekę.
Dwadzieścia cztery godziny później byłem już w Kosmosie.

Rozdział dwudziesty trzeci

— Co ty rzeczywiście myślisz o Danie, Bob?

— A jak ci się wydaje, do cholery? Przecież uwiódł mi dziewczynę.

— To dość staroświeckie pojęcie. A poza tym cała ta historia miała miejsce już tak dawno temu.

— Oczywiście. — Czasami uważam, że Sigfrid nie gra fair. Ustala reguły gry, których później sam nie przestrzega.

— Daj spokój! — mówię z oburzeniem. — Wprawdzie wszystko to wydarzyło się tak dawno, ale dla mnie jakby wciąż trwało, bo ciągle jeszcze we mnie tkwi. W mojej pamięci jest zupełnie świeże. A czyż nie to jest twoim zadaniem? Czy to nie ty masz wyciągnąć te dawne sprawy po to, by wreszcie przyschły i przestały mi doskwierać?

— Nadal nie wiem, dlaczego jest to dla ciebie takie świeże Bob.

— Chryste! — Sigfrid znowu nie jest w najlepszej formie. Wydaje mi się, że po prostu nie potrafi sobie poradzić z napływem niektórych złożonych informacji. W końcu, jakby na to nie patrzeć, jest tylko maszyną i nie robi tego, co wykracza poza jego program. Przeważnie reaguje po prostu na słowa kluczowe — biorąc oczywiście w pewnym stopniu pod uwagę ich znaczenie. Oraz na takie niuanse, jak na przykład ton głosu czy gra mięśni, odbierane przez czujniki na macie i paski.

— Zrozumiałbyś to pewnie, gdybyś nie był maszyną, lecz człowiekiem — odpowiadam.

— Może i tak. Bob.

— To prawda, że wydarzyło się to dawno temu — sprowadzam go z powrotem na właściwy trop. — Nie rozumiem jednak, czego jeszcze chcesz się doszukać w tej całej historii?

UWAGI NA TEMAT ŻYCIA HEECHÓW

Pytanie: Nie mamy więc pojęcia, jak wygląda, na przykład, stół Heechów czy jakikolwiek inny sprzęt domowy.

Profesor Hegramet: Nie wiemy nawet, jak wygląda ich dom. Nigdy czegoś podobnego nie znaleźliśmy. Odkryliśmy jedynie tunele. Lubili rozgałęziające się szyby, z których odchodziły pokoje. Lubili też duże pomieszczenia w kształcie wrzeciona, ścięte na rogach. Jedno odnaleźliśmy tutaj, dwa na Wenus, prawdopodobnie zachowały się też na wpół skodorodowane pozostałości jednego na Planecie Peggy.

Pytanie: Dobrze wiemy, jaka jest premia za odkrycie przedstawiciela rasy inteligentnej. A jaka jest premia za odkrycie Heecha?

Profesor Hegramet: Znajdź go tylko. Potem możesz zażądać dowolnej ceny.

— Chciałbym, żebyś mi wyjaśnił pewną sprzeczność, którą wyczuwam w tym, co mówisz. Twierdzisz, iż nie boli cię, że Klara miała stosunki z innymi mężczyznami. Dlaczego więc przywiązujesz takie znaczenie do tego, że spała z Danem?

— On ją źle traktował! — To prawda. Pozostawił ją uwięzioną, jak muchę w bursztynie.

— Czy rzeczywiście chodzi ci o to, jak się zachował wobec Klary? A może było coś między tobą i Danem?

— Nigdy w życiu! Między nami nigdy nic nie było!

— Mówiłeś mi, że Dane odczuwał pociąg do obu płci. Jak wyglądał wasz wspólny lot?

— Miał dwóch innych chłopców do zabawy! Ale przysięgam — nie mnie. Nie mnie! — powtarzam starając się, by spokojny głos odzwierciedlał mój faktyczny brak zainteresowania tym idiotycznym tematem. — Mówiąc szczerze, chciał się do mnie kilka razy dobrać, ale powiedziałem mu, że to mnie nie interesuje.

— W twoim głosie brzmi więcej złości, niż mogłoby to wynikać z samej treści słów.

— Do diabła! — Muszę przyznać, że teraz już jestem naprawdę zły. — Twoje idiotyczne podejrzenia doprowadzają mnie do szału! — mówię z trudem. — To fakt, że pozwoliłem mu się objąć raz czy dwa. Ale to wszystko, nic poważniejszego. Dałem się trochę użyć dla zabicia czasu. Owszem, nawet mi się podobał. Był wysoki, przystojny. A ja czułem się trochę samotny... — O co znów chodzi?

Dźwięk, który wydobywa się teraz z Sigfrida, przypomina lekkie chrząknięcie, jakim zawsze przerywa, niby to nie przerywając.

— Co przed chwilą powiedziałeś?

— Kiedy?

— Wtedy, gdy stwierdziłeś, że między wami nic nie zaszło poważnego?

— O Boże, nie pamiętam już, co powiedziałem. No, że nie było w tym nic poważnego. Tylko tak, dla zabicia czasu.

— Nie tak to określiłeś.

— Czyżby?

Zastanawiam się słuchając echa moich własnych słów.

— Pewnie powiedziałem „użyłem sobie”, i co z tego?

— Nie, Bob. Nie mówiłeś też, że sobie użyłeś. Co powiedziałeś?

— Nie wiem!

— Stwierdziłeś, że dałeś się użyć.

Przestaję się bronić. Mam takie uczucie, jakbym nagle odkrył, że zlałem się w majtki albo że mam rozpięty rozporek. Wychodzę na zewnątrz mego własnego ciała i przyglądam się moim myślom.

— Jak rozumiesz stwierdzenie, że dałeś się użyć?

— Ach tak — śmieję się szczerze zaskoczony i jednocześnie rozbawiony. — To chyba była iście freudowska pomyłka. Bystry jesteś. Moje gratulacje dla programistów.

Sigfrid nie odpowiada na moją uprzejmą uwagę. Chce, żebym spokojnie wszystko przetrawił.

— No dobrze — mówię. Czuję się otwarty, nie pozwalam, by cokolwiek się wydarzyło i przeżywam ten moment, jakby miał on trwać zawsze — podobnie jak Klara uwięziona w momentalnym i wiecznym spadaniu.

— Bob — pyta Sigfrid łagodnie — czy kiedy się onanizowałeś, nie myślałeś o Danie?

— Nie znosiłem tych myśli — odpowiadam.

Czeka.

— Nienawidziłem siebie za to. Nie, właściwie to bardziej chyba sobą pogardzałem.

Sigfrid oczekuje chwilę.

— Czy chce się teraz płakać? — mówi.

Ma racje, ale nie odpowiadam.

— Czy chcesz płakać? — zachęca mnie.

— Marzę o tym.

— To czemu tego nie robisz?

— Żebym to wiedział jak — mówię. — Niestety, nie potrafię.

Rozdział dwudziesty czwarty

Właśnie przekręcałem się na drugi bok próbując zasnąć, kiedy zauważyłem, że kolory na pulpicie sterowniczym zaczęły się zmieniać. Był to pięćdziesiąty piąty dzień mojej podróży, a dwudziesty siódmy po obroceniu statku. Przez cały ten okres pulpity były jaskrawo różowe. Teraz tworzyły się na nim białe kłębki, które rozrastały się i zbijały w kupki.

Dolatywałem na miejsce! Docierałem do kresu podróży — gdziekolwiek by to nie było.

Mój mały stateczek — śmierząca, twarda, nudna trumienka, wewnątrz której mówiąc sam do siebie, grając sam z sobą i mając absolutnie siebie dość obijałem się już prawie dwa miesiące — leciał już znacznie poniżej prędkości światła. Przechyliłem się, by spojrzeć na ekran, który znajdował się teraz „na dole” ponieważ statek zwalniał, ale nie zobaczyłem niczego atrakcyjnego. Owszem, była tam gwiazda. Było nawet wiele gwiazd, w konfiguracjach, które niczego mi nie przypominały; kilka różnych odcieni niebieskiego od jasnego do wprost kłującego w oczy. Widziałem też czerwoną gwiazdę, która wyróżniała się raczej natężeniem barwy niż jasnością. Był to wściekle rozogniony węgielek, niewiele jaśniejszy niż Mars oglądany z Ziemi, ale za to czerwień miał głębszą, brzydszą.

Spróbowałem wzbudzić w sobie jakieś zainteresowanie.

Nie przychodziło mi to łatwo. Po dwóch miesiącach odrzucania wszystkiego dookoła, ponieważ było nudne albo stanowiło zagrożenie, z trudem przyjmowałem postawę bardziej otwartą, entuzjastyczną. Włączyłem skaner sferyczny i zacząłem rozglądać wokół, w miarę jak statek obracał się zgodnie z rytmem skanera, ścinając obierzynki nieba, które od razu padały ofiarą kamer i analizatorów.

RAPORT LOTU

Pojazd 3-104. Wyprawa 031 D18. Załoga N. Ahoya, C. Zacharczenko, L. Marks.

Czas przelotu 119 dni 4 godziny. Pozycja nie zidentyfikowana. Najprawdopodobniej poza skupiskiem galaktyki, w chmurze pyłowej. Identyfikacja zewnętrznych galaktyk wątpliwa.

Resumé: „Skaner nie wykrył śladów planet, artefaktów czy asteroidu, który nadawałby się do lądowania. Najbliższa gwiazda — ok. 1,7 lat świetlnych. Cel lotu przypuszczalnie uległ zniszczeniu. W drodze powrotnej nastąpiła awaria systemu równowagi biologicznej i Larry Marks poniósł śmierć”.

I prawie natychmiast otrzymałem mocny, wyraźny i bliski sygnał. Pięćdziesiąt pięć dni nudy i wycieńczenia w mgnieniu oka wywietrzało mi z głowy. Było to coś bardzo dużego,

albo znajdowało się bardzo blisko. Odechciało mi się spać. Kucnąłem nad wizjerem opierając się na kolanach i dłoniach i wtedy zobaczyłem — kanciasty obiekt poruszający się prosto w kierunku ekranu. Cały błyszczał. Czysty metal Heechów! Była to nieregularna bryła o spłaszczonych bokach, a z jednego z nich wyrastały zaokrąglone wybrzuszenia.

W moich żyłach zaczęła krążyć adrenalina, a głowa zaroiła się od wizji smakowitych kąsków. Przyglądałem się mu, aż zniknął z oczu, po czym rzuciłem się do analizatorów niecierpliwie oczekując wyników. Było to bez wątpienia coś dobrego, pozostawał tylko problem — jak dobrego. Może wyjątkowo dobrego! Może cała Planeta Peggy mogła być moja — plus procenty rzędu milionów dolarów do końca życia. A może to tylko jakaś porzucona skorupa. Może... — było to szalone marzenie, choć ten kanciasty kształt coś takiego sugerował — może jest to naprawdę duży statek Heechów, który będzie latać tam, gdzie człowiek zechce, który zabierze tysiące ludzi i miliony ton ładunku. Marzenie to mogło się ziścić. A nawet gdyby nie, gdyby była to faktycznie porzucona skorupa, to potrzebowałem tylko jednej jedynej rzeczy z jej wnętrza, niewielkiego pstryczka, jednego wichajstra, jednego pipka, którego nikt nigdy jeszcze nie odkrył, a który mógłby zostać rozebrany na części, odtworzony i wykorzystany na Ziemi...

Potknąłem się i zdarłem sobie skórę z kostek dłoni o spiralę, która teraz rozbłyskiwała ciepłym złotym światłem. Zlizałem krew i zdałem sobie sprawę, że statek się porusza.

A nie powinien! Nie był tak zaprogramowany. Miał przecież pozostać na orbicie, którą musiał odnaleźć, i na dodatek tak długo, aż się nie rozejrzę i nie podejmę odpowiedniej decyzji.

Patrzyłem dokoła zupełnie zmieszany i zagubiony. Błyszcząca płyta tkwiła nieporuszona pośrodku wizjera i nie zmieniała położenia, automatyczny skaner sferyczny wyłączył się sam. Z opóźnieniem usłyszałem odległy, głośny ryk silników lądownika. To one poruszały statek, który kierował się wprost na ten błyszczący obiekt.

A nad siedzeniem pilota błyskało zielone światło.

Coś było nie tak. Zielone światło zostało zainstalowane przez człowieka. Nie miało ono nic wspólnego z Heechami, był to zwyczajny, tradycyjny obwód radiowy, który informował mnie, że ktoś mnie wzywa. Ale kto? Któż mógłby znajdować się w pobliżu mojego świeżutkiego odkrycia?

— Halo! — krzyknąłem włączywszy kciukiem nadajnik. Usłyszałem odpowiedź, której nie zrozumiałem, zdawało mi się, że ten ktoś mówi w jakimś obcym języku, może po chińsku. Była to jednak istota ludzka. — Po angielsku, do cholery! — wrzasnąłem. — Coś ty za jeden!

Nastąpiła chwila milczenia.

— A ty? — spytał inny głos.

— Nazywam się Bob Broadhead — warknąłem.

— Broadhead? — Usłyszałem zdziwione szepty. Po chwili odezwała się znowu osoba mówiąca po angielsku. — Nie mamy w rejestrze poszukiwacza o takim nazwisku. Czy jesteś z Afrodyty?

— A co to jest?

— O Boże! Ktoś ty taki? Tu mówi kontrola lotów Gateway-2. Nie mamy czasu się z tym pieprzyć. Podaj swoją identyfikację.

Gateway-2!

Wyłączyłem radio i odchyliłem się na oparcie przyglądając się, jak płyta staje się coraz większa, a jednocześnie ignorując zielone światełko. Gateway-2! To ci dopiero! Gdybym

chciał tu dolecieć, zgłosiłbym się na regularny lot zgadzając się w ten sposób na dzielenie się wszystkim, co znajdę. Poleciałbym bezpiecznie, jak turysta, trasą sprawdzoną już setki razy. Ale ja tego nie zrobiłem. Wybrałem lot, którego nikt jeszcze nie wypróbował i podjąłem ryzyko. Jego ciężar odczuwałem dręczony codziennym przerażeniem przez te potworne pięćdziesiąt pięć dni.

To nie było w porządku!

Straciłem głowę. Rzuciłem się w kierunku selektora kursów i przekręciłem gałki na chybił trafił.

Nie mogłem się pogodzić z taką klęską. Nie byłem w stanie uznać, że niczego nie odkryłem. Nie byłem też w stanie zaakceptować faktu, że dokonałem czegoś bardzo łatwego, za co nie dostanę ani grosza.

Zrobiłem za to coś jeszcze gorszego. Na pulpicie błysnęło jaskrawożółte światło, po czym cały pulpit szerniał.

Umilkł cichutki pisk silników lądownika.

Wszystko zatrzymało się. Statek zamarł. Urządzenia Heechów przestały działać, wyłączył się nawet system chłodzenia.

Zanim Gateway-2 wysłała pojazd holowniczy, w temperaturze 75° zacząłem już mąjaczyć od uderu cieplnego.

Gateway była gorąca i wilgotna, na Gateway-2 było tak zimno, że musiałem pożyczyć jakąś kurtkę, rękawiczki i ciepłą bieliznę. Gateway śmierdziała potem i kanałami. Dwójka miała smak rdzewiejącej stali. Gateway była jasna, hałaśliwa i pełna ludzi, na tej drugiej było prawie zupełnie cicho, ponieważ przebywało tam zaledwie siedem osób, nie licząc mnie. Heechowie nie dokończyli budowy Gateway-2. Niektóre z tuneli urywały się w litej skale, a w ogóle było ich zaledwie kilkadziesiąt. Nie prowadzono tam jeszcze uprawy roślin, więc powietrze w całości pochodziło z chemicznych procesorów. Częstkowe ciśnienie O₂ wynosiło poniżej 150 milibarów, poza tym atmosferę tworzyła mieszanka azotowo-helowa, o ciśnieniu około połowę mniejszym od ziemskiego. Dlatego też głos człowieka brzmiał bardzo wysoko, a ja przez pierwsze parę godzin nie mogłem złapać oddechu.

Potężny, ciemny Japończyk z Marsa, Norio Ituno, pomógł mi wydostać się z lądownika i osłonił mnie przed niespodziewanym chłodem. Użyczył mi swego łóżka, napoił i pozwolił odpocząć jakąś godzinę. Zdrzemnąłem się, a kiedy się obudziłem, siedział obok przyglądając mi się z rozbawieniem i szacunkiem. Szacunek przeznaczony był dla osoby, której udało się skasować statek wart pięćset milionów. Rozbawienie — dla idioty, który to zrobił.

— Chyba będą jakieś kłopoty — zauważyłem.

— Obawiam się, że tak — przyznał. — Statek jest kompletnie unieruchomiony. Nigdy w życiu nie widziałem czegoś podobnego.

— Nie przypuszczałem, że pojazd Heechów można tak uszkodzić.

Wzruszył ramionami.

— Dokonałeś czegoś nowego, Broadhead. Jak się czujesz? — W odpowiedzi na to usiadłem, a on skinął głową. — Mamy teraz

Drogi redaktorze „Głosu Gateway”

Czy jesteś rozsądną osobą o otwartym umyśle?

Udowodnij to czytając ten list do końca i nie wypowiadając swego zdania, dopóki nie dowiesz się o co chodzi. Na Gateway znajduje się trzynaście zamieszkałych poziomów. W każdym z trzynastu korytarzy (sam policz) znajduje się trzynaście pomieszczeń mieszkalnych. Czy myślisz, że autor tego listu kieruje się jedynie jedynie głupim przesądem? Sprawdź więc sam. Loty 83-20, 84-1, 84-10 (jaka liczba wychodzi po dodaniu tych cyfr?) uznano za zaginione na liście nr. 86-13. Korporacja Gateway, zbudź się wreszcie! Niech się śmieją sceptycy i bigoci. Od tego, czy zaryzykujesz narażenie się na niewielką śmieszność, zależy ludzkie życie. Niewiele by kosztowało usunięcie tych feralnych liczb z programu lotów, potrzeba jednak na to odwagi.

M. Gloyner (88-331)

sporo roboty. Będę musiał zostawić cię samego na parę godzin, jeśli dasz sobie radę. A później zorganizujemy przyjęcia.

— Przyjęcie! — Była to chyba ostatnia rzecz, której mógłbym się spodziewać. — Po co?

— Nieczęsto nam się trafia ktoś taki jak ty — powiedział z podziwem i pozostawił mnie samego z moimi myślami.

Myśli te nie były najprzyjemniejsze, po chwili więc wstałem z łóżka, włożyłem rękawiczki, zapiałem kurtkę i poszedłem zwiedzać. Nie zajęło mi to zbyt dużo czasu, nie było specjalnie co oglądać. Słyszałem jakieś hałasy z niższych poziomów, ale w pustych korytarzach echo dziwnie się odbijało i nie natrafiłem na nikogo. Na Gateway-2 nie przyjeżdżali turyści, nie było tu zatem ani nocnego klubu, ani kasyna, nie znalazłem też żadnej restauracji... czy nawet toalety. Po chwili problem ten stał się bardzo palący. Doszedłem do wniosku, że Ituno powinien mieć coś takiego niedaleko pokoju, próbowałem więc odnaleźć drogę powrotną, ale i to niewiele dało. Wzdłuż korytarza było kilka kabin, lecz niewykończonych. Nikt tam nie mieszkał, więc nie zwracano sobie głowy kanalizacją.

To chyba nie był mój najlepszy dzień.

Kiedy w końcu znalazłem toaletę, przez dziesięć minut głowiłem się nad jej działaniem i pewnie z nieczystym sumieniem zostawiłbym ją brudną, gdybym nie usłyszał kogoś na zewnątrz. Stała tam niewysoka, tłusta kobieta.

— Nie wiem, jak się spuszcza wodę — zacząłem się usprawiedliwiać.

Zlustrowała mnie od stóp do głów.

— Jesteś Broadhead? — stwierdziła i dodała: — Dlaczego nie polecisz na Afrodytę?

— A co to takiego? Nie, chwileczkę, wpierw powiedz mi, jak to działa, a potem porozmawiamy o Afrodycie.

Wskazała na guziczek przy drzwiach, myślałem przedtem, że to światło. Kiedy go dotknąłem, dno całkowicie jednolitej muszli rozbłysło i po dziesięciu sekundach był w niej tylko popiół, a potem już zupełnie nic.

— Zaczekaj na mnie — rozkazała znikając w środku. Kiedy wyszła, powiedziała: — Na Afrodycie jest forsa. A forsa będzie ci potrzebna.

Dałem się jej wziąć za rękę i pociągnąć za sobą. Zaczynałem już rozumieć: Afrodyta była nową planetą odkrytą przez jeden ze statków Gateway-2 niecałe czterdzieści dni temu. I była naprawdę duża. — Oczywiście będziesz musiał płacić procenty — powiedziała. — Jak na razie, nie znaleziono niczego oprócz zwykłych pozostałości po Heechach, ale są tam jeszcze tysiące kilometrów kwadratowych do przebadania, a pierwsi poszukiwacze

Szukamy twych śladów w mgławicach Oriona,
Kopiemy twe nory wraz z psami Procjona,
My z Baltimore, Buffalo, my z Bonn i Benares
Grzebiemy w Algolu, Arkturze, Antares
Pewnego dnia znajdziemy się
Mały zgubiony Heechu — szykuj się!

z Gateway nie dotrą tutaj jeszcze przez wiele miesięcy. Posłaliśmy im wiadomość czterdzieści dni temu. Czy miałeś kiedyś do czynienia z gorącą planetą?

— Z czym?

— Czy kiedykolwiek — wyjaśniła pociągając mnie w dół zlotnią — badałeś planetę, która jest gorąca?

— Nie. A w ogóle, nie mam właściwie żadnego doświadczenia, w każdym razie takiego, które by się liczyło. Miałem tylko jeden pusty lot. Nawet nie lądowaliśmy.

— Szkoda — odrzekła. — Ale i tak nie trzeba się wiele uczyć. Wiesz, jak jest na Wenus? Afrodyta jest po prostu trochę gorsza. Jej słońce rozbłyska i nie należy dać się wtedy zaskoczyć na otwartej przestrzeni. Na szczęście tunele Heechów są całkowicie pod powierzchnią. Jeśli znajdziesz jeden z nich, jesteś bezpieczny.

— A jakie są na to szanse? — spytałem.

— Bo ja wiem — powiedziała zamyślona, odciągając mnie od liny i prowadząc wzdłuż korytarza. — Chyba niezbyt duże. W czasie poszukiwań jest się przecież ciągle na otwartej przestrzeni. Na Wenus używa się opancerzonych aerolotów, w których można przemieszczać się bez trudu, no, powiedzmy prawie bez trudu — przyznała. — Nie jest to już takie niebezpieczne, ginie najwyżej jeden procent poszukiwaczy.

— A jaki jest procent strat na Afrodycie?

— Znacznie większy... Tak, z pewnością. Trzeba latać w lądowniku, a nie jest on przecież taki mobilny, zwłaszcza na planecie, której powierzchnia jest jak ciekła siarka, a najłagodniejsze wiatry są huraganami.

— Bardzo to atrakcyjne — powiedziałem. — Więc dlaczego cię tam jeszcze nie ma?

Jestem pilotem zewnętrznym i wracam na Gateway za jakieś dziesięć dni — gdy zbiorę ładunek lub przyleci tu ktoś, kto będzie chciał wrócić.

— Ja mogę wracać natychmiast.

— Psiakrew, Broadhead! Czy ty nie zdajesz sobie sprawy, w jakie popadłeś tarapaty? Przecież złamałeś przepisy majstrując przy pulpicie kontrolnym. Ukarzą cię dla przykładu.

Zastanowiłem się głęboko. — Dzięki, ale chyba zaryzykuję.

— Czy ty naprawdę nic nie rozumiesz? Na Afrodycie z pewnością coś znajdziesz, a tak możesz odbyć jeszcze ze sto wypraw i wrócisz z pustymi rękoma.

— Kochanie — odpowiedziałem — za żadne skarby nie mógłbym odbyć stu wypraw, teraz ani zresztą nigdy. Nie wiem nawet, czy zdobędę się na jedną. Mam nadzieję, że starczy mi odwagi na powrót na Gateway. A co dalej, to nie wiem.

Na Gateway-2 spędziłem w sumie trzynaście dni. Hester Bergowiz, pilot zewnętrzny, cały czas usiłowała mnie namówić na wyprawę na Afrodytę, pewnie dlatego, że nie chciała, bym zajmował w jej statku drogocenne miejsce przeznaczone na ładunek. Innym było to obojętne. Myśleli pewnie, że oszalałem. Dla Ituno, który nieoficjalnie był odpowiedzialny za porządek na Dwójce, stanowiłem jednak pewien problem. Byłem nielegalnym przybyszem bez opłaconych kosztów utrzymania i na dodatek w ogóle bez grosza przy duszy. Miał pełne prawo wyrzucić mnie w Kosmos bez skafandra. Rozwiązał tę sprawę wyznaczając mi robotę przy ładowaniu mało ważnego towaru do Piątki Hester. Składały się nań przeważnie wachlarze modlitewne i próbki z Afrodyty. Praca ta zajęła mi dwa dni. Potem mianował mnie głównym chłopcem na posyłki dla trójki mężczyzn, którzy remontowali skafandry kolejnej grupy badaczy Afrodyty. Używali palników Heechów, za pomocą których zmiękczały metal na tyle, by dało się nim pokryć skafandry. Mnie oczywiście nie pozwalano się tego dotykać. Trzeba aż dwóch lat, żeby się nauczyć precyzyjnej obsługi palnika. Pozwolono mi za to przynosić skafandry i płyty metalu Heechów, przygotowywać narzędzia i kawę. . . no i wypróbować szczelność gotowych skafandrów w Kosmosie.

Na szczęście wszystkie były szczelne.

Dwunastego dnia z Gateway przybyły dwie Piątki wyładowane zapalonymi poszukiwaczami, którzy przywieźli całkowicie nieodpowiedni sprzęt. Wiadomość o Afrodycie nie zdążyła jeszcze dotrzeć na Gateway, więc nowicjusze nie mieli pojęcia, jakie atrakcje na nich czekała. Wśród nich znajdowała

OGŁOSZENIA DROBNE

SZEROKOLISTNIEC ZACIENIONY, ręcznie hodowany i zwijany. Skręt 2 dol. 87-307.
POSZUKIWANY Agosto T. Agnelli. Jeśli znasz jego aktualne miejsce pobytu, skontaktuj się z Interpolem przez Służbę Bezpieczeństwa Korporacji. Nagroda.

OPOWIADANIA I WIERSZE wydane w książce to najdoskonalszy sposób przekazania potomnym swoich wspomnień. Zaskakująco niska cena. Agent Wyd. 87-349.

CZY JEST KTOŚ Z Pittsburga lub Paducah? Tęsknię za domem. 88-226.

się młoda dziewczyna na wyprawie naukowej, w swoim czasie uczennica profesora Hegrameta, która miała zrobić badania antropometryczne Gateway-2. Norio Ituno, wykorzystując swe stanowisko, skierował ją na Afrodytę i zarządził wspólne przyjęcie powitalne i pożegnalne. Dziesięciu przybyszów i ja jedenasty stanowiliśmy grupę liczniejszą od gospodarzy, ale ci naszą przewagę ilościową spokojnie nadrabiali tempem picia. W sumie było to bardzo udane przyjęcie. Okazało się, że jestem już sławny. Nowo przybyli nie mogli się nadziwić, że skasowałem statek Heechów i ciągle jeszcze żyję.

Wyjeżdżałem wręcz ze smutkiem, nie mówiąc oczywiście o strachu.

Ituno wlał sporą porcję ryżowej whisky do mojej szklaneczki i zaproponował toast. — Bardzo żałuję, że wyjeżdżasz, Broadhead. Na pewno nie zmienisz zdania? W tej chwili mamy

więcej opancerzonych statków i skafandrów niż poszukiwaczy, choć trudno przewidzieć, ile to jeszcze potrwa. Jeśli jednak zdecydowałbyś się po powrocie...

— Na pewno się nie zdecyduje — odrzekłem.

— Banzai — powiedział i wypił. — Czy nie znasz przypadkiem starszego faceta, który nazywa się Bakin?

— Shicky'ego? Jasne. To mój sąsiad.

— Przekaż mu pozdrowienia ode mnie — poprosił nalewając na tę okazję. — To wspomniały gość, choć jest trochę do ciebie podobny. Byłem z nim przy tym wypadku: przytrzasnął się w ładowniku, kiedy musieliśmy odpalić. Śmierć już zaglądała mu w oczy. Zanim dotransportowaliśmy go na Gateway, cały napuchł i śmierdział jak sto diabłów. Dwa dni później musieliśmy mu obciąć nogi. Zrobiłem to własnymi rękoma.

— Rzeczywiście, wspomniały z niego facet — powiedziałem z roztargnieniem kończąc drinka i wyciągając szklaneczkę po jeszcze. — Ale dlaczego uważasz, że jesteśmy podobni?

— Tak jak ty, nie potrafisz podjąć decyzji. Ma dosyć forsy na Pełny Serwis, ale trudno mu się zdecydować na wydanie jej. Mógłby przecież mieć nogi i znowu wyruszyć. Ale gdyby mu się nie powiodło, nic by mu nie zostało. Więc tak to wszystko ciągnie i nadal jest kaleką.

Odstawiłem szklaneczkę. Nie miałem już ochoty na więcej. — Cześć, Ituno. Idę spać — powiedziałem.

Przez dłuższą część drogi powrotnej pisałem listy do Klary, choć nie wiedziałem, czyje kiedykolwiek wyśle. Nie miałem w zasadzie nic innego do roboty. Hester okazała się zadziwiająco sprawna seksualnie jak na niewysoką panią przy kości i w średnim wieku. Ale oczywiście jako rozrywka ma to swoje granice, a przy ładunku, który wypełniał statek, brakowało miejsca na cokolwiek innego. Dni upływały podobnie — seks, pisanie, spanie... i rozmyślanie.

Zastanawiałem się, dlaczego Shicky Bakin chciał pozostać kaleką — a tym sposobem mogłem jakoś stawić czoła myśli, że i ja chciałem nim być.

Rozdział dwudziesty piąty

— Wyglądasz na zmęczonego — mówi Sigfrid.

To nawet dość zrozumiałe. Weekend spędziłem na Hawajach. Ulokowałem tam trochę pieniędzy w turystyce, więc zdjęli mi to z podstawy opodatkowania. Na Wielkiej Wyspie przeżyłem dwa cudowne dni: rano było dwugodzinne spotkanie z akcjonariuszami, a popołudnia spędzałem w towarzystwie jednej z pięknych wyspiarek na plaży bądź w wyposażonym w szklane dno katamaranie przyglądając się, jak wielkie manty dopraszające się jedzenia nurkują pod łodzią. Całą drogę powrotną przyszło mi jednak zмагаć się ze strefami zmiany czasu, wróciłem więc wyczerpany.

Tyle tylko, że nie są to sprawy, które Sigfrida rzeczywiście interesują. Nic go nie obchodzi, że jesteś w złej formie fizycznej. Nic go nie wzrusza, że na przykład złamałeś nogę, chce tylko wiedzieć, czy przypadkiem nie marzy ci się rżnięcie własnej matki.

— Jestem zmęczony — mówię. — Dajmy sobie więc spokój z tymi wstęпами. Przejdźmy od razu do uczucia Edypalnego wobec matki.

— A miałeś je. Bob?

— Każdy przecież je ma.

— Może chciałbyś o tym porozmawiać?

— Nie za bardzo.

Czeka, tak zresztą jak i ja. Sigfrid znowu się wysilił, jego gabinet wygląda teraz jak pokój dziecienny sprzed czterdziestu lat. Na ścianie hologramy skrzyżowanych rakietek pingpongowych. Sztuczne okno z równie sztucznym widokiem Gór Skalistych podczas zamieci. Hologram półki z kasetami nagrań „Przygód Tomka Sawyera” i „Zaginionych Marsjan”, i jeszcze jakieś inne tytuły, których nie mogę odczytać. Wszystko tu jest swojskie, ale żadną miarą nie przypomina pokoju z moich lat dzieciennych. Był on malutki, wąski i prawie w całości wypełniała go stara kanapa, na której spałem.

— Czy już wiesz, o czym chciałbyś porozmawiać. Bob? — próbuje łagodnie Sigfrid.

— No jasne. — Po chwili zmieniam zdanie. — Nie, nie jestem pewien. — W rzeczywistości jednak wiem. W drodze z Himalajów poczułem ból i to bardzo mocny. Leciałem pięć godzin, z tego połowę pogrążony we łzach. Było to prawie zabawne. Obok mnie siedziała urocza biała Hawajka, która udawała się na wschód. Od razu postanowiłem poznać ją bliżej. A stewardesa była ta sama, co w tamtą stronę, z nią zdążyłem się już zapoznać.

Siedziałem więc w samym końcu pierwszej klasy ponaddwiętkowca popijając drinki, którymi częstowała mnie stewardesa i rozmawiając z moją piękną sąsiadką, i za każdym razem, kiedy dziewczyna zapadała w drzemkę lub szła do toalety, a stewardesa patrzyła w innym kierunku — wstrząsały mną spazmy tłumionego gwałtownego płaczu.

Gdy natomiast jedna z nich spoglądała w moją stronę, byłem na powrót uśmiechnięty, rażny i czujny...

— Czy chcesz mi powiedzieć, co teraz czujesz, Bob?
— Powiedziałbym ci, gdybym tylko wiedział.
— Naprawdę nie wiesz? Czy nie przypominasz sobie, co przed chwilą chodziło ci po głowie, kiedy milczałeś?
— Oczywiście! — Waham się, po chwili jednak mówię: — Do diabła, Sigfrid! Wydaje mi się, że czekałem tylko, by ktoś mnie utulił. Pewnego dnia zajrzałem sobie w duszę i to bolało. Nie uwierzysz, jak bardzo. Płakałem jak dziecko.
— Co to było?
— Właśnie próbuję ci opowiedzieć. Dotyczyło to... hm. Dotyczyło to częściowo mojej matki. Ale również... No, wiesz — Dane Miecznikowa. Miałem...
— Jak sądzę, masz na myśli marzenia o stosunkach analnych z Miecznikowem. Czy nie tak. Bob?
— Taak. Masz dobrą pamięć, Sigfrid. Kiedy płakałem, miało to związek z moją matką. Częściowo...
— Mówiłeś już o tym. Bob.

RAPORT LOTU

Pojazd A3-77. Wyprawa 036D51. Załoga T. Parremo, N. Ahoya, E. Nimkin.

Czas przelotu: 5 dni 14 godzin. Pozycja — w pobliżu Alfa Centauri A.

Resumé: „Planeta bardzo przypomina Ziemię, porasta ją gęsta roślinność, głównie koloru żółtego. Atmosfera zbliżona do mieszanki gazowej Heechów. Jest to ciepła planeta bez biegunowych czap śniegu, o temperaturze przy równiku odpowiadającej ziemskiej strefie podzwrotnikowej. Strefa umiarkowana rozciąga się do biegunów. Nie wykryliśmy śladów życia zwierzęcego, ani jego sygnat (metanu, itd.). Niektóre formy roślinne żerują w bardzo powolnym tempie wysuwając nadziemną część przypominającą lianę, która obwinawszy się dokoła innych roślin z powrotem wrasta w ziemię. Zmierzona przez nas maksymalna prędkość wynosiła średnio 2 km na godzinę. Nie odnaleźliśmy żadnych artefaktów. Lądowania dokonali Parremo i Nimkin, którzy pobrali próbki roślinności, lecz którzy zmarli najprawdopodobniej na skutek reakcji potoczystej. Na ciałach ich utworzyły się ogromne pęcherze, które wkrótce stały się bardzo bolesne i swędzące. Nastąpiły duszności spowodowane prawdopodobnie gromadzeniem się płynu w płucach. Nie wpuściłem ich na pokład statku, nie dopuszczając do kontaktu z lądownikiem. Zanotowałem ich ostatnie słowa, a następnie odpaliłem lądownik. Statek powrócił więc w niekompletnym stanie”.

Opinia Korporacji: Przez wzgląd na dotychczas nienaganne postępowanie N. Ahoi nie wyciąga się wobec niego żadnych konsekwencji.

— No dobra — milknę. A Sigfrid czeka. Ja zresztą też. Przypuszczam, że chcę, by mnie znowu ktoś utulił i po chwili Sigfrid wychodzi mi naprzeciw.

— Zobaczmy, czy mogę ci w czymś pomóc — mówi. — Zastanówmy się, co twój stosunek do matki ma wspólnego ze spółkowaniem analnym z Dane Miecznikowem.

Czuję, że coś się we mnie dzieje. Tak jakby miękkie wilgotne wnętrze klatki piersiowej zaczynało podchodzić mi do gardła. Gdybym teraz chciał coś powiedzieć, a nie kontrolował mego głosu, byłby drżący i beznadziejnie smutny. Próbuję więc nad nim zapanować, choć

zdaję sobie doskonale sprawę, że takiego wzruszenia nie mogę przed nim ukryć: dzięki odczytom czujników wie na podstawie drżenia mięśnia trójgłowego czy wilgotności dłoni, co się dzieje wewnątrz mnie.

W każdym bądź razie próbuję. — Posłuchaj, Sigfrid — mówię tonem nauczyciela biologii objaśniającego słuchaczom spreparowaną żabę. — Moja matka mnie kochała. Wiedziałem o tym i ty także to wiesz. To logiczne, że nie miała innego wyboru. Freud podobno powiedział, iż z chłopca, który ma pewność, że jest pupilkiem matki, nigdy nie wyrośnie neurotyk. Tylko, że...

— Daj spokój, Robbie. To nie jest zupełnie tak, jak mówisz, a poza tym intelektualizujesz. Tak naprawdę, to czcze gadanie zupełnie cię nie obchodzi i ty dobrze o tym wiesz. Grasz na zwłokę, co?

Innym razem za takie coś powyrywałbym mu wszystkie kable, jednak dzisiaj prawidłowo odgadł mój nastrój. — W porządku, ale jestem pewien, że matka mnie kochała. Musiała mnie kochać! Byłem jej jedynym synem. Mój ojciec nie żył — tylko bez tego pochrząkiwania, Sigfrid, zaraz do tego dojdę. Jej miłość do mnie była logiczną koniecznością i ja to tak odbierałem, choć nigdy mi tego nie powiedziała. Nigdy.

— Czy to znaczy, że przez całe życie ani razu nie powiedziała, że cię kocha?

— Nie! — krzyczę. Po chwili odzyskuję panowanie nad sobą. — Ale przynajmniej nigdy mi tego nie powiedziała wprost. Owszem, kiedy miałem jakieś osiemnaście lat i właśnie zasypiałem, usłyszałem, jak w sąsiednim pokoju mówiła do jednej ze swoich przyjaciółek, że jestem wspaniałym chłopakiem. Była ze mnie dumna. Już nie pamiętam, co takiego zrobiłem, znalazłem pracę czy zdobyłem jakąś nagrodę, ale w tamtej chwili była ze mnie dumna i kochała mnie, i powiedziała to... tyle, że nie do mnie.

— Mów dalej. Bob.

— Mówię przecież! Daj mi trochę czasu. To boli. Sądzę, że to właśnie nazywasz bólem pierwotnym.

— Proszę cię. Bob, nie stawiaj sobie diagnozy. Po prostu mów. Pozwól, by to samo z ciebie wylazło.

— A, cholera...

Sięgam po papierosa i zatrzymuję się w pół ruchu. Taki wybieg daje dobre wyniki, zwłaszcza kiedy Sigfrid mi nie popuszcza, ponieważ prawie zawsze zaczyna wtedy dochodzić, czy przypadkiem nie próbuję dać upust napięciu, zamiast się z nim uporać. Tym razem czuję jednak zbyt duże obrzydzenie do samego siebie, Sigfrida, a nawet matki. Chcę mieć to już za sobą. — Posłuchaj — mówię więc — to było tak. Bardzo kochałem matkę i wiem — wiedziałem! — że i ona mnie kochała. Ale nie umiała tego okazać.

Zdaję sobie nagle sprawę, że trzymam w dłoni papierosa i gniotę go nie zapalając. Sigfrid zaś — to dziwne — nawet tego nie skomentował. — Nie wyraziła tego w słowach — brnę dalej. — I nie tylko to. Wiesz, to zabawne, jednak nie przypominam sobie, by mnie kiedykolwiek dotykała. Czasami mnie całowała na dobranoc. W czubek głowy, i pamiętam, że opowiadała mi bajki. Była też zawsze, kiedy jej potrzebowałem. Ale...

Muszę przerwać na moment, by zapanować nad swoim głosem. Głęboko i spokojnie wciągam powietrze przez nos koncentrując się, by oddychać równomiernie.

— Jak widzisz, Sigfrid — mówię dokładnie ważąc słowa i ciesząc się z klarowności i precyzji, z jaką je wygłaszam — nie dotykała mnie zbyt często. Z jednym tylko wyjątkiem. Była dla mnie bardzo dobra, kiedy chorowałem. A chorowałem często. Wszyscy mieszkający w po-

blizu kopalni żywności cierpieli na krwotoki z nosa i infekcje skórne. Sam wiesz, jak to jest. Dawała mi wszystko, czego potrzebowałem. Była przy mnie, Bóg raczy wiedzieć, jak sobie radziła pracując i opiekując się mną jednocześnie, i kiedy byłem chory. . .

— Dalej, Robbie — zachęca po chwili Sigfrid — wyduś to.

Próbuję, ale ponieważ wciąż jestem zakłopotany, mówi:

— Powiedz to szybko. Wyrzuć z siebie. Nie martw się, czy cię rozumiem i czy ma to jakiś sens. Musisz się tego pozbyć.

— Mierzyła mi temperaturę — wyjaśniam. — Dobrze wiesz, jak to wygląda. Wkładała mi w tyłek termometr i trzymała go — ile to mogło być — jakieś trzy minuty. A potem wyjmowała i odczytywała temperaturę.

Jestem już prawie na granicy wybuchu. Chcę, żeby nastąpił, ale wpierw pragnąłbym przejść przez to wszystko — od początku do końca. Jest to wręcz seksualne przeżycie — jak wtedy, gdy decydujesz się pójść do łóżka z kobietą i choć właściwie nie chcesz jej się tak bardzo oddać, jednak to robisz. Odmierzam swoje opanowanie, by go starczyło do końca. Sigfrid nic nie mówi i po chwili udaje mi się wykrztusić:

— Widzisz sam, jak to jest. To zabawne. Całe życie — ile tego będzie? — jakieś czterdzieści lat. A mnie ciągle nie opuszcza myśl, że bycie kochanym łączy się jakoś z wsadzaniem czegoś w tyłek.

Rozdział dwudziesty szósty

Na Gateway podczas mojej nieobecności zaszło sporo zmian. Podniesiono na przykład takse dzienną. W ten sposób Korporacja pragnęła pozbyć się paru darmozjadów, takich jak Shicky i ja. Nie była to pocieszająca wiadomość, znaczyła, że opłacony wcześniej podatek nie starczy, jak planowałem, na dwa lub trzy tygodnie ale tylko na dziesięć dni. Sprowadzono też grupę mądrali z Ziemi: astronomów, ksenotechników, matematyków. Przybył nawet stary profesor Hegramet, nieco poturbowany przez przeciążenie, mimo to jednak rażno skakał po tunelach Gateway.

Nie zmieniała się jedynie Komisja Oceniająca, przed którą właśnie siedziałem wierząc się niespokojnie jak na szpilkach, podczas gdy moja dobra przyjaciółka Emma wyjaśniała mi jaki ze mnie idiota. Właściwie mówił tylko pan Xien, Emma zajmowała się jedynie tłumaczeniem. Ale robiła to z upodobaniem.

— Ostrzegałam cię, że coś spieprzysz. Powinieneś być mnie posłuchać. Po co zmieniłeś ustawienie kursu?

— Mówiłem już. Kiedy zorientowałem się, że jestem na Gateway-2, nie mogłem znieść tej myśli. Chciałem dotrzeć gdzieś indziej.

— To było wyjątkowo głupie z twojej strony.

Spojrzałem na Xiena. Uwiesiwszy się za zwinięty kołnierzyk na ścianie uśmiechał się łaskawie.

— Róbcie, co chcecie — powiedziałem — ale dajcie mi już święty spokój.

— Robię to, na co mam ochotę — rzekła Emma z uśmiechem — ponieważ to właśnie muszę robić. Należy to do moich obowiązków. Wiedziałeś, że przepisy nie pozwalają na zmianę kursu.

— Jakie znowu przepisy? Chodziło przecież o mój własny tyłek.

— Przepisy, które mówią, że nie wolno ci zniszczyć statku — wyjaśniła. Nie odpowiedziałem. Wyszczebiotała więc parę przetłumaczonych zdań Xienowi. Ten wysłuchał z uwagą, wydał wargi i wygłosił po swojemu dwa zgrabne ustępy, w których wyraźnie słychać było interpunkcję.

— Pan Xien mówi — tłumaczyła Emma — że jesteś bardzo nieodpowiedzialną osobą. Zniszczyłeś niezastąpioną część wyposażenia, które nie było twoją własnością, należało bowiem do całej ludzkości. — Wyćwierkał kilka dalszych zdań, które przetłumaczyła. — Dopóki nie będziemy mieli bliższych informacji o uszkodzonym przez ciebie statku, nie możemy ustalić zakresu twojej odpowiedzialności. Pan Ituno postara się przy pierwszej sposobności dostarczyć wyniki pełnego przeglądu pojazdu. W czasie, kiedy przekazywałeś swój ostatni raport, dwóch naszych ksenotechników udawało się na Afrodytę. Pewnie są już na Gateway-2 i spodziewamy się, że ich ustalenia dostarczy tu najbliższy pilot zewnętrzny. Wtedy wezwie my cię ponownie.

Przerwała spoglądając na mnie, a ja spojrzenie jej odebrałem jako koniec przesłuchania. — Dziękuję — powiedziałem i skierowałem się w stronę drzwi. Pozwoliła mi przejść przez cały pokój, nim rzekła:

— Jeszcze jedno, Broadhead. Raport pana Ituno wspomina, że na Gateway-2 pracowałeś przy załadunku i testowaniu skafandrów. Upoważnia on nas także do wypłacenia ci sumy w wysokości — chwileczkę — dwóch i pół tysiąca dolarów. Zaś pilot zewnętrzny, Hester Bergowiz — kontynuowała — poleciła odliczyć na twoją korzyść jeden procent z jej premii za pomoc w drodze powrotnej. Pieniądze te zostały przekazane na twoje konto.

— Nie zawierałem z nią żadnego kontraktu — rzekłem zdziwiony.

— Owszem. Ona jednak uważa, że należy ci się jakaś działka. Niewielka, prawdę mówiąc. Całość — spojrzała na mnie znad kartki papieru — wyniesie 2500 plus 5500, razem — osiem tysięcy dolarów.

Osiem tysięcy dolarów! Poszedłem w stronę zlotni, chwyciłem za linę i zamyśliłem się głęboko. Było tego za mało, by w zasadniczy sposób zmienić moje położenie. Z pewnością i tak by nie wystarczyło na pokrycie kosztów, jakimi obciążą mnie za zniszczenie statku. Żadne pieniądze nie będą tego w stanie spłacić, jeśli przyjdzie im do głowy zażądać ode mnie pełnej równowartości — bo nie ma takiej sumy, która by ją mogła określić.

Z drugiej strony, było to o osiem tysięcy dolarów więcej niż miałem przedtem.

Uczciłem to stawiając sobie drinka w Błękitnym Piekielku. Popijając

RAPORT LOTU

Pojazd 1-103. Wyprawa 022D18. Załoga G. Herron.

Czas przelotu: 107 dni 5 godzin.

Uwaga: czas powrotu — 103 dni 15 godzin.

Wyciąg z dziennika podróży: Po 84 dniach i 6 godzinach lotu Spirala Q zaczęła się zarzyć, również lampki kontrolne wykazały niezwykłą aktywność. W tym samym czasie poczułem zmianę kierunku siły ciągu. Takie zmiany występowały przez około godzinę, po czym światło Q zgasło i wszystko wróciło do stanu pierwotnego.

Wnioski: Zmiana kursu prawdopodobnie celem uniknięcia jakiegoś przejściowego niebezpieczeństwa, niewykluczone, że gwiazdy lub innego ciała niebieskiego. Zaleca się przejrzanie dzienników wypraw przez komputer celem odszukania podobnych przypadków.

zastanawiałem się nad tym, co mam do wyboru. Im więcej jednak o tym myślałem, tym bardziej wybór się zmniejszał.

Uznają mnie winnym, co do tego nie było najmniejszej wątpliwości, a kara, jaką mi wymierzą, wyniesie setki tysięcy dolarów. Może zresztą i dużo więcej, co i tak będzie bez znaczenia, ponieważ nie miałem nic. . . Trudno martwić się o coś, czego się nie ma.

Jeśli się nad tym zastanowić, moje osiem tysięcy było darem wróżki, który zniknie wraz z poranną rosą. Jak tylko z Gateway-2 dotrze raport ksenotechnika, Komisja zbierze się ponownie i to już będzie koniec.

Nie miałem więc szczególnego powodu, by trząść się nad tymi pieniędzmi. Śmiało mogłem je wydać.

A także większego sensu nie miała myśl o powrocie do sadzenia bluszczu — zakładając nawet, że dostałbym tę pracę, skoro Shicky przestał być już zastępcą kierownika. W chwili, kiedy wydadzą na mnie wyrok, moje konto bankowe przestanie istnieć. Anulowane zostaną również uiszczone wcześniej opłaty dzienne. A mnie samego natychmiast wyrzucą z Gateway.

Gdyby w porcie znajdował się przypadkiem statek lecący na Ziemię, mógłbym wtedy się załapać i prędzej czy później znalazłbym się ponownie w

UWAGI NA TEMAT CZARNYCH DZIUR

Dr Asmenion: A więc jeśli następuje kolaps gwiazdy o masie trzykrotnie większej od Słońca, nie przemienia się ona po prostu w gwiazdę neutronową. Kolaps trwa nadal i w końcu ciało to staje się tak gęste, że prędkość ucieczki przekracza 30 milionów centymetrów na sekundę, co równa się — czemu?

Pytanie: Prędkości światła?

Dr Asmenion: Brawo, Galina. A zatem światło nie może uciec. Więc obiekt ten jest czarny. Dlatego właśnie nazywa się go czarna dziura. Ale gdyby zbliżyć się do niego dostatecznie blisko, stwierdzilibyśmy, zewnątrz tego, co nazywamy ergosferą, nie jest wcale czarne. Zapewne dałoby się tam coś zobaczyć.

Pytanie: Jak to może wyglądać?

Dr Asmenion: Cholera wie. Może ktoś doleci do czarnej dziury po powrocie nam o niej opowie. Jeśli mu się uda. Ale pewnie się nie uda. Niewykluczone, że można do niej dotrzeć tak blisko, wziąć odczyt i jeszcze powrócić po... no, co najmniej milionowa nagrodę. Wyobrażam sobie, że trzeba by przesiąść się do lądownika i odpalić kapsułę w kierunku obiektu, co dałoby lądownikowi dodatkowa prędkość na wydostanie się stamtąd. Nie byłoby to takie proste, ale może w sprzyjających warunkach... Tylko co wtedy? Lądownik sam nie powróci. A manewr odwrotny nie dałby wiele, gdyż masa lądownika jest za mała... Wydaje mi się jednak, że naszemu przyjacielowi Bobowi rozmowa ta nie sprawia zbytnej przyjemności, więc powróćmy lepiej do typów planet i chmur pyłowych.

Wyoming, gdzie zacząłbym się znowu starać o pracę w kopalni żywności. Jeśli jednak takiego statku nie będzie, to gorzej. Może bym namówił załogę amerykańskiego krążownika, a może i brazylijskiego — jeśli tylko Franczy Hereira mógłby mnie poprzeć — żeby choć trochę przetrzymali mnie na pokładzie, dopóki nie pojawi się jakiś statek. A może i to by się nie udało.

Zważywszy na to wszystko, moje szansę przedstawiały się marnie.

Najlepsze, co mogłem zrobić, to uprzedzić Korporację w jej działaniu, a wtedy miałem dwie rzeczy do wyboru.

Zabrać się najbliższym statkiem na Ziemię i wrócić do kopalni nie czekając na decyzję Komisji.

Lub wyruszyć jeszcze raz.

Były to dwie rozkoszne możliwości. Jedna znaczyła porzucenie na zawsze wszelkich marzeń o dostatnim życiu... a drugiej panicznie się bałem.

Gateway przypominała ekskluzywny klub, gdzie nigdy nie wiadomo, który z jego członków jest akurat na miejscu. Louise Forehand nie było, jej mąż, Sess, przed kolejną wypra-

wą cierpliwie trzymał straż oczekując na powrót jej lub pozostałej przy życiu córki. Pomógł mi z powrotem wprowadzić się do mojego pokoju, który czasowo zajmowały trzy Węgierki, zanim szczęśliwie odleciały razem w Trójce. Z przeprowadzką nie było żadnego kłopotu, miałem już tylko rzeczy zakupione w kantynie.

Jedynie Shicky Bakin był wciąż ten sam, niezawodnie przyjacielski i zawsze na miejscu. Zapytałem go, czy przypadkiem nie dotarły do niego jakieś wieści o Klarze. Odrzekł, że nie. — Wyruszaj, Bob — nalegał. — Nie pozostaje ci nic innego.

— Taak — nie miałem ochoty się z nim spierać, miał niewątpliwie rację. Być może mógłbym... — Chciałbym nie być tchórzem — powiedziałem — ale niestety jestem. Nie wiem, jak dam radę jeszcze raz wsiąść na statek. Nie starczy mi odwagi, by przez sto kolejnych dni stawiać czoła lękowi przed śmiercią, która może nastąpić w każdej chwili.

Chrząknął i zeskoczył z szafki, by poklepać mnie po ramieniu. — Nie potrzebujesz jej aż tyle — rzekł odtruwając z powrotem. — Potrzebujesz jej tylko na jeden dzień, by podjąć decyzję i odlecieć. Potem i tak już nie masz wyboru.

— Sądzę, że mógłbym to zrobić — powiedziałem — jeśli teoria Miecznikowa odnośnie kodu barw okazałaby się prawdziwa. Ale część z tych, którzy wyruszyli na podobno „bezpieczne” loty, już nie żyje.

— To tylko kwestia statystyki. Ale prawdą jest, że ilość bezpiecznych wypraw jest teraz większa, podobnie jak i pomyślnych. Oczywiście, różnica jest nieznaczna. Ale zawsze.

— Jednak ci, którzy zginęli, mimo wszystko nie żyją — zauważyłem. — Ale... może jeszcze raz pogadam z Danem.

Shicky spojrzał na mnie zaskoczony.

— On polecał.

— Kiedy?

— Mniej więcej w tym samym czasie, co i ty. Myślałem, że wiesz.

Zapomniałem o tym.

— Ciekawe jestem, czy znalazł to, czego szukał?

Shicky potarł brodę ramieniem utrzymując równowagę za pomocą leniwych uderzeń skrzydeł. Potem zeskoczył z szafki i pofrunął do piezofonu.

— Zobaczmy — powiedział wciskając guziki. Na ekranie pojawiła się tablica z listą wypraw. — Lot 88-173 — odczytał. — Premia 150 tysięcy dolarów. Chyba nie za dużo, co?

— Sądziłem, że szykował się na coś większego.

— A zatem nie udało mu się — powiedział Shicky czytając dalej. — Tu jest napisane, że powrócił wczoraj.

Ponieważ Miecznikow w pewnym sensie obiecał podzielić się ze mną swoimi doświadczeniami, rozsądne byłoby z nim porozmawiać, nie miałem jednak ochoty na słuchanie głosu rozsądku. Sprawdziłem, że nic nie znalazł i mógł się pochwalić jedynie niewielką premią. Nie poszedłem więc do niego.

Tak naprawdę to niewiele w ogóle robiłem. Wtoczyłem się po okolicy.

Gateway nie jest najciekawszym miejscem we Wszechświecie, ale mimo to znajdowałem sobie jakieś zajęcia. W każdym razie była lepsza od kopalni żywności. Mijające godziny nieuchronnie przybliżały mnie do chwili, kiedy nadejdzie raport ksenotechnika, starałem się jednak o tym nie myśleć. Piłem drinka za drinkiem w Błękitnym Piekiełku zawierając znajomości z przygodnymi turystami, z ludźmi z krążowników, z tymi, którzy wrócili z wypraw,

jak i z nieopierzeńcami przebywającymi na Gateway z przeludnionych planet. Rozglądałem się — jak mi się wydaje — za jakąś nową Klarą. Nikt taki się jednak nie pojawił.

Jeszcze raz przeczytałem listy, które napisałem do niej podczas podróży z Gateway-2, po czym podarłem je. Drogą radiową przesłałem jej natomiast krótkie przeprosiny i zapewnienia o moim uczuciu. Ale nie zastały Klary na Wenus! Zapomniałem już bowiem, jak długo ciągnie się orbita Hohmanna. Stacja lokacyjna bez trudu zidentyfikowała statek, którym opuściła Gateway, był to prawotorowy orbiter stale wchodzący w kontakt z liniowcami kursującymi pomiędzy planetami w płaszczyźnie ekliptyki. Zgodnie z zapisem, jej statek napotkał w umówionym miejscu frachtowiec z Marsa, a następnie luksusowy liniowiec wenusjański ze sztucznym ciężeniem na pokładzie, prawdopodobnie przesiadła się na jeden z nich, nie wiedzieli tylko, na który — a żaden w przeciągu miesiąca czy nawet dłużej nie dotrze do swego miejsca przeznaczenia.

Posłałem więc na oba statki kopie mego radiotelegramu, ale nie otrzymałem żadnej odpowiedzi.

Dziewczyna, z którą zapoznałem się najbliżej, była podoficerem na brazylijskim krążowniku. Przeprowadził ją Francys Hereira. — Moja kuzynka -

OGŁOSZENIA DROBNE

CZY SA na Gateway osoby mówiące po angielsku i zarazem niepalące? Mamy dla nich wolne miejsce w załodze. Nie chcemy skracać sobie życia i uszczuplać zapasów powietrza. Palacze, trujcie się sami. 88-775.

DOMAGAMY SIĘ udziału poszukiwaczy w Radzie Korporacji! Jutro o 13.00 odbędzie się więc na Poziomie Laleczka, na który zapraszamy wszystkich.

WYBORU LOTU dokonasz poznając swoje sny. 32-stronicowy poradnik za jedyne 10 dol. powie ci, jak to zrobić. Konsultacje 25 dol. 88-139.

powiedział zapoznając nas. — Musisz wiedzieć, Bob — wyjaśnił mi później na osobności — że nie przejawiam rodzinnych uczuć do swych kuzynek. — Wszystkie załogi od czasu do czasu dostają przepustki na Gateway i chociaż, jak już mówiłem, Gateway to nie Waikiki czy Cannes, bez porównania jest lepsza od okrętu wojennego. Susie Hereira była bardzo młoda. Powiedziała, że ma dziewiętnaście lat, musiała mieć co najmniej siedemnaście, by służyć we flocie brazylijskiej, ale nie wyglądała na tyle. Nie mówiła za dobrze po angielsku, język jednak nie był aż tak niezbędny, by razem popijać drinki w Błękitnym Piekiełku, a kiedy znaleźliśmy się w łóżku odkryliśmy, że choć nie porozumiewamy się zbyt często w sensie werbalnym, nasze ciała znakomicie się ze sobą dogadują.

Susie spędzała jednakże na Gateway tylko jeden dzień w tygodniu, pozostawało więc mnóstwo czasu, z którym trzeba było coś zrobić.

Próbowałem wszystkiego: zajęć terapeutycznych, pieszczot grupowych, lekcji miłości i nienawiści. A także wykładów starszka Hegrameta o Heechach. Czy też pogadanek z astrofizyki ukierunkowanych na zdobycie premii naukowych. Zręcznie rozkładając czas udało mi się wypełnić go w całości, więc decyzję ciągle odkładałem na później.

Nie chciałem jednak powiedzieć, że miałem jakieś konkretne plany. Przeciwnie, żyłem z dnia na dzień, a każdy z nich był do końca wypełniony. W czwartki odwiedzali mnie Susie

i Francy Hereira, i całą trójką wybieraliśmy się na lunch do Błękitnego Piekietka. Później Francy odłączał się, podrywał jakąś dziewczynę czy pływał w Wielkim Jeziorze. My zaś z Susie wycofywaliśmy się do mojego pokoju i zapasu trawki, by popływać sobie w ciepłych falach mojego łóżka. Po kolacji też coś się działo. W czwartki wieczorem odbywały się wykłady z astrofizyki: słuchaliśmy o diagramach Hertzsprung-Russella, czerwonych gigantach i karłach, gwiazdach neutronowych lub czarnych dziurach. Profesor był starym tłustym satyrem z jakiegoś niezbyt ważnego uniwersytetu koło Smoleńska, ale mimo wszystkich jego świńskich dowcipów, z tego co opowiadał przebijała poezja i piękno. Mówił o starych gwiazdach, które dały początek całemu życiu rozsiewając w Kosmosie krzemiany i węglany magnezu: z nich powstały nasze planety, a także węglowodory, z których z kolei powstaaliśmy my. Opowiadał o gwiazdach neutronowych tworzących wokół siebie dół grawitacyjny, wiedzieliśmy o tym, ponieważ dwa statki wchodząc zbyt blisko w normalną przestrzeń obok jednego z tych supergęstych karłów zginęły zgniecione na miazgę. Mówił o czarnych dziurach, czyli resztkach gwiazd, które dzisiaj poznajemy jedynie po tym, że pochłaniają wszystko, co jest w pobliżu — nawet światło, nie tyle tworzą ów dół grawitacyjny, co otulają się nim jak kocem. Opisywał nam gwiazdy rozrzedzone jak powietrze: ogromne chmury żarzącego się gazu, a także protogwiazdy z Mgławicy Oriona skupiające się teraz w rzadkie kłęby ciepłego gazu, które — być może za milion lat — staną się słońcami. Jego wykłady były bardzo popularne, uczęszczały na nie nawet takie stare wygi jak Shicky i Dane Miecznikow. Słuchając profesora czułem, jak cudowny i piękny jest wszechświat — zbyt ogromny i wspaniały, by przerażać. Dopiero później zacząłem zestawiać owe radioaktywne bagna i kłęby rozrzedzonego gazu z moją osobą — kruchym, wyleknionym, wrażliwym na ból stworzeniem, jakim było ciało, które zamieszkiwałem. A gdy myślałem, by wyruszyć do tych odległych olbrzymów... serce kurczyło mi się ze strachu.

Po jednym z tych spotkań pożegnałem się z Susie i Francy, usiadłem w alkuwie koło sali wykładowej na wpuł ukryty w bluszczu i zapaliłem skręta. Znalazł mnie tam Shicky, który machając skrzydłami zatrzymał się na wprost mnie. — Szukałem ciebie — powiedział i urwał.

Trawka właśnie zaczęła działać.

— Całkiem interesujący wykład — rzekłem nieobecny duchem szukając jednocześnie uczucia, którego oczekiwałem od skręta, i niezbyt zainteresowany obecnością Shicky'ego.

— Opuściłeś najciekawszą część — powiedział.

Kochany Tato, Mamo, Mariso i Pico-Joso!

Przekażcie ojcu Susie, że Susie ma się dobrze i że jej przeżyci są z niej zadowoleni. Sami zdecydujecie, czy powiecie mu również o tym, że ostatnio często widuje się z Robertem Brodeheadem. Jest to porządny facet, ale jak dotąd, nie miał zbyt wiele szczęścia. Susie poprosiła o urlop by wyruszyć na wyprawę i jeśli kapitan się zgodzi, prawdopodobnie poleci z Broadheadem. Wszyscy jednak mówimy o tym, że chcemy wyruszać, ale rzadko to robimy, jak wiecie, więc może nie należy się tym niepokoić.

Muszę już kończyć. Za chwilę cumujemy i zaczynam moją 48-godzinną przepustkę na Gateway.

Całuję was mocno.

Francesito

Przyszło mi na myśl, że wyglądał zarówno na przerażonego, jak i pełnego nadziei, coś więc musiało mu chodzić po głowie. Podalem mu skręta, pokręcił jednak głową. — Wydaje mi się — zauważył — że szykuje się coś ciekawego.

— Poważnie?

— No pewnie, że poważnie! Coś, co naprawdę jest warte zachodu. I to wkrótce.

Nie byłem na to przygotowany. Chciałem jeszcze palić, dopóki nie opadnie ze mnie dreszczyk wywołany wykładem, tak by móc potem powrócić do bezmyślnego zabijania czasu. Ostatnie, o czym chciałbym usłyszeć, to jakaś nowa wyprawa, na którą moje sumienie kazałoby mi się zapisać, a mój strach skazałby ją na niepowodzenie.

Shicky uchwycił się półki z bluszczem, wsparł się o nią i spojrzał na mnie zaciekawiony. — Bob, przyjacielu — powiedział — czy pomożesz mi, jeśli znajdę coś dla ciebie?

— Jak mam ci pomóc?

— Weź mnie ze sobą — krzyknął. — Wprawdzie żaden ze mnie pożytek w ładowniku, ale poza tym mogę robić wszystko. A w tym locie nie ma to — jak sądzę — i tak większego znaczenia. Premie są dla wszystkich, nawet dla tych, którzy zostaną na orbicie.

— O czym ty mówisz? — Trawka działała coraz silniej. Poczułem ciepło pod kolanami, a wszystko wokół mnie pokryła zacierająca kontury delikatna mgiełka.

— Miecznikow rozmawiał z wykładowcą — powiedział Shicky. — Z tego, co mówił wnoszę, że wie coś o jakiejś nowej wyprawie. Tylko, że oni rozmawiali po rosyjsku i nie za dobrze rozumiałem. Ale to ta misja, na którą czekał.

— Jego ostatnia wyprawa — zauważyłem rozsądnie — nie była zbyt owocna.

— Tym razem to co innego!

— Nie wydaje mi się, że Miecznikow dopuściłby mnie do czegoś naprawdę dobrego.

— Oczywiście, że nie, jeżeli go o to nie poprosisz.

— Do diabła — wymamrotałem. — Niech ci będzie. Porozmawiam z nim.

Shicky rozpromienił się.

— A wtedy weźmiesz mnie ze sobą, co?

Wygasiłem wypalonego mniej niż do połowy skręta. Czułem, że muszę pozbierać do kupy resztki myśli.

— Zrobię, co będę mógł — powiedziałem i skierowałem się ku sali wykładowej, właśnie kiedy Miecznikow z niej wychodził.

Nie rozmawialiśmy ze sobą od jego powrotu. Wyglądał jak zawsze masywnie, a baczki miał starannie przystrzyżone. — Cześć, Broadhead — rzucił podejrzliwie.

— Słyszałem, że masz w zanadru coś dobrego — przystąpiłem od razu do rzeczy. — Czy mogę polecieć z tobą?

— Nie — on także nie marnował słów. Spojrzał na mnie z nieukrywaną niechęcią. Nigdy nie oczekiwałem po nim czegoś innego, ale byłem także całkiem pewien, że częściowo zachowywał się tak, bo słyszał o tym, co zaszło między mną i Klarą.

— Ale lecisz? Co to jest? Jedyńka? — nie dawałem za wygraną.

Pogłodził się po baczkach.

— Nie — odpowiedział nieprzychylnie. — Dwie Piątki.

— Dwie Piątki?

Przez moment przyglądał mi się podejrzliwie, a potem prawie się uśmiechnął. Nie lubiłem tego jego uśmiechu, zawsze zastanawiało, co się za nim kryje.

— No dobra — rzekł. — Jeśli o mnie chodzi, to możesz sobie lecieć, i tak nie ja podejmuję decyzję. Musisz poprosić Emmę. Jutro rano robi odprawę, może ci pozwoli. To wyprawa naukowa z premią minimum miliona dolarów. A poza tym ma coś wspólnego z tobą.

— Ze mną? — Było to coś nieoczekiwanego. — W jaki sposób?

— Zapytaj się Emmy — powiedział wymijając mnie.

W pokoju odprawowym zebrało się kilkudziesięciu poszukiwaczy, z których większość znałem: Sess Forehand, Miecznikow i kilkoro innych, z jednymi popijałem, z innymi chodziłem do łóżka. Emmy jeszcze nie było, udało mi się jednak ją dopaść, kiedy wchodziła.

— Chciałbym załapać się na ten lot — powiedziałem.

Wydawała się zaskoczona.

— Naprawdę? Myślałam, że... — przerwała nie kończąc.

— Mam takie same prawo jak Miecznikow! — krzyknąłem.

— Nie masz jednak, do cholery, tak dobrej opinii, jak on. — Przyjrzała mi się uważnie. — Powiem ci coś, Broadhead — ciągnęła dalej. — To jest specjalna wyprawa i częściowo jesteś za nią odpowiedzialny. Błąd, który popełniłeś, naprowadził nas na interesujący ślad. Oczywiście, nie mam na myśli zniszczenia statku; to była głupota z twojej strony i jeśli istnieje jakaś sprawiedliwość w tym wszechświecie, zapłacisz za to. Czasami jednak ślepy traf podsuwa najlepsze pomysły.

— Dotarł do ciebie raport z Gateway-2 — spróbowałem zgadnąć.

Pokręciła głową.

— Jeszcze nie. Ale to nieważne. Tak jak to się zwykle robi, program twojego lotu wrzuciliśmy do komputera i otrzymaliśmy interesujący wynik. Ten kurs, który zawiódł cię na Gateway-2... — A, cholera — przerwała. — Wejdz do środka. Możesz przecież sobie posiedzieć podczas odprawy. Wtedy wszystko zrozumiesz, no a potem zobaczymy.

Wzięła mnie pod ramię i popchnęła do sali, w której kiedyś odbywały się moje zajęcia. Kiedy to było? Jakby milion lat temu. Usiadłem między Sessem i Shickym i czekałem na to, co miała nam do powiedzenia.

— Większość z was — zaczęła — została tu zaproszona, poza nielicznymi wyjątkami. Jednym z nich jest nasz znakomity kolega, Robinette Broadhead. Udało mu się — jak wszyscy wiemy — zniszczyć statek w pobliżu Gateway-2. Zgodnie z prawem powinniśmy pociągnąć

go do odpowiedzialności. Okazało się jednak, że zdążył przedtem odkryć przez przypadek kilka interesujących faktów. Kolory jego kursu różniły się od znanego nam układu dla lotu na Gateway-2 i kiedy komputer porównał je, otrzymaliśmy całkiem nową koncepcję selekcji kursów. Wygląda na to, że tylko pięć ustawień odnosi się do celu wyprawy, te, które zwykle prowadzą na Dwójkę i które wybrał Broadhead. Co oznaczają inne ustawienia, jeszcze nie wiemy. Ale mamy zamiar to wyjaśnić.

Odchyliła się do tyłu i założyła ręce.

— To wyprawa wielozadaniowa — powiedziała. — Coś zupełnie nowego. Na początek mamy zamiar wysłać dwa statki w tym samym kierunku.

Sess Forehand podniósł rękę. — Ale po co?

— Chociażby po to, by sprawdzić, czy rzeczywiście dotrą do tego samego miejsca przeznaczenia. Chcemy w nieznaczny sposób zmienić ustawienie, które — jak się nam wydaje — nie są istotne dla zasadniczego celu wyprawy. Planujemy też, że statki wystartują w odstępie trzydziestu sekund. O ile mamy słusność, po dotarciu na miejscu oba znajdą się od siebie w odległości równej drodze, jaką pokonuje Gateway w ciągu pół minuty.

Forehand zmarszczył czoło.

— Względem czego?

— Słuszne pytanie — zauważyła Emma. — Sądzymy, że względem Słońca. Ruchu gwiazdnego względem galaktyki nie musimy chyba brać pod uwagę. Przynajmniej zakładając, że cel wyprawy znajdzie się gdzieś wewnątrz galaktyki i nie aż tak daleko, by ruch galaktyczny posiadał zasadniczo inny wektor. To znaczy, jeśli byście pojawili się po przeciwnej stronie, prędkość wyniosłaby wtedy siedemdziesiąt kilometrów na sekundę względem środka galaktyki. Nie o to jednak chodzi. Spodziewamy się jedynie stosunkowo niewielkiej różnicy w prędkości i kierunku oraz... w każdym bądź razie, wasze statki powinny wyjść z nadświatłowej w odległości od dwóch do dwustu kilometrów od siebie.

— Oczywiście — kontynuowała uśmiechając się wesoło — to tylko teoria. Niewykluczone, iż ruchy względne nie mają żadnego znaczenia. W tym przypadku grozi wam jedynie zderzenie. Jesteśmy jednak prawie pewni, że wystąpi przesunięcie, choćby niewielkie. Od kolizji ratuje was już piętnaście metrów, czyli długość Piątki.

— A ile to jest — „prawie pewność” — zapytała jedna z dziewcząt.

— Hm — zastanowiła się Emma. — W granicach rozsądku. Skąd możemy wiedzieć, dopóki tego nie sprawdzimy?

— Wygląda to niebezpiecznie — stwierdził Sess. Nie wydawał się jednak tym przestraszony. Wyraził jedynie swą opinię. Tu różniliśmy się między sobą, ja starałem się zagłuszyć swój strach próbując się skoncentrować jedynie na technicznej stronie wyprawy.

Emma wyglądała na zaskoczoną.

— To ci się wydaje niebezpieczne? O prawdziwym niebezpieczeństwie jeszcze będzie mowa. Kursu tego nie przyjmują żadne Jedyńki, większość Trójek, a nawet niektóre Piątki.

— Dlaczego? — zapytał ktoś.

— Właśnie to macie odkryć — wyjaśniła cierpliwie. — Ten lot komputer wybrał jako najlepszy do wypróbowania korelacji między ustawieniami kursów. Lecicie opancerzonymi Piątkami, z których obie zaprogramować można na ten sam cel. A więc według Heechów macie niezłe szanse.

— Heechowie żyli dawno temu — zaoponowałem.

— Oczywiście. Nigdy nie mówiłam inaczej. Jest to niebezpieczna wyprawa, przynajmniej do pewnego stopnia. Dlatego płacimy milion.

Przerwała przyglądając się nam z powagą.

— Co przez to rozumiesz? — zaryzykował ktoś.

— Premię w wysokości miliona dolarów, którą każdy z was otrzyma po powrocie — powiedziała. — Przeznaczono na ten cel dziesięć milionów z funduszu Korporacji. Dzielone równo. Oczywiście są duże szanse, że będzie tego jeszcze więcej. Jeśli znajdziecie coś wartościowego, płacimy normalnie. Ponadto według komputera macie niezłe szanse.

— Dlaczego to jest warte dziesięć milionów? — zapytałem.

— Nie ja podejmuję decyzje — odpowiedziała cierpliwie. A potem spojrzała

UWAGI O SYGNATACH

Dr Asmenion: Kiedy poszukujemy śladów życia na jakiejś planecie, nie oczekujemy wielkiego transparentu — „Tu mieszkają Obcy”. Szukamy sygnat wskazujących, że coś się na tej planecie znajduje. Podobnie kiedy sygnujesz czek, dajesz kasjerowi do zrozumienia, że chcesz go zrealizować. Więc wypłaca ci pieniądze, ale oczywiście ciebie to nie dotyczy, Bob.

Pytanie: Nie lubię nauczycieli, którzy pieprzą głupoty.

Dr Asmenion: To tylko żart, Bob, Metan to jedna z podstawowych sygnat. Wskazuje na przykład na obecność ssaków ciepłokrwistych — lub ich odpowiedników.

Pytanie: Czy metan nie jest wynikiem gnicia roślinności?

Dr Asmenion: Owszem, ale w głównej mierze tworzy się w jelitach dużych przeżuwaczy. Większość metanu w atmosferze Ziemi wytwarzają pierdzące krowy.

na mnie już jak na konkretną osobę, a nie bezimiennego członka grupy i dodała: — Nawiasem mówiąc, Broadhead, anulujemy koszt zniszczonego przez ciebie statku. Tak więc to co zarobisz, będzie twoje. Milion dolarów! To okrągła sumka. Możesz wrócić do domu, założyć jakiś interes i spokojnie z niego żyć.

Spojrzeliliśmy po sobie. Emma siedziała uśmiechając się łagodnie i czekając. Nie wiem, o czym myśleli inni. Ja pamiętałem jedynie Gateway-2 i pierwszą podróż, kiedy to z oczyma wlepionymi w instrumenty wypatrywałem czegoś, czego nie było. Przypuszczam, że pozostali wspominali jakieś własne niepowodzenia.

— Start — powiedziała w końcu — nastąpi pojutrze. Chętni niech zgłoszą się do mego biura.

Zgodzili się na mnie. Shicky’ego natomiast odrzucili. Ale nie było to takie proste, takie sprawy nigdy nie są proste. To ja przyczyniłem się do tego, że Shicky miał nie polecieć. Pierwszą załogę zebrano bardzo szybko: Sess Forehand, dwie dziewczyny z Sierra Leone i jakaś para z Francji — wszyscy odpowiednio sprawdzeni, mówiący po angielsku i po kilku wyprawach. Na drugą Miecznikow zgłosił się jako kapitan — również od razu. Zaczął kompletować załogę od pary pedałów — Danny A. i Danny R. Potem, choć niechętnie, zgodził się na mnie. Zostało więc jedno wolne miejsce.

— Możemy zabrać twojego przyjaciela Bakina — powiedziała Emma. — Chyba, że wolisz kogoś innego?

— A kogo?

— Mamy podanie — wyjaśniła — od podoficera na brazylijskim krążowniku, Susan Heireiry. Przyznano jej urlop na tę wyprawę.

— Susie! Nie wiedziałem, że się zgłosiła.

Emma z zadumą spojrzała na kartę perforacyjną. — Ma wysokie kwalifikacje — zauważyła. — A także wszystkie części ciała. Chodzi mi — dodała słodkim głosem — oczywiście o jej nogi, choć rozumiem, że ciebie interesują również i inne jej organy. A może chciałbyś wyruszyć na tę wyprawę w roli pedała?

Poczułem wzbierający we mnie ślepy gniew. Nie jestem zbyt ortodoksyjny w sprawach seksu i nie przerażała mnie myśl o fizycznym kontakcie z mężczyzną. Ale — z Danen'em Miecznikowem? Czy też z jednym z jego kochanków?

— Hereira może być tutaj jutro — stwierdziła Emma. — Krążownik brazylijski zacumuje tuż po dotarciu orbitera.

— Dlaczego mnie o to pytaacie, do cholery! — warknąłem. — Miecznikow jest szefem.

— Woli tę decyzję zostawić tobie. Wybieraj więc.

— Wszystko mi jedno! — wrzasnąłem i wyszedłem z pokoju. Nie ma jednak czegoś takiego jak uchylanie się od decyzji. Gdybym nic nie zrobił, samo w sobie zdecydowałoby to o wycofaniu Shicky'ego z załogi. Gdybym starał się o niego, wzięliby go na pewno, bez tego ich wybór padł oczywiście na Susie.

Przez następny dzień unikałem Shicky'ego. W Błękitnym Piekiełku poderwałem jakąś nowicjuszkę, prosto po kursie, i spędziłem u niej noc. Nawet nie wróciłem do siebie, żeby się przebrać. Pozbyłem się wszystkiego i sprawiłem sobie nowy ekwipunek. Doskonale orientowałem się, gdzie Shicky może mnie szukać — w Piekiełku, w Parku, w Muzeum, trzymałem się więc z dala od tych miejsc. Do późnego wieczoru wtoczyłem się bez celu pośród wyludnionych tuneli nie napotykając na nikogo.

Później wziąłem się na odwagę i poszedłem na nasze pożegnalne przyjęcie. Będzie tam prawdopodobnie i Shicky, ale też i mnóstwo innych ludzi.

Rzeczywiście był. Tak jak Louise Forehand, która stanowiła centrum zainteresowania. A ja nie wiedziałem nawet, że wróciła.

Drogi głosie Gateway,

W zeszłym miesiącu wydałem 58,50 funtów z moich ciężko zarobionych pieniędzy, by zabrać swoją żonę i syna na „wykład” głoszony przez jednego z tych waszych „bohaterów”, który „zaszczycił” swą wizytą Liverpool (za co oczywiście płacili ludzie tacy jak ja). Nie przeszkadzało mi nawet tak bardzo, że nie był zbyt dobrym mówcą. Wkurzyło mi nawet tak bardzo, co powiedział. Twierdził mianowicie, że my biedni Ziemianie nie mamy pojęcia, jak ciężkie jest Wasze życie — szlachetnych ryzykantów.

No więc, dzisiaj rano pobrałem z konta ostatnie pieniądze, żeby kupić dla żony nowy płąt płucny (to oczywiście azbestoza melanomiana CV/E). Za tydzień muszę opłacić szkołę swojego chłopaka i nie mam pojęcia, skąd na to wezmę forszę. A dzisiaj, spędziwszy cztery godziny rano oczekując w dokach na jakiś przeladunek (którego zresztą nie było), dowiedziałem się, że brygadzysta mnie zwolnił, co znaczy, że jutro nawet nie mam tam po co czekać. A może któryś z waszych bohaterów miałby ochotę na jakieś tanie części zamienne? Sprzedaję wszystko: nerki, wątrobę, wszystko. Organy są w bardzo dobrym stanie, choć rzecz jasna przepracowały 19 lat w dokach. W zdecydowanie gorszym stanie są moje gruczoły łzowe, bo zbyt wiele wylałem łez nad waszym ciężkim losem.

H. Delacross

Mój adres:

„Wavetos”

Pokój B bis 17, Piętro 41

Mersyside L77PR 14JE6

Zobaczywszy mnie skinęła.

— Zarobiłam kupę forsy. Napij się. Bob, ja stawiam.

Pozwoliłem, by ktoś włożył mi kieliszek w rękę i skręta w drugą, i zanim się zaciągnąłem, udało mi się spytać, co takiego znalazła.

— Broń! Wspaniała broń Heechów. Setki sztuk. Sess mówi, że będzie za to przynajmniej pięć milionów. Plus procenty... jeżeli oczywiście komuś uda się ją skopiować.

Wypuściłem dym i resztki smaku zabiłem łykiem „Białej Błyskawicy”.

— Co to za broń?

— Przypomina koparki tunelowe, ale jest przenośna. Może przebić każdą powłokę. Podczas lądowania zginęła Sara alla Fanta — jedno z tych urządzeń przedziurawiło jej skafander. Działką Sary podzielię się więc z Timem, będzie więc tego dwa i pół miliona na głowę.

— Moje gratulacje — powiedziałem. — Wprawdzie wydaje mi się, że nowe sposoby zabijania są chyba ostatnią rzeczą, jaką ludzkość potrzebuje, tym niemniej jednak — gratuluję. — Osiągnąłem postawę moralnej wyższości, której właśnie potrzebowałem. Za mną, zawieszony w powietrzu, znajdował się Shicky i przypatrywał mi się.

— Chcesz pociągnąć? — zaproponowałem skręta.

Pokręcił głową.

— Shicky — powiedziałem — to nie ode mnie zależało. Mówiłem im, to znaczy... nie mówiłem im, żeby ciebie nie wzięli.

— A czy mówiłeś, żeby wzięli?

— To nie ode mnie zależało — powtórzyłem. — Posłuchaj — zauważyłem nagle wyjście z tej całej sytuacji. — Ponieważ Louise się udało, Sess prawdopodobnie nie polecą. Możesz przecież wejść na jego miejsce.

Cofnął się patrząc na mnie bacznie, zmienił się tylko wyraz jego twarzy.

— To ty nic nie wiesz? — zapytał. — Sess rzeczywiście odwołał swój udział, ale jego miejsce jest już zajęte.

— Przez kogo?

— Przez kogoś, kto właśnie stoi za tobą — powiedział. Odwróciłem się, a ona stała za mną trzymając kieliszek w dłoni i przyglądając mi się z wyrazem twarzy, którego nie mogłem odczytać.

— Cześć, Bob! — powiedziała Klara.

Do przyjęcia przygotowałem się odpowiednio wcześniej wypiwszy dostateczną ilość drinków w kantine, byłem już w dziewięćdziesięciu procentach pijany, a w dziesięciu skuty. Jednak kiedy patrzyłem na nią, wszystko

RAPORT LOTU

Pojazd 3-184. Wyprawa 019D140. Załoga S. Kotsis, A. McCarthy, K. Metsuoko.

Czas przelotu: 615 dni 9 godzin. Brak raportu załogi z miejsca przeznaczenia. Sferyczny zapis skanera niezrozumiały. Nie udało się zidentyfikować żadnych jego elementów.

Brak resumé.

Zapis z dziennika wyprawy: „To 281 dzień lotu. Metsuoko wyciągnął pusty los i popełnił samobójstwo. 40 dni później decyzję taką samą podjęła Alicia. Wszystko na darmo, bo nie nastąpił jeszcze obrót. Racje, które pozostały, nie wystarczą mi, nawet jeśli wliczę w to ciała Alicji i Kenny’ego, które nadal spoczywają nietknięte w zamrażalniku. Przystawiam więc pojazd na kontrolę automatyczną i połykam pigułkę. Pozostawiliśmy listy, które prosimy przekazać odpowiednim adresatom, o ile oczywiście ten cholerny statek kiedykolwiek powróci”.

Program Lotów wysunął sugestię, że Piątka z podwójną racją żywności i jednoosobową załogą mogłaby wykonać to zadanie i szczęśliwie powrócić. Propozycja włączona do programu realizowanego w dalszej kolejności, gdyż brak istotnych korzyści, które by z niej wynikały.

wyparowało ze mnie natychmiast. Postawiłem kieliszek, dałem komuś skręta, wziąłem Klarę za rękę i wyprowadziłem z pokoju.

— Czy dostałaś moje listy? — zapytałam.

Wyglądała na zaskoczoną.

— Listy? — potrząsnęła głową. — Pewnie je wysłałeś na Wenus. Nie dotarłam tam. Po drodze spotkałam statek kursujący po ekliptyce i zmieniłam plany. Wróciłam na orbiterze.

— Och, Klaro!

— Och, Bob! — przedrzeźniała mnie uśmiechając się szeroko. Jej uśmiech nie był jednak aż tak miłym obrazem, ponieważ widać było, że brak jej jednego zęba, tego, który wybiłem. — Cóż więc mamy sobie do powiedzenia?

Objąłem ją — ... Że cię kocham, że jest mi strasznie przykro, a także że chciałbym ci to jakoś wynagrodzić. Pragnę żebyśmy się pobrali, mieszkali razem, mieli dzieci...

— O Jezu, Bob! — westchnęła odpychając mnie, dość zresztą delikatnie. — Jak już zaczniesz mówić, to usta ci się nie zamykają. Wstrzymaj się z tym na moment. Nie ucieknę.

— Nie widzieliśmy się tyle czasu!

— Nie gadaj głupstw — zaśmiała się. — Nie jest to najlepszy dzień dla Strzelców na podejmowanie decyzji, zwłaszcza w sprawach miłości. Pogadamy o tym kiedy indziej.

— Znowu te brednie! Nie wierzę w to zupełnie!

— Ale ja wierzę.

— Poczekaj. — Nagle spłynęło na mnie olśnienie. — Na pewno uda mi się zamienić z kimś z pierwszego statku. A może Susie zamieniłaby się z tobą?

— Nie sądzę, żeby miała na to ochotę — pokręciła głową nie przestając się uśmiechać. — A poza tym są i tak wystarczająco niezadowoleni, że zastąpiłam Sessa. Nigdy nie zgodzą się na kolejną podmianę w ostatniej chwili.

— Nic mnie to nie obchodzi!

— Bob — powiedziała — nie popędzaj mnie. Dużo o nas myślałam. Sądzę, że między nami jest coś, nad czym warto popracować. Nie wszystko jednak jest już dla mnie jasne. Nie chciałabym tego poganiać.

— Ależ Klaro...

— Zostawmy to tak, jak jest. Polecę pierwszym statkiem, ty drugim. Kiedy dotrzemy tam, dokąd mamy dolecieć, będziemy mogli pogadać. Może nawet uda nam się razem wrócić. A tymczasem oboje zastanówmy się, czego tak naprawdę chcemy.

— Ależ, Klaro... — były to jedyne słowa, które przychodziły mi na myśl, i jakie w kółko powtarzałem.

Pocałowała mnie i odepchnęła. — Bob — powiedziała — nie śpiesz się tak. Mamy przed sobą mnóstwo czasu.

Rozdział dwudziesty siódmy

— Powiedz mi, Sigfrid — pytam — czy jestem bardzo zdenerwowany?

Tym razem przyoblekł się w hologram Zygmunta Freuda i patrzy na mnie wojowniczym wzrokiem, o którym zupełnie nie można powiedzieć, że jest *gemütlich*. Ale jego głos to nadal ten sam łagodnie brzmiący smutny baryton.

— Owszem — mówi — moje sensory wykazują, że jesteś teraz mocno poruszony.

— Tak też myślałem — rzucam przekręcając się na materacu.

— Czy możesz mi powiedzieć dlaczego?

— Nie! — Miałem cały taki tydzień: cudowny seks z Doreen i S. Laworowną i potoki łez pod prysznicem, fantastyczne licytacje i rozgrywki w turnieju brydżowym i kompletna rozpacz, jaka mnie ogarniała w drodze do domu. — Czuję się jak huśtawka! — wrzeszczę. — Poruszyłeś coś, z czym nie mogę sobie poradzić.

— Sądzę, że nie doceniasz swoich umiejętności opanowywania bólu — mówi uspokajająco.

— Odpieprz się, dobrze? Co ty możesz wiedzieć o ludzkich zdolnościach?

— Znowu wracamy do tego samego? — prawie że wzdycha.

— Owszem, do cholery! — To zabawne, ale czuję się mniej zdenerwowany. Udało mi się go wciągnąć w dyskusję i niebezpieczeństwo zostało zażegnane.

— To prawda, że jestem tylko maszyną. Ale za to tak skonstruowaną, by rozumieć ludzi, i możesz mi wierzyć, że konstrukcja jest właściwa.

— Konstrukcja? Sigfrid — staram się go przekonać — nie jesteś przecież istotą ludzką. Możesz wiedzieć, ale nigdy nie będziesz czuć. Nie masz pojęcia, co czuje człowiek zmuszony do podejmowania decyzji i dźwigający ich ciężar emocjonalny. Nie możesz wiedzieć, co to znaczy związać przyjaciela, by w ten sposób powstrzymać go od popełnienia morderstwa. Nie rozumiesz, co się czuje, kiedy umiera ukochana osoba. I gdy wiesz na dodatek, że to twoja wina. Nie znasz strachu, który ściska za gardło.

— Wiem to wszystko — mówi łagodnie. — Naprawdę. Chciałbym się zorientować, dlaczego jesteś aż tak poruszony. Pomóż mi więc.

— Nie!

— Twoje podniecenie oznacza jednakże, że dotykamy głównego nerwu. . .

— Daruj sobie te dentystryczne metody! — Ale ta analogia nie odciąga go ani na chwilę od tematu, jego obwody są dzisiaj doskonale zestrojone.

— Nie jestem dentystą. Bob. Jestem psychoanalitykiem i mówię ci, że. . .

— Przestań! — wiem, co muszę zrobić, by odwrócić jego uwagę od miejsca, które boli. Od tamtej pory nie używałem tej sekretnej formuły S. Laworowny, ale teraz chcę się nią potwornie posłużyć. Wypowiadam słowa, które przemieniają Sigfrida z dzikiego tygrysa w potulnego kociaka, przewraca się na plecy i pozwala mi głaskać się po brzuszku. Jednocześnie

rozkazuję mu, by odegrał co barwniejsze kawałki rozmów z atrakcyjnymi i wysoce kapryśnymi pacjentkami. Reszta godziny mija niczym na filmie porno, tak więc jeszcze raz wyszedłem z jego pokoju bez szwanku.

Lub prawie bez szwanku.

Rozdział dwudziesty ósmy

Ruszajmy dalej, tam gdzie się skryli, w bezdenne jaskinie gwiazd! Ślizgiem tunelu, którym pędzili. Heechowie prowadźcie nas! O Boże! Było to jak na obozie skautów, śpiewaliśmy i dokazywaliśmy przez całe dziewiętnaście dni po odwróceniu ciągu. Nigdy w życiu nie czułem się tak wspaniale. Częściowo było to dzięki uwolnieniu się od dręczącego nas strachu, kiedy nastąpił obrót, wszyscy — tak jak zawsze — odetchnęliśmy z ulgą. Czułem się lekko także dlatego, że pierwsza część podróży była dość zgrzytliwa: Miecznikow i jego dwaj chłopcy w skomplikowanym trójkącie, oraz Susie Hereira, znacznie mniej zainteresowana moją osobą niż podczas tamtych jednodniowych spotkań na Gateway. Głównie jednak — jak sądzę — było to spowodowane myślą, że jestem coraz bliżej Klary. Danny A. pomógł mi zrobić wyliczenia. Na Gateway był instruktorem na niektórych kursach i choć czasami może się nawet mylił, wierzyłem mu, ponieważ nie było pod ręką nikogo mądrzejszego. Na podstawie czasu zwrotu obliczył długość trasy na trzysta lat świetlnych, nie na sto procent, ale coś koło tego. Pierwszy statek, ten z Klarą — oddalał się od nas coraz bardziej w drodze do punktu zwrotnego, w pobliżu którego lecieliśmy już z prędkością dziesięciu lat świetlnych dziennie (tak przynajmniej mówił Danny). Piątka Klary wystartowała trzydzieści sekund przed nami, a więc wystarczyło tylko policzyć: jeden dzień świetlny 3 x 10¹⁰ centymetrów na sekundę razy 60 sekund razy 60 minut razy 24 godziny... w momencie zwrotu Klara była przed nami o dobre siedemnaście i pół miliarda kilometrów. Zdawać by się mogło, że to dużo i rzeczywiście. Ale po zwrocie statku każdego dnia zbliżaliśmy się do nich lecąc tym samym tunelem w przestrzeni, który Heechowie kiedyś wyznaczyli.

OGŁOSZENIA DROBNE

SZEROKA GAMA ZAINTERESOWAŃ: gra na klawesynie. Go, seks grupowy. Szukam czwórki poszukiwaczy o podobnych zainteresowaniach. Garriman, 78-109.

WYPRZEDAŻ TUNELOWA. Sprzedaję wszystkie swoje holodyski, odzież, akcesoria seksualne, książki itd. Poziom Laleczka. Tunel Dwanaście, pytać o DeVittoria, początek godz. 11.00.

DZIESIĄTY MEŹCZYZNA potrzebny do zastąpienia w naszej grupie modlitewnej Abrama R. Sorchuka, który został uznany za zmarłego. Poszukiwany również dziewiąty, ósmy i siódmy. Uprasza się o kontakt. 87-108.

Mój statek podążał drogą przebytą już przez Klarę. Czułem, że ich doganiamy, czasem zdawało mi się nawet, że dochodził mnie zapach jej perfum.

Kiedy powiedziałem to Danny'emu A., popatrzył na mnie ze zdziwieniem. — Czy wiesz, ile to jest siedemnaście i pół miliarda kilometrów? Spokojnie zmieści się w tym cały układ słoneczny, połowa głównej osi orbity Plutona wynosi trzydzieści dziewięć jednostek astronomicznych z kawałkiem.

— Ja tylko tak sobie — zaśmiałem się zażenowany.

— Idź lepiej spać — poradził. — I kolorowych snów. — Orientował się w moich uczuciach do Klary. Tak zresztą jak i wszyscy, nawet Miecznikow, nawet Susie i może było to moje przywidzenie, ale wydawało mi się, że życzyli nam dobrze. Wszyscy zresztą sobie dobrze życzyliśmy układając dalekosiężne plany, co też zrobimy z naszą forszą. Dla Klary i dla mnie milion dolarów na głowę to był kawałek grosza. Może nie dosyć na Pełny Serwis Medyczny, jeśli byśmy chcieli choć trochę zostawić na przyjemności. Ale gwarantowałem przynajmniej Wyższy Serwis Medyczny, a to już oznaczało dobre zdrowie — wyjąwszy jakieś rzeczywiste drastyczne przypadki — na następne trzydzieści do czterdziestu lat. Z tego, co zostanie, moglibyśmy spokojnie żyć, podróżować, mieć dzieci. Przytulny dom w przyzwoitym miejscu... zaraz, tylko gdzie? Na pewno nie koło kopalni żywności. Może wcale nie na Ziemi... Czy Klara chciałaby wrócić z powrotem na Wenus? Nie widziałem siebie w roli szperacza tunelowego. Ani też Klary mieszkającej w Dallas czy w Nowym Jorku. Oczywiście życzenia wyprzedzały rzeczywistość jeżeli naprawdę coś znajdziemy, to ten zasrany milion będzie za ledwie początkiem. Moglibyśmy mieć wtedy domy, jakie by się nam tylko zamarzyło i obojętnie gdzie. Tak samo, jak i Pełny Serwis Medyczny plus organy do transplantacji, dzięki którym będziemy zawsze młodzi, zdrowi, piękni i sprawni seksualnie oraz...

— Powinieneś naprawdę się przespać — powiedział Danny A., który leżał w uprząży obok. — Rzucasz się jak wariat.

Nie miałem jednak ochoty na spanie. Byłem głodny i nie widziałem żadnego powodu, żeby czegoś nie zjeść. Przez dziewiętnaście dni przestrzegaliśmy norm żywnościowych, tak jak to się zwykle robi podczas pierwszej części podróży. Po zwrocie wiadomo już, ile zostało jedzenia do końca wyprawy, nic więc dziwnego, że niektórzy poszukiwacze przybierają na wadze. Wygramoliłem się z lądownika, gdzie tkwili Susie, Danny A. i Danny R., i tam zorientowałem się, dlaczego tak nagle poczułem głód. Dane Miecznikow przyrządził sobie gulasz.

— Czy starczy dla dwóch? — zapytałem.

Spojrzał na mnie zamyślony. — Myślę, że tak. — Otworzył szczelnie wciskaną pokrywę, popatrzył do środka i wlał dodatkowo sto centymetrów sześciennych wody ze skraplacza pary. — Jeszcze jakieś dziesięć minut — powiedział. — Miałem zamiar wpiąć się czegoś napić.

Przyjąłem zaproszenie i flaszka wina zaczęła przechodzić z rąk do rąk. Kiedy mieszał gulasz i dodawał soli, odczytałem mu dane gwiazd. Wciąż lecieliśmy z prędkością bliską maksymalnej, a na ekranie nie pojawiała się nic, co by przypominało jakąś znajomą konstelację, czy chociażby gwiazdę. Ale mimo to zaczynałem się do tego widoku powoli przyzwyczajać, a nawet go polubiłem. Tak jak i wszyscy. Nigdy nie widziałem Dane'a równie wesołego i rozluźnionego.

— Zastanowiłem się — powiedział — że milion mi wystarczy. Po tej wyprawie wrócę do Syracuse, zrobię doktorat i zacznę pracować. Zawsze się znajdzie jakaś szkoła, która zatrudni stałego poetę czy też nauczyciela angielskiego mającego za sobą siedem lotów. Coś mi będą płacić i sądzę, że to wystarczy mi do końca życia.

UWAGI O PIEZOELEKTRYCZNOŚCI

Profesor Hegramet: Jeśli chodzi o krwiste diamenty, to odkryliśmy jedynie, że odznaczają się olbrzymią piezoelektrycznością. Czy ktoś wie, co to znaczy?

Pytanie: Czy to, że kurczą się i rozkurczają pod wpływem prądu elektrycznego?

Profesor Hegramet: Tak. Również na odwrót: zgniecione generują prąd i to bardzo szybko. Stąd właśnie piezofon i piezowizja, czyli przemysł przynoszący 50 miliardów dolarów.

Pytanie: A kto dostaje procenty?

Profesor Hegramet: Byłem pewien, że padnie takie pytanie. No więc, nikt nie dostaje. Krwiste diamenty zostały odnalezione wiele, wiele lat przed odkryciem Gateway w tunelach Heechów na Wenus, ich zastosowanie zawdzięczamy Laboratorium Bella. Obecnie wykorzystuje się diamenty syntetyczne, stanowią one podstawę systemu komunikacji, a wszystkie zyski Bell zachowuje dla siebie.

Pytanie: Czy takie samo zastosowanie miały one u Heechów?

Profesor Hegramet: Moim zdaniem tak, choć nie wiadomo w jaki sposób. Można by przypuszczać, że skoro Heechowie zostawili diamenty, powinni również zostawić resztę — odbiorniki i nadajniki. Jeśli zostawili, to nie wiadomo dotąd gdzie.

Tak naprawdę to dotarło do mnie tylko jedno słowo.

— Poeta? — powtórzyłem zaskoczony.

— Nie wiedziałeś o tym? — uśmiechnął się szeroko. — Tak właśnie dostałem się na Gateway: Fundacja Guggenheima opłaciła mi podróż. — Wyjął garnek z piecyka, nałożył gulasz na dwa talerze i zabraliśmy się do jedzenia.

I to był facet, który dwa dni temu przez dobrą godzinę wrzeszczał zajadle na swych partnerów, podczas gdy my z Susie wysłuchiwalismy tego wściekli, w lądowniku. Teraz było już po zwrocie statku, byliśmy prawie że w domu, bezpieczni, wiedzieliśmy, że nie zabraknie paliwa i nie musieliśmy się o nic martwić, ponieważ nagrodę mieliśmy już w kieszeni. Zapytałam Miecznikowa o jego wiersze. Nie chciał mi niczego zadeklamować, ale obiecał pokazać kopie tego, co wysłał Fundacji, gdy tylko wrócimy na Gateway.

Kiedy skończyliśmy gulasz i wytarłszy garnek i talerze odstawiliśmy je na bok. Dane spojrział na zegarek. — Jest za wcześnie, by budzić pozostałych — zauważył. — A nie ma nic do roboty.

Popatrzył na mnie z uśmiechem. Był to prawdziwy uśmiech, a nie grymas.

Dziewiętnaście dni minęło w mgnieniu oka i zgodnie naszymi obliczeniami powinniśmy być już prawie na miejscu. Nikt nie spał i wszyscy tłoczyliśmy się w kapsule podnieceni jak dzieci oczekujące na otwarcie gwiazdkowych prezentów.

Była to najprzyjemniejsza wyprawa, jaką odbyłem i prawdopodobnie jedna z najmiłszych w historii. — Wiesz — powiedział Danny R. w zamyśleniu — prawie żałuję, że docieramy na miejsce. — A Susie, która zaczynała już rozumieć naszą angielszczyznę, rzekła: — *Sim, ja sei* — a potem: — Ja także. — Ścisnęła mnie za rękę, ja oddałem jej uścisk, tak naprawdę jednak myślałem tylko o Klarze. Próbowaliśmy kilkakrotnie porozumieć się przez radio, ale nie działało w tunelu kosmicznym Heechów. Kiedy jednak wyjdziemy z nadświetlnej, będę mógł z nią pogadać na miejscu! Nieważne, że inni będą słuchali, o czym mówimy, ja

wiedziałem, co chcę jej powiedzieć. I znałem nawet odpowiedź, co do tego nie miałem wątpliwości. Z pewnością w obu statkach zapanuje euforia, a pośród tej całej radości i uniesienia odpowiedź musiała być jednoznaczna.

— Zatrzymujemy się! — krzyknął Danny R. — Czujecie to?

— Tak! — Miecznikow zapiszczał z radości kołysząc się na maleńkich falach pseudo-grawitacji, które sygnalizowały nasz powrót do normalnej przestrzeni. Był jeszcze i inny znak: — złotawa spirala w środku kabiny zaczynała z każdą chwilą jarzyć się coraz mocniej.

— Chyba się nam udało — krzyknął Danny R. rozpromieniony, ja byłem równie radosny.

— Wezmę się za skaning sferyczny — powiedziałem w przekonaniu, iż wiem jak to zrobić. Susie otworzyła właz do lądownika, razem z Dannym A. mieli wyjść obserwować gwiazdy.

Danny A. nie poszedł jednak za nią. Wpatrywał się w ekran. Kiedy zacząłem obracać statek, widziałem gwiazdy, w czym nie było nic nadzwyczajnego, nie wydawały się wcale osobliwe, choć z jakiegoś powodu były dość mocno zamglone.

Nagle zachwiałem się i prawie upadłem. Obrót statku nie przebiegał tak łagodnie, jak powinien.

Dod do Instr Naw 104

Prosimy o uzupełnienie instrukcji nawigacyjnych o następujące dane:

Ustawienia kursu zawierające linie i barwy zgodne z załączonym wykazem zdają się pozostawać w ścisłym związku z ilością paliwa lub innym środkiem napędu statku.

Ostrzega się wszystkich poszukiwaczy, że trzy jaskrawe linie na paśmie pomarańczowym (wykres 2) wskazują na wyraźny brak paliwa. Żaden ze statków lecący kursem o takim ustawieniu nie powrócił, nawet w przypadku lotów kontrolnych.

— Radio — rzucił Danny A., a Miecznikow marszcząc się spojrzał w górę, gdzie świeciła się zielona lampka.

— Włącz! — wrzasnąłem. To mogła być Klara. Miecznikow wciąż się marszcząc sięgnął do przełącznika i wtedy zobaczyłem, że spirala jest nienaturalnie jaskrawa. Nigdy czegoś takiego nie widziałem, była koloru słomy, jak gdyby rozżarzona od gorąca. Jednakże nie emitowała ciepła, a złocistą barwę przecinały pasemka czystej bieli.

— To dziwne — zauważyłem.

Nie wiem, czy ktoś mnie w ogóle usłyszał. Radio trzeszczało i wewnątrz kapsuły było bardzo głośno. Miecznikow zaczął manipulować przy odbiorniku.

W całym tym hałasie usłyszałem głos, którego z początku nie rozpoznałem. Był to Danny A.

— Czy czujecie? — wrzasnął. — To fale grawitacyjne. Coś jest nie tak. Zatrzymaj skaner! Zrobiłem to automatycznie.

Ale do tego momentu ekran statku zdążył się już obrócić i przed nami ukazało się coś, co nie było ani gwiazdą, ani galaktyką. Była to słabo jarząca się bryła bladoniebieskiego światła — upstrzona plamami, olbrzymia, przerażająca. Już na pierwszy rzut oka wiedziałem, że to

nie słońce. Żadne słońce nie jest bowiem jednocześnie tak niebieskie i tak przyćmione. Światło tej bryły raziło wzrok, choć nie było jaskrawe. Ból wdzierał się w głąb czaszki wwiercając się aż do mózgu.

Miecznikow wyłączył radio i w ciszy, która zapanowała, usłyszałem przerażony głos Dan-ny'ego A.:

— O mój Boże! Ale żeśmy wpadli. To jest czarna dziura.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

— Jeśli pozwolisz. Bob — mówi Sigfrid — chciałbym sprawdzić coś u ciebie, zanim przestawisz mnie na pasywną procedurę wyjściową.

Sprężam się, skurczybyk odczytuje moje myśli. — Widzę — dodaje natychmiast — że wykazujesz pewne oznaki niepokoju. To właśnie chciałbym zbadać.

Nie do wiary, ale sam próbuję oszczędzać jego uczucia. Czasami zapominam, że jest tylko maszyną. — Nie sądziłem, że zanotowałeś moje polecenie — przepraszam go.

— Oczywiście, że tak. Kiedy podajesz mi odpowiedni rozkaz, jestem posłuszny, ale nigdy nie wydałeś mi polecenia, bym się wstrzymał od zapisu i kojarzenia danych. Przypuszczam więc, że takiego rozkazu po prostu nie znasz.

— Masz rację.

— Nie widzę powodu, dla którego nie miałbyś mieć dostępu do posiadanych przeze mnie informacji. Nie próbowałem w to ingerować, aż do chwili obecnej. . .

— A mogłeś?

— Moje możliwości — mówi Sigfrid — pozwalają mi na sygnalizowanie zastosowania instrukcji rozkazowej przełożonym. Nigdy jednak tego nie robiłem.

— Dlaczego nie? — To pudło żelastwa zadziwia mnie. Wszystko to jest dla mnie nowe.

— Jak już mówiłem, nie było powodu. Najwyraźniej jednak próbujesz odwlec konfrontację, chciałbym ci więc powiedzieć, na czym polega taka konfrontacja. A wtedy sam podejmiesz decyzję.

— A, cholera — zrzucam przytrzymujące mnie pasy i siadam. — Mogę zapalić? — Wiem jaka będzie odpowiedź, ale ponownie mnie zaskakuje.

— W tej sytuacji — proszę bardzo. Jeśli potrzebujesz reduktora napięcia — zgoda. Mogę nawet ci podać łagodny środek uspokajający.

Jęknąłem z podziwu przypalając papierosa. Złapałem się na tym, że chciałem nawet poczęstować Sigfrida. — No dobra. Niech już będzie.

Sigfrid wstaje, rozprostowuje nogi i rusza w stronę wygodniejszego fotela. Nawet nie wiedziałem, że coś takiego potrafi. — Usiłuję cię uspokoić, Bob — mówi — i jestem pewien, że to dostrzegasz. Najpierw powiem ci coś o moich możliwościach, jak też i twoich, których, jak sądzę, sam nie znasz. Jestem w stanie dostarczyć ci informacji o każdym z moich klientów. To jest, nie tylko tych, którzy korzystali z tej końcówki.

— Nie rozumiem, co to znaczy — wtrącam w momencie, kiedy przerywa na chwilę.

— Sądzę, że rozumiesz. Lub zrozumiesz, jeśli tylko zechcesz. Ważniejsze jednakże pytanie dotyczy wspomnień, które usiłujesz stłumić. Wydaje mi się, że powinieneś się od nich uwolnić. Zastanawiałem się nad zastosowaniem lekkiej hipnozy czy środków uspokajających, a nawet nad propozycją, by w jednym z naszych spotkań uczestniczył ludzki analityk. Wszystko to oczywiście jest do twojej dyspozycji. Zaobserwowałem jednakże, że w czasie rozmów

o tym, co odbierasz jako obiektywną rzeczywistość, czujesz się względnie swobodnie. Gorzej natomiast jest z internalizacją owej rzeczywistości. Dlatego też — posługując się tymi terminami — chciałbym porozmawiać z tobą o pewnym zdarzeniu.

Uważnie strzeżuję popiół z papierosa. Ma pod tym względem zupełną rację — tak długo, jak nasza rozmowa dotyczy spraw abstrakcyjnych i bezosobowych, mogę mówić o wszystkim. — Co masz na myśli, Sigfrid?

— Twoją ostatnią wyprawę. Pozwól, że przypomnę ci pewne fakty...

— Chryste, Sigfrid!

— Wiem, że twoim zdaniem pamiętasz je doskonale — mówi interpretując dokładnie moje myśli — i w tym układzie nie sądzę, żebyś musiał do tych spraw wracać. Szczególny charakter tego epizodu polega na tym, iż w nim właśnie skupiły się twoje wewnętrzne niepokoje. Twoje przerażenie. Skłonności homoseksualne...

— No, no!

— ...które wprawdzie nie dominują w twoim zachowaniu seksualnym, ale są źródłem większego stresu niż powinny. Twoje uczucie do matki. Olbrzymi ciężar winy, który nałożyłeś na siebie. A przede wszystkim ta kobieta, Gelle-Klara Moynlin. Właśnie te sprawy bezustannie powracają w swoich snach, chociaż nie zawsze je rozpoznajesz. I również pojawiają się w tym jednym konkretnym epizodzie.

Gaszę papierosa i nagle zdaję sobie sprawę, że paliłem dwa na raz. — Nie widzę w tym żadnego związku z moją matką — mówię w końcu.

— Nie widzisz? — Hologram, który nazywam Sigfridem von Psychem, odwraca się w stronę rogu pokoju. — Coś ci pokażę — teatralnym gestem podnosi rękę i wtedy pojawia się tam kobieca postać. Obraz nie jest zbyt ostry, ale widzę, że ta kobieta, jest młoda, szczupła i kaszląc zakrywa usta dłonią.

— Nie jest za bardzo podobna do mojej matki — protestuję.

— Czyżby?

— Niech ci będzie — stwierdzam uprzejmie. — Przypuszczam, że zrobiłeś to najlepiej, jak potrafiłeś. W końcu dysponowałeś jedynie opisem podanym przeze mnie.

— Hologram — zauważa Sigfrid dość łagodnie — powstał na podstawie rysopisu Susie Hereiry, który mi podałeś.

Zapalam kolejnego papierosa, nie bez trudu zresztą, ponieważ drżą mi ręce. — Moje gratulacje — mówię z podziwem. — Oczywiście — czuję nagle narastający gniew — Susie była, mój Boże, tylko dzieckiem. To znaczy widzę teraz pewne podobieństwo, ale wiek się nie zgadza.

— Ile lat miała twoja matka, kiedy byłeś dzieckiem? — pyta Sigfrid.

— Była bardzo młoda, i nawet, jeśli chodzi o ścisłość — dodaję po chwili — wyglądała młodo jak na swój wiek.

Sigfrid pozwala mi na krótką chwilę milczenia, po czym ponownie macha ręką i obraz znika, i nagle przed nami pojawiają się złączone ładownikami Piątki, za którymi jest...

— O mój Boże, Sigfrid!

Czeka przez moment.

Jeśli o mnie chodzi, to może sobie tak czekać w nieskończoność. Po prostu nie wiem, co mam powiedzieć. To nie boli, ale jestem cały sparaliżowany. Nie mogę zdobyć się na żadne słowo, na żaden gest.

— Obraz przed nami — mówi łagodnym przyjemnym głosem — przedstawia dwa statki twojej wyprawy w pobliżu obiektu SAG YY. To czarna dziura, a dokładniej osobliwość w stanie niezwykle szybkiego obrotu.

— Dobrze wiem, co to jest, Sigfrid.

— Nie wątpię. Ze względu na obrót, prędkość ruchu postępowego tego, co określa się mianem progu zdarzeń lub nieciągłości Schwarzschilda, przekracza prędkość światła, toteż sam obiekt nie jest w zasadzie całkowicie czarny; w rzeczywistości można go zaobserwować dzięki promieniowaniu Czerenkowa. Ze względu na dokonane przez was pomiary przyznano waszej ekspedycji dziesięciomilionową premię poza uzgodnioną przedtem sumą, co wraz z pewnymi mniejszymi dochodami stanowi podstawę twojej obecnej fortuny.

— I to wiem, Sigfrid.

Cisza.

— Czy mógłbyś mi powiedzieć, co jeszcze wiesz na ten temat, Bob?

Cisza.

— Nie jestem pewien, czy będę w stanie — odpowiadam.

Cisza.

Nawet mnie nie ponagla. Doskonale wie bowiem, że nie musi. Ja sam chciałbym przejść przez to idąc w kierunku, który mi wskazał. Jest coś o czym nie mogę mówić, coś, co mnie przeraża, ale wokół tego newralgicznego punktu znajduje się obszar, po którym mogę się swobodnie poruszać i to jest właśnie obiektywna rzeczywistość.

— Nie mam pojęcia, na ile znasz się na tych zjawiskach? — pytam.

— Po prostu powiedz to, co uważasz, że powinienem wiedzieć.

Gaszę niedopalonego papierosa i sięgam po następnego — Dobrze wiemy — zaczynam — że gdybyś chciał, mógłbyś znaleźć dokładniejsze i pełniejsze informacje w jakimkolwiek banku danych, no, ale niech tam. . . Czarne dziury, to po prostu pułapki. Załamują światło. Załamują czas. Kiedy się tam znajdziesz, nie ma już wyjścia. Tyle. . .

— Możesz płakać, jeśli ci to pomaga — mówi po chwili, i nagle zdaje sobie sprawę, że właśnie to robię.

— O Boże! — wycieram nos w jedną z tych chusteczek, które zawsze trzyma w pogotowiu obok materaca. Czeka.

— Tyle, że ja się stamtąd wydostałem.

I w tym momencie Sigfrid robi coś, czego się nigdy po nim nie spodziewałem: pozwala sobie na dowcip.

— Faktycznie, skoro tu już jesteś.

— Czuję się cholernie wyczerpany — mówię.

— To zrozumiałe, Bob.

— Chciałbym się czegoś napić.

Trzask.

— W otwartym barku za tobą — zachęca Sigfrid — znajdziesz

UWAGI O SYSTEMIE ŻYWIENIA

Pytanie: Co jedli Heechowie?

Profesor Hegramet: Mniej więcej to samo, co my, czyli wszystko. Wydaje mi się, że byli wszytkożerni i jedli to, co udało im się zdobyć. Tak naprawdę jednak nie wiemy niczego konkretnego o ich pożywieniu, można tylko coś wywnioskować z lotów skorupowych.

Pytanie: A co to takiego?

Profesor Hegramet: Co najmniej cztery zarejestrowane wyprawy nie dotarły do żadnej innej gwiazdy, choć wyraźnie opuściły nasz system słoneczny. Dotarły tam, gdzie znajduje się skorupa komet, no wiecie, w odległości jakieś pół roku świetlnego. Loty te uznano za nieudane, choć ja się z taką oceną nie zgadzam. Nakłaniam nawet Korporację, by przyznano im premie naukowe. Trzy wyprawy zakończyły się w chmurach meteorów. Czwarta dotarła do komety oddalonej o setki j. a. Chmury meteorów stanowią, jak wiemy, przeważnie pozostałość starej, wygasłej komety.

Pytanie: Czy chcesz powiedzieć, że Heechowie jedli komety?

Profesor Hegramet: Że jedli to, z czego komety są zbudowane. To znaczy węgiel, tlen, azot, wodór, a więc dokładnie to samo co jadłeś dzisiaj na śniadanie. Myślę, że komety mogły stanowić surowiec do produkcji pożywienia. Jeden z tych lotów skorupowych być może odkryje nam pewnego dnia fabrykę żywności Heechów. A wtedy — miejmy nadzieję — rozwiązany zostanie problem głodu.

całkiem niezłe sherry. Niestety, nie jest z winogron, służba medyczna nie opływa w luksusy. Jestem pewien jednak, że nie rozpoznasz jego gazowego pochodzenia. A poza tym ma w sobie kropelkę tetrahydro-cannabinolu na uspokojenie.

— O Boże! — mówię wyczerpawszy już zapas sposobów wyrażania zdumienia. Sherry jest dokładnie taka, jak powiedział, i czuję jak jej ciepło powoli rozlewa się po moim ciele.

— No dobra — odstawiam kieliszek. — Kiedy wróciłem na Gateway, wyprawa uważana była za zaginioną. Mieliśmy ponad rok opóźnienia. A to dlatego, że byliśmy prawie wewnątrz tego wszystkiego. Czy wiesz, co to jest kurczenie się czasu? Zresztą nieważne. To retoryczne pytanie — dodaję, zanim zdążył odpowiedzieć. — To, co nam się przytrafiło, to właśnie kurczenie się czasu. W pobliżu tego osobliwego zjawiska na trafia się na paradoks bliźniaczy. To, co dla nas nie trwało dłużej niż kwadrans, stanowiło prawie rok czasu zegarowego na Gateway czy też gdziekolwiek indziej w świecie nierelatywistycznym. A także. . .

Biorę następnego drinka i zbieram się na odwagę.

— A także im dalej w głąb, tym wolniej. Trochę bliżej i te piętnaście minut przemieniłoby się w dziesięć lat. Jeszcze bliżej i byłby już cały wiek. Nieszczęście było tak blisko. Byliśmy już prawie w pułapce. Wszyscy. . . Ale ja się wydostałem.

Przypominam sobie o czymś i spoglądam na zegarek. — Skoro już mówimy o czasie, to moja godzina minęła pięć minut temu!

— Nie mam już dzisiaj żadnych pacjentów.

— Co? — wytrzeszczam oczy.

— Odwołałem wszystkie wizyty — dodaje łagodnie.

Mimo, że nie mówię jeszcze raz „O, Boże”, właśnie to tylko przychodzi mi do głowy.

— Przypierasz mnie do muru, Sigfrid — rzucam ze złością.

— Wcale nie musisz zostać dłużej. Chciałbym jednak, żebyś wiedział, że taka możliwość istnieje.

Zastanawiam się przez moment.

— Jesteś kupą złomu — mówię. — No dobra. Jak widzisz, nie mieliśmy najmniejszej szansy wydostać się całą grupą. Nasze statki tkwiły uwięzione w miejscu, z którego nie było już powrotu. Danny A., to był dopiero ostry zawodnik. Znał wszystkie luki w prawach rządzących czarnymi dziurami. Jako grupa nie mieliśmy żadnych szans.

Ale nie byliśmy jedną grupą! Przybyliśmy w dwóch statkach! I gdyby w jakiś sposób udało nam się przenieść przyspieszenie z jednego systemu na drugi, to znaczy, gdyby pierwszy statek został wstrzelony w dziurę, drugi, odbijając się od jego przyspieszenia, mógłby się uwolnić!

Zapada długie milczenie.

— Nalej sobie drugiego drinka. Bob — mówi Sigfrid z troską w głosie. — Oczywiście, kiedy już skończysz płakać.

Rozdział trzydziesty

Strach! Pulsował pod skórą tak mocno, że bardziej już nie mogłem się bać. Byłem nim cały przesiąknięty. Nie wiem, czy krzychałem, czy coś mówiłem — robiłem tylko to, co kazał mi Danny A. Zbliżyliśmy obydwaj pojazdy i szczepiliśmy je lądownikami. Potem zaczęliśmy przenosić sprzęt, instrumenty naukowe, ubrania, słowem wszystko, co tylko się dało, z pierwszego statku i upychać po kątach na drugim, aby zrobić miejsce dla dziesięciu osób, tam gdzie już pięć mieściło się z trudem. Podawaliśmy sobie rzeczy z rąk do rąk niczym brygada budowlana. Dane Miecznikow musiał chyba mieć poodbijane nerki — to on siedział cały czas w lądowniku, gdzie tak ustawiał pompy, aby natychmiast odpalić całe wodorotlenowe paliwo rakietowe. Czy przeżyjemy to? Była to wielka niewiadoma. Obie Piątki były opancerzone i nie przypuszczaliśmy, żeby osłony z metalu Heechów mogły ulec zniszczeniu. Ale wewnątrz tych osłon byliśmy my — my wszyscy w jednym ze statków, który się uwolni — taką przynajmniej mieliśmy nadzieję. W żaden sposób nie można było jednak przewidzieć, czy wydostaniemy się stąd żywi, czy też zostanie z nas jedynie galareta. Mieliśmy bardzo niewiele czasu. Klare mijałem chyba ze dwadzieścia razy w ciągu dziesięciu minut i pamiętam, że za pierwszym razem pocałowaliśmy się. Albo tylko spróbowaliśmy i prawie się udało. Pamiętam jej zapach, raz nawet uniosłem głowę, ponieważ woń olejku piżmowego była bardzo silna, ale jej nie było w pobliżu, po chwili już o wszystkim zapomniałem. Cały czas na którymś z monitorów widniała olbrzymia migocąca, przerażająca, niebieska kula, na jej powierzchni poruszające się cienie efektów fazowych tworzyły pełne grozy obrazy, jej kłuszące fale grawitacyjne targały naszymi wnętrzościami. W

Drogi Głosie Gateway!

W ubiegłą środę przechodziłem sobie przez parking w supermarkecie Safeway (dokąd udałem się, by oddać moje kartki żywnościowe) i w drodze do wahadłobusu, którym miałem pojechać do domu, zobaczyłem nagle niezziemskie zielone światło. Koło mnie wylądował nieznaną pojazd kosmiczny. Wsiadły z niego cztery piękne, ale bardzo drobne kobiety w przezroczystych białych sukniach, które obezwładniły mnie przy pomocy promienia paraliżującego. Przez dziewiętnaście godzin przetrzymywały mnie związane na podłodze swego statku. W tym czasie zostałem poddany pewnym poniżającym praktykom natury seksualnej, które pominę milczeniem. Przywódczyni tej czwórki Maria Glow-Fawn oświadczyła, że ich rasie, podobnie jak naszej, nie udało się jeszcze poskromić w sobie pewnych atawizmów. Przyjąłem te przeprosiny i zgodziłem się na przekazanie na Ziemię czterech komunikatów. Pierwszy i Czwarty mogą zostać wyjawione dopiero w odpowiednim czasie. Komunikat Drugi przeznaczony jest dla kierownika budowy mojego apartamentu. Trzeci skierowany jest do mieszkańców Gateway i składa się z trzech części: należy położyć kres 1. paleniu papierosów; 2. nauce koedukacyjnej do co najmniej drugiej klasy liceum; 3. wszelkim badaniom Kosmosu. Jesteśmy pod obserwacją.

Harry Hellison, Pittsburgh

Czasami tłamsisz, czasem poparzysz,
A czasem rozgniatasz na proch,
Czasem nam miarkę forsy odważysz,
Choć zawsze przerażasz na wskroś.
Zgadząmy się na to, co może się stać,
Ale już pora, Heechu, byś wzbogacił nas.

kapsule pierwszego statku tkwił pilnujący czasu Danny A., który przez obydwie lądowki przerzucał do drugiej kapsuły torby i pakunki, ja z kolei usuwałem je byle gdzie, by zrobić miejsce dla następnych paczek. — Pięć minut! — wrzasnął i zaraz potem: — Cztery minuty! Trzy! Odłączcie ten cholerny przewód! — i wreszcie: — Kończymy! Rzućcie wszystko do diabła i chodźcie tutaj! — I tak też zrobiliśmy. Wszyscy. Z wyjątkiem mnie. Słyszałem, jak mnie wołają, ale ja zostałem z tyłu — nasz lądownik był zablokowany i nie mogłem przedostać się przez właz! Usiłowałem odsunąć czyjaś wełnianą torbę i wtedy usłyszałem krzyk Klary przez radio: — Bob, na litość boską, chodź tutaj! — Wiedziałem jednak, że jest za późno. Zatrzasnąłem właz i zakręciłem go w momencie, kiedy Danny A. wołał — Nie! Nie! Poczekaj. . .

Czekaj. . .

Czekaj bardzo, bardzo długo.

Rozdział trzydziesty pierwszy

Po chwili, nie wiem nawet jak długo, podnoszę głowę i mówię:

— Przepraszam cię, Sigfrid.

— Za co?

— Za to, że się poryczałem. — Jestem fizycznie wykończony. Zupełnie, jakbym przebiegł dziesięć mil między dwoma rzędami dzikich Indian okładających mnie kijami.

— Czy nie czujesz się teraz trochę lepiej?

— Lepiej? — przez moment zastanawiam się nad tym głupim pytaniem, po chwili jednak rozważam je ponownie i co dziwne, rzeczywiście jest mi lepiej. — Taak. Tak mi się przynajmniej wydaje. Może nie „dobrze”, ale jest mi trochę lepiej.

— Postaraj się przez chwilę o tym nie myśleć.

Uderza mnie głupota tej uwagi, więc mówię mu to. Jest teraz we mnie tyle energii, co w małej rachitycznej meduzie, która zdechła tydzień temu. Nie pozostaje mi więc nic innego, jak się nie przejmować.

Ale rzeczywiście czuję się lepiej. — Mam wrażenie, jakbym wreszcie dopuścił do siebie poczucie winy.

— I jakoś to przeżyłeś.

Zastanawiam się.

— Sądzę, że tak.

— Rozważmy problem winy. Bob. Winy — ale z jakiego powodu?

— Ponieważ wystrzeliłem w czarną dziurę dziewięcioro ludzi, by uratować własny tyłek!

— Czy ktoś cię kiedyś o to oskarżał? Oczywiście, z wyjątkiem siebie samego.

WYCIĄG Z KONTA — ROBINETTE BROADHEAD

1. Niniejszym potwierdza się, że zastosowane przez Pana ustawienie kursu na Gateway Dwa pozwala na regularne loty na tej trasie w czasie o sto dni krótszym niż dotychczas.
2. Decyzją Rady zostają Panu przyznane zyski procentowe od tego odkrycia wynoszące 1
3. Decyzją Rady potrąca się Panu połowę wymienionej sumy jako grzywnę za zniszczenie używanego statku.

Na Pańskie konto zostaje więc wpłacona następująca suma:

zaliczka (Nr Rozp. A-135-7)	\$10000
minus potrącenie (Nr Rozp. A-135-8)	\$5000
Aktualny stan konta:	\$6192

— Oskarżał? — wycieram nos zastanawiając się. — Prawdę powiedziawszy, to nie. A dlaczego mieliby? Na Gateway wróciłem w aureoli bohatera. — Myślę o Shickym, który otaczał mnie istic matczyną opieką, o Francym Hereirze, który pozwolił mi się wyplakać w swoich ramionach, mimo że zabiłem jego kuzynkę. — Nie byli jednak wtedy przy mnie. Nie widzieli, jak wysadzałem zbiorniki, by uwolnić mój statek.

— Czy to ty je wysadziłeś?

— Do diabła, Sigfrid — przerywam. — Sam nie wiem. Ale miałem taki zamiar. Wyciągałem rękę do guzika.

— Czy wydaje ci się możliwe, aby guzik w statku, który miał być pozostawiony, mógł odpalić połączone zbiorniki?

— Dlaczego nie? Sam już nie wiem. W każdym bądź razie — mówię — rozważyłem już wszystkie możliwe usprawiedliwienia. Niewykluczone, że to Klara lub Danny nacisnęli guzik przede mną. Ale ja też miałem zamiar to zrobić!

— A wtedy, który statek uwolniłby się, twoim zdaniem?

— Ich! Mój! — poprawiam się. — Nie, nie wiem.

— W rzeczywistości — mówi poważnie Sigfrid — była to jedyna rzecz, jaką mogłeś zrobić. Zdawałeś sobie sprawę doskonale, że wszyscy nie przeżyjecie. Nie było na to czasu. Mogliście zginąć wszyscy, albo tylko niektórzy. Innego wyboru nie było. Ty zdecydowałeś się na to, żeby ktoś przeżył.

— Bzdura! Jestem mordercą.

Chwila przerwy, podczas której obwody Sigfrida analizują sytuację.

— Wydaje mi się — mówi ostrożnie — że przecyzysz sam sobie. Czy nie powiedziałeś przedtem, że ona wciąż żyje w tej beczasowości?

— Tkwią tam wszyscy! Czas się dla nich zatrzymał!

— W jaki więc sposób mogłeś kogoś zamordować?

— Co?

— W jaki więc sposób mogłeś kogoś zamordować? — powtarza.

— Nie wiem — stwierdzam. — Szczerze powiedziawszy, nie chcę już dzisiaj o tym więcej mówić i myśleć.

— I nie musisz. Zastanawiam się, czy zdajesz sobie sprawę, ile osiągnęliśmy przez te ostatnie dwie i pół godziny. Jestem z ciebie dumny.

I może to się wyda dziwne i niezrozumiałe, ale wierzę, że rzeczywiście jest ze mnie dumny całą swą płataniną mikroprocesorów, obwodów Heechów i hologramów, i bardzo mi z tym dobrze.

— Możesz wyjść, kiedy tylko zechcesz — mówi wstając. Kieruje się w stronę fotela klubowego i nawet uśmiecha do mnie jak człowiek! — Chciałbym ci jednak coś zademonstrować. Mój system obronny zmalał do zera. — Co takiego? — mówię tylko.

— Chodzi mi o pewną możliwość, o której ci wspominałem, ale z której nigdy nie korzystaliśmy podczas naszych spotkań. Chciałbym pokazać ci mojego pacjenta sprzed lat.

— Pacjenta?

— Spójrz w tamten róg. Bob — mówi łagodnie.

Patrzę więc...

...i jest tam ona.

— Klara! — Zobaczywszy ją od razu zorientowałem się, że Sigfrid musiał dostać ten zapis od maszyny, z którą Klara konsultowała się na Gateway. Widzę, jak mówi o czymś z przejęciem swobodnie zawieszona, jedną ręką opierając się o półkę z kartotekami, ze stopami luźno unoszącymi się w powietrzu. Jak jej gęste czarne brwi marszczą się i rozjaśniają, jak usta wykrzywia grymas, to znów szeroki uśmiech, by po chwili ta sama twarz stała się łagodnie i obiecująco wręcz odprężona.

— Jeśli chcesz, możesz posłuchać, co ona mówi.

— Czy ja rzeczywiście tego pragnę?

WYCIĄG Z KONTA — ROBINETTE BROADHEAD

Na pańskie konto wpłynęły następujące sumy:

Ustalona premia dla lotów 88-90A i 88-90B	
(całość sumy)	\$10.000.000
Premia naukowa przyznana przez Radę	\$8.500.000
Razem	\$18.500.000
Aktualny stan konta:	\$18.506.036

— Niekoniecznie. Niczego jednak nie musisz się obawiać. Ona ciebie kochała. Bob, najlepiej jak tylko potrafiła. Tak jak i ty ją kochałeś.

Przyglądam się hologramowi przez dłuższą chwilę.

— Wyłącz to — mówię wreszcie.

W pokoju rekreacyjnym prawie zasnąłem. Nigdy nie czułem się tak odprężony.

Obmywam twarz, zapalam następnego papierosa i wchodzę na rozproszone jasne światło dzienne pod Kloszem, a wszystko dookoła wydaje mi się przyjazne i miłe. Myślę o Klarze

z miłością i czułością i w myślach żegnam się z nią. Ale zaraz przychodzi mi do głowy S. Laworowna, z którą umówiłem się na dziś wieczór — jeśli oczywiście nie jestem już spóźniony. Na pewno jednak poczeka, to dobra dziewczyna, prawie tak dobra jak Klara.

Klara.

Zatrzymuję się pośrodku promenady tak nagle, że wpada na mnie kilku przechodniów. Jakaś staruszka w bardzo krótkich szortach podchodzi do mnie niepewnym krokiem.

— Czy coś się stało? — pyta.

Patrzę na nią nie odpowiadając; następnie odwracam się i idę w stronę gabinetu Sigfrida.

Nie ma tam nikogo, nawet hologramu. — Sigfrid! Gdzie jesteś, do cholery! — krzyczę.

Nikt się nie pojawia ani nie odpowiada. Po raz pierwszy jestem w tym pokoju, jeszcze nie przygotowanym na przyjęcie pacjenta. Teraz widzę, w jakim stopniu jest prawdziwy (w niewielkim zresztą), a na ile składają się nań hologramy. Ściany wyłożone sproszkowanym metalem, stojaki z projektorami. Mata (prawdziwa), barek z alkoholem (prawdziwy), kilka innych prawdziwych mebli, z których mógłbym korzystać. Sigfrida natomiast ani śladu. Ani też krzesła, na którym zwykle siedzi.

— Sigfrid!

Kiedy tak wołam, serce podchodzi mi do gardła i kręci mi się w głowie.

— Sigfrid! — wrzeszczę i w końcu pojawia się błysk, mgiełka i wreszcie on — w stroju Zygmunta Freuda spoglądający na mnie uprzejmie.

— Słucham cię. Bob?

— Sigfrid, zamordowałem ją! Nie ma jej!

— Widzę, że jesteś zdenerwowany — mówi. — Czy możesz mi powiedzieć, co się stało?

— Zdenerwowany? To za mało. Posłuchaj, Sigfrid: jestem osobą, która zabiła dziewięć innych, by uratować swe życie! Być może niezupełnie „naprawdę”! Być może i „nie celowo”! Ale w ich oczach, tak jak i moich własnych, to ja ich zabiłem.

— Posłuchaj, Bob — stwierdza tonem rozsądku. — Przeszliśmy już przez to. Ona nadal żyje, tak jak pozostali. Dla nich czas się zatrzymał.

— Wiem o tym! — wyję. — Czy ty tego nie rozumiesz? Na tym to właśnie polega. Ja nie tylko ją zabiłem — ja ją zabijam cały czas!

— Czy uważasz, że to prawda? — pyta cierpliwie.

— To ona tak myśli! I będzie tak myślała, jak długo będę żył. To nie zdarzyło się dla niej przed laty. Było to kilka minut temu i będzie się ciągnąć przez całe moje życie. Jestem tutaj, starzeję się, próbuję o tym zapomnieć, a tam w górze, w obiekcie YY Strzelca tkwi ona — niczym mucha uwięziona w bursztynie!

Opadam na pustą plastikową matę szlochając. Sigfrid powoli przywraca właściwy wygląd gabinetowi rozmieszczając tu i tam dekoracje. Nad głową wiszą pinaty, a na ścianie holobraz jeziora Garda w Sirmione, z żaglówkami, ślizgaczami i zażywającymi kąpiele plażowiczami.

— Nie tłamś w sobie tego bólu — mówi łagodnie. — Wyrzuć go.

— A co według ciebie robię? — Przewracam się na macie z pianki gapiąc się w sufit. — Mógłbym poradzić sobie z tym bólem i poczuciem winy, jeśli ona by potrafiła. Ale dla niej to jeszcze się nie skończyło. Ona tkwi tam uwięziona w czasie.

— Mów dalej — zachęca.

— Mówię przecież. Dla niej każda chwila jest tą, w której poświęcam jej życie, by uratować własne. Będę żyć, zestarzeję się i umrę, zanim ta chwila przeminie dla niej.

— Mów dalej. Bob. Wyduś to z siebie.

— Ona bezustannie myśli, że ją zdradziłem i myśli tak właśnie w tym momencie! Nie mogę żyć z tą świadomością.

Zapada długa, bardzo długa cisza. — Ale tak jest, wiesz o tym przecież — stwierdza w końcu Sigfrid.

— Co? — Moje myśli odbiegły o tysiąc lat świetlnych.

— Żyjesz z tą świadomością.

— I ty nazywasz to życiem? — drwię siadając i wycierając nos w jedną z jego niezliczonych chusteczek.

— Reagujesz bardzo szybko na to, co mówię i dlatego czasem wydaje mi się, że swoje odpowiedzi traktujesz jako kontrę. Odparowujesz moje uwagi słowami. Pozwól mi więc choć raz przeprowadzić to do końca. . . Niech to do ciebie dotrze, że żyjesz.

— . . . Powiedzmy, że tak jest. — To prawda. Tyle że niewielkie to pocieszenie.

Zapada kolejna długa cisza, po czym Sigfrid mówi:

— Wiesz, że jestem maszyną. Bob. Jak również to, że zajmuję się ludzkimi uczuciami. Oczywiście nie mogę ich odczuwać, ale jestem w stanie je przedstawiać za pomocą modeli, analizować, a nawet oceniać. Również na twój użytek. Mogę stworzyć paradygmat, według którego szacuję uczucia. Wina? To bolesna sprawa, ale dlatego też jest modyfikatorem zachowania. Może być czynnikiem powstrzymującym cię od działań wywołujących jej poczucie. A to bardzo cenna rzecz dla ciebie i społeczeństwa. Nie można jednak stosować tego modyfikatora, jeżeli sobie tej winy nie uświadomisz.

— Ależ ja ją sobie uświadamiam! Chryste Panie, wiesz dobrze, co czuję!

— Wiem — mówi — że dopiero dopuszczasz do siebie to uczucie. Teraz już je obnażyłeś i może stać się dla ciebie użyteczne. Stłumione natomiast boleśnie cię rani. Po to właśnie jestem ja, by ci pomóc wydobyć te uczucia na zewnątrz.

— Nawet te złe? Takie jak wina, strach, ból, czy zazdrość?

— To motywatory. Modyfikatory. Cechy, których ja nie posiadam, chyba że w sensie hipotetycznym, kiedy tworzę paradygmat do ich analizy.

Kolejna pauza. Mam do tych przerw dziwny stosunek. Zwykle Sigfrid daje mi wtedy czas, bym się zastanowił, lub sam wylicza jakiś skomplikowany łańcuch argumentów przeciwko mnie. Tym razem jestem przekonany, że w grę nie wchodzi żadna z tych rzeczy. Myśli, ale nie o mnie. — Mogę więc teraz odpowiedzieć na twoje pytanie — mówi w końcu.

— Jakie znowu pytanie?

— Zapytałeś mnie, czy można nazwać to życiem. MOJA odpowiedź brzmi: Tak. To jest dokładnie to, co nazywam życiem, i w moim najlepszym hipotetycznym pojęciu bardzo ci tego zazdroścę.